

**Andre Norton**

**Nie Ma Nocy Bez Gwiazd**

*No Nights Without Stars*

*Przekład: Konrad Brzozowski*

Smuga ciemnego, tłustego dymu leniwie unosząca się nad załomem była wystarczającym ostrzeżeniem. Sander ześliznął się z grzbietu Rhina i zaczął skradać się powoli w górę stromego zbocza. Wierzchowiec równie ostrożnie podążał za jeźdźcem. Już od wielu dni nie napotkali żadnego obozowiska. Torba na prowiant, którą dźwigał Rhin, była pusta, a głód coraz bardziej dokuczliwy. Od dwudziestu czterech godzin Sanderowi nie udało się nic upolować, a ledwie dojrzałe ziarna, które zebrał po drodze, były raczej marnym posiłkiem.

Pięć dni temu opuścił ziemie, do których jeszcze czasami docierali członkowie Klanu Jaka. Gdy po tym, jak go potraktowano, wyjechał z wioski, ruszył prosto na wschód, w kierunku legendarnego morza. Wydawało mu się, że osiągnie cel... że zgłębi tajemnice starożytnych miast i udoskonali swój kunszt obróbki metalu, żeby jego ludzie nie musieli nabywać metalowych przedmiotów od Kupców. Miał nadzieję, że po powrocie pokaże Ibbetsowi i pozostałym, czego się nauczył, i przekona ich, że nie jest już uczniem o niewielkich umiejętnościach, lecz prawdziwym kowalem, który poznał tajniki Pradawnej Wiedzy. Długa i męcząca wędrówka po dzikich pustkowiach ostudziła nieco jego zapał i nauczyła ostrożności, nie zgasiła jednak samego źródła gniewu – uwłaczającej decyzji, jaką podjął Ibbets.

Wcisnął się teraz między skały i naciągnął głęboko maskujący kaptur. Nie był myśliwym, ale każdego członka Klanu już od dziecka uczono, jak zachować się w obliczu niebezpieczeństwa. Sander wiedział, że powinien pozostać niezauważony do chwili, gdy przekona się, że nic mu nie grozi.

W dole rozciągała się dolina rzeki, która dalej zmieniała się w ogromne rozlewisko. Widać było tylko jeden brzeg, ten, na którym zbiornik łączył się z rzeką. W tym właśnie miejscu Sander dostrzegł jakieś zabudowania. Nie przypominały one w niczym prowizorycznych namiotów, w jakich mieszkali ludzie Klanu. Były to normalne domy. Zbudowano je z grubych drewnianych bali, które teraz spowijał gęsty dym. Wioska wyglądała na zniszczoną.

Nawet z tej odległości było widać poskręcane i nieruchome ciała mieszkańców. Musieli paść ofiarą najazdu. Być może rzeź była dziełem okrutnych Morskich Rekinów z południa. Jeśli tak, to wśród ruin nie należało się spodziewać nikogo żywego.

Ogień powoli trawił kolejne budynki. Atak najwyraźniej nastąpił od strony morza, od strony lądu widać było bowiem kilka nietkniętych domostw. Sander nie miał jednak wątpliwości, że dokładnie je splądrowano, choć najeźdźcy zapewne zostawili sporo wartościowych rzeczy. Wiedział, że dla mieszkańców wioski był to okres zniw. Gdy wyjeżdżał, jego ludzie (za takich przynajmniej uważał ich jeszcze do niedawna; skrzywił się z przykrością na tę myśl) właśnie polowali i robili zapasy suszonego mięsa.

Choć koczowniczy lud Klanu był cały czas w drodze, Sander pamiętał o istnieniu innych plemion, które osiadły tu i ówdzie na stałe. Opowiadali o nich Kupcy. Mówili o klanach, które zajmowały własne tereny i uprawiały ziemię. Mieszkańcy ze splądrowanej wioski również

musieli zajmować się rybołówstwem. Sander poczuł nagły skurcz żołądka. Uważnie przyglądał się wiosce. Chciał mieć pewność, że gdy podejdzie bliżej, nie wpakuje się prosto w zasadzkę.

Rhin zaskamlał cicho i trącił Sandera pyskiem. Brązowożółte futro zwierzęcia już zgęstniało przed nadchodzącą zimą. Potężne szczęki rozchyliły się lekko i wyrzła z nich długi, spiczasty jęzor. Zwierzę wpatrywało się w płonące zgliszcza, a w oczach odbijało mu się światło tańczących płomieni. Sander nie dostrzegł jednak w jego zachowaniu żadnych oznak niepokoju, a tylko zwykłą ostrożność, jaką Rhin zawsze zachowywał w zetknięciu z czymś nowym lub nieznanym. Nie mrugał nerwowo oczami ani nie machał w napięciu ogonem. Usiadł spokojnie na skraju urwiska, zupełnie nie dbając o to, że jego głowa odcinała się teraz wyraźnie na tle nieba i ktoś w wiosce mógłby go wypatrzeć. Obserwując jego zachowanie, Sander wiedział, że przynajmniej na razie nic im nie grozi. Inteligentne zwierzę potrafiło wyczuć to, czego żaden człowiek nie byłby w stanie odkryć swymi przytłumionymi zmysłami.

Kowal odważył się wstać, nie dosiadł jednak Rhina, lecz ruszył powoli w dół zbocza, wykorzystując każdą możliwą kryjówkę. Wierzchowiec, niczym rudobrazowy duch, podążał krok w krok za nim. Na wszelki wypadek Sander trzymał w ręku gotowy do użycia miotacz na strzałki. Poluzował też zapięcie pochwy, w której tkwił długi myśliwski nóż.

Im bliżej splądrowanej wioski się znajdowali, tym silniej było czuć zapach spalenizny. Nie był to jedynie swąd palącego się drewna. Rhin warknął cicho, węsząc. Jemu również nie podobał się zapach, który teraz dało się wyczuć już całkiem wyraźnie. W końcu jednak, sądząc z jego reakcji, zwierzę nie odkrył nic niebezpiecznego.

Sander okrążył miejsce, w którym leżały zakrwawione zwłoki i ominął spaloną część wioski, kierując się w stronę mniej zniszczonych domów. Czuł teraz inny zapach, świeży i niezajomy. Wiatr przyniósł go wraz z hukiem fal rozbijających się o wybrzeże. Czy naprawdę dotarli do morza, czy było to tylko większe jezioro?

Gdy zbliżyli się jeszcze bardziej do nienaruszonych chat, kowal zawahał się. Nie był pewien, czy powinien się tam zapuszczać. Głód pchał go jednak dalej i po chwili razem z Rhinem znaleźli się w uliczce między domami. Była tak wąska, że idąc obok siebie, z trudem się w niej mieścili.

Z bliska okazało się, jak masywne były ściany wykonane z bali. Okna umieszczono w nich bardzo wysoko, tuż pod samym dachem. Po chwili dotarli do końca alejki, skręcili w prawo i stanęli przed najbliższymi drzwiami.

Zbite z szerokich i ciężkich desek, wisiały teraz bezwładnie na jednym zawiasie. Nietrudno było zgadnąć, że ktoś wyłamał je z ogromną siłą. Rhin warknął i wyszczerzył kły, między którymi nerwowo drgał długi jęzor. Tuż za progiem leżał martwy człowiek. Jego plecy były jedną wielką plamą zaschniętej krwi. Wieśniak leżał twarzą do ziemi, ale Sander wcale nie miał ochoty przyglądać mu się bliżej.

Ubranie nieznanego w niczym nie przypominało skórzanej odzieży, jaką nosili ludzie Klanu. Miał na sobie brązową tunikę z grubo plecionej tkaniny, luźne spodnie z tego samego materiału i sznurowane buty. Sander nie bez wahania ominął mężczyznę i wszedł do środka. Wnętrze domu nosiło wyraźne ślady pospiesznego przeszukiwania. Dokoła wały się porzucane i zniszczone sprzęty.

W rogu pod ścianą leżały poskręcane zwłoki. Sander przyjrzał się im przez krótką chwilę, po czym odwrócił wzrok. Choć najeźdźcy poniszczyli i splądrowali urządzenie chaty, od razu zorientował się, że mieszkańcy wioski musieli być o wiele bogatsi od ludzi Klanu. Biorąc pod uwagę osiadły tryb życia rybaków, było to całkiem zrozumiałe. Podążając za stadami, jego ludzie nie mogli taszczyć ze sobą stołów i krzeseł. Sander zatrzymał się i podniósł z ziemi rozłupaną misę.

Zaintrygował go ozdobny wzór. Z pozoru przypominał ciemne kreski odcinające się wyraźnie na tle jasnobrązowej gliny, linie szybko jednak ułożyły się w obraz lecących ptaków.

Odwrócił się. Chciał jak najszybciej przeszukać kosze na żywność i wydostać się z tego domu umarłych. Z zewnątrz dobiegło warknięcie Rhina. Zwierzę było niespokojne. Niepokój udzielił się również Sanderowi, kowal jednak zmusił się do spenetrowania domu.

Znalazł mąkę zmieszaną z pokruszonymi orzechami. Używając rozbitego naczynia napełnił torbę. Udało mu się jeszcze odkryć dwie suszone ryby. Reszta zapasów, prawdopodobnie celowo zniszczona, nie nadawała się do jedzenia. Ten obraz nieuzasadnionego okrucieństwa i nienawiści spowodował, że Sander prawie uciekł z chaty. Na zewnątrz odetchnął z ulgą.

Zdecydował się przeszukać kolejny budynek. To jednak, co zobaczył w środku, tak go przeraziło, że szybko się wycofał. Nie mógł znieść widoku kolejnych zmasakrowanych ciał. Wyglądało na to, że najeźdźcy, kimkolwiek byli, nie tylko w okrutny sposób wymordowali mieszkańców wioski, ale pastwili się nad ich ciałami. Sander odetchnął głęboko, z trudem powstrzymując mdłości, i szybko wycofał się wąską uliczką poza zabudowania.

Wiedział, że bez względu na to, co tam spotka, musi poszukać jeszcze jednego miejsca. Każda wioska miała swojego kowala. Odruchowo dotknął ręką torby, w której przechowywał narzędzia – wszystko, co pozostało mu po ojcu. Ibbet z pewnością chciałby zagarnąć i to, podobnie jak odebrał Sanderowi kuźnię, ale tutaj chroniły młodego kowala stare obyczaje.

Największe młoty i dłuta pochowano oczywiście wraz z ciałem Dullana, jego ojca. Wierzono, że miały moc właściciela, który używał ich za życia, i że powinny spocząć w ziemi wraz z nieboszczykiem. Wszystkie pozostałe narzędzia dziedziczył syn i tego prawa nie mogła mu odebrać żadna siła. Sander wiedział jednak, że to, co posiada, nie wystarczy, jeśli uda mu się spełnić największe marzenie – jeśli dotrze do miejsca, o którym opowiadali Kupcy, do miejsca, gdzie znajdowano starożytny metal. Bardzo chciał tam dotrzeć i zgłębić sekret starej sztuki, dziś nieosiągalnej nawet dla najlepszych kowali.

Zacisnął więc zęby i skoncentrował się na odnalezieniu kuźni. Starał się nie zważać na smród i okrutnie zmasakrowane zwłoki. Rhin niechętnie podążał jego śladem, piszcząc i powarkując. Kowal wiedział, że zwierzęciu absolutnie nie podobało się to miejsce i że instynkt nakazywał mu natychmiastowy odwrót. Wiedział też jednak, że Rhin jest do niego bardzo przywiązany i za nic nie zostawiłby go teraz samego.

Od wielu pokoleń ludzie Klanu i zwierzęta pomagali sobie wzajemnie. Współpraca zaczęła się już w Mrocznych Czasach. Jak wynikało z legend i opowieści, które powtarzali Zapamiętywacze, zwierzęta takie jak Rhin były w przeszłości znacznie mniejsze. Nazywano je w dawnej mowie Kojotami.

Na świecie żyło wtedy wiele różnych zwierząt i tylu ludzi, że nie sposób było policzyć ich wszystkich. Potem jednak Ziemia zawirowała, zwiastując nadejście Mrocznych Czasów. Przez skorupę planety przebiły się góry ognia, plując płomieniami, dymem i lawą. Wody wystąpiły z brzegów i zalały ląd ogromnymi falami. W innych miejscach woda ustąpiła i dno oceanu zamieniło się w pustynię. Po tych kataklizmach przyszedł mróz, a za nim nadciągnęły chmury trujących gazów.

Tu i ówdzie ktoś przeżył, jednak większość ludzi i zwierząt wyginęła. Kiedy w końcu niebo przejaśniło się nieco, wszędzie nastąpiły ogromne zmiany. Niektóre zwierzęta z pokolenia na pokolenie stawały się coraz większe, podobnie zresztą jak ludzie, o których krążyły opowieści, że swymi rozmiarami przewyższali niegdyś dwukrotnie mieszkańców Klanu. Historie takie przywozili ze sobą Kupcy. Wiadomo było jednak, że rozpuszczają oni różne plotki, aby zniechęcić innych do podróży, które mogłyby zagrozić ich interesom. Byli zdolni wymyślić każdą historię, byle tylko słuchacze nie zapragnęli wyjechać do miejsc, z których sami Kupcy brali swoje towary.

Sander przystanął, wyciągnął włócznię i zaczął rozgrzebywać zgliszcza spalonego domu. Nie było mowy o pomyłce. Znalazł kowadło, duże i solidne, ale niestety zbyt ciężkie, by dało się je zabrać. Była to jednak wyraźna wskazówka, że kiedyś w tym miejscu musiała się znajdować kuźnia.

Po krótkich, ale dokładnych poszukiwaniach odnalazł jeszcze duży kamienny obuch. Choć trzonek młota był prawie całkowicie spalony, jego najcenniejsza część pozostała nietknięta. Chwilę później dostrzegł między zgliszciami jeszcze jeden obuch, tym razem trochę mniejszy. To było wszystko.

Kowal uniósł dłoń i wypowiedział tajemne słowa. Nawet jeśli właściciel tych przedmiotów spoczywał gdzieś pod zgliszciami i nadal wiązała go z narzędziami magiczna moc, bo odszedł z tego świata w nagły i nieoczekiwany sposób, teraz będzie wiedział, że dostały się one w odpowiednie ręce. Dzięki zaklęciu nie będzie zły, wiedząc, że jego narzędzi ktoś używa i że czerpią z tego korzyści inni ludzie.

Sander dołączył oba obuchy do reszty swojego ekwipunku i zrezygnował z dalszych poszukiwań. Pozwolił martwemu kowalowi zachować resztę przedmiotów. Zabrał tylko młoty, bo wiedział, jak bardzo jeszcze mu się przydadzą.

Nie było sensu dłużej pozostawać w wiosce opanowanej przez śmierć i dusze umarłych. Rhin wyczuł zamiar pana i przyjął jego decyzję cichym, radosnym skowytom. Sander miał zamiar wędrować dalej wzdłuż brzegu morza, jeśli to w ogóle było morze.

Tak szybko, jak to możliwe, minął zniszczone zabudowania. Starał się nie patrzeć na leżące wokół ciała. Zmierzał w stronę grząskiej plaży. Aby się ostatecznie przekonać, czy dotarł do jednego z celów, które sobie wyznaczył, podszedł do wody, umoczył palec i polizał go. Słona! Tak, z pewnością znajdował się nad morzem.

Jednak to nie ono było najważniejszym celem jego wędrówki. Szukał raczej odpowiedzi na pytania o znaczenie starych legend, które wywodziły się gdzieś z tych okolic. To właśnie tutaj, nad brzegiem morza, kwitło kiedyś wiele wspaniałych miast. Ich ruiny kryły w sobie tajemnice, o których wspominał ojciec Sandera.

Z jego opowieści wynikało, że ludzie, którzy zamieszkiwali ziemię przed nadejściem Mrocznych Czasów, mieli ogromną moc i wiedzę. Rządzili światem, mając pod sobą całą armię niewidocznych sług i maszyn, które ułatwiały im życie. Jednak całą tę wiedzę utraciono wraz z nadejściem kataklizmów. Sander nie miał pojęcia, jak wiele lat dzieliło go od zamierzonych czasów, ale z tego, co mówił ojciec, pojawiło się i zniknęło w tym czasie wiele pokoleń.

Kiedy ojciec zmarł na chorobę wywołującą kaszel, Ibbets, młodszy brat ojca, odmówił Sanderowi prawa do przejęcia kuźni. Twierdził, że chłopak nie ma doświadczenia i odpowiednich umiejętności. Młody kowal wiedział, że musi udowodnić swoją wartość nie tylko tym, których uważał za bliskich, ale przede wszystkim sobie samemu. Musiał zdobyć wiedzę, która pozwoliłaby innym zapomnieć o jego niedoświadczeniu i młodym wieku. Tymczasem Ibbets zażądał, by bratanek kontynuował szkolenie. Sander sprzeciwił się i zażądał pozwolenia na odejście, którego Klan nie mógł mu odmówić.

W ten sposób, na własne życzenie, został wygnanym bez domu i rodziny. Czuł palącą potrzebę udowodnienia, że jest albo chociaż ma szansę zostać lepszym kowalem, niż twierdził Ibbets. Aby to jednak osiągnąć, musiał posiadać odpowiednią wiedzę. Był pewien, że źródła tej wiedzy znajdują się gdzieś w pobliżu miejsc, z których Kupcy przywozili starodawny metal.

Część z dostarczanego przez nich metalu dawało się obrobić tylko przy użyciu młotów. Inne rodzaje surowca trzeba było topić, wlewać do form i w nich nadawać metalowi żądany kształt. Czasem jednak trafiały się kawałki odporne na wszelkie działania i to właśnie ich tajemnica intrygowała Sandera już od wczesnego dzieciństwa.

Teraz, gdy dotarł do morza, mógł iść albo na północ, albo na południe. Wiedział, że przyjdzie mu wędrować przez różne krainy. Ruiny miast mogły być zalane wodą lub zniszczone

przez działanie ziemi i upływ lat. A jednak Kupcy musieli skądś przywozić metal. I właśnie tego miejsca szukał Sander.

Zapadał zmierzch, a młody kowal nie chciał spędzać nocy w pobliżu zniszczonej wioski. Ruszył na północ. Gdzieś w górze ochryply ostry krzyk ptaków morskich mieszał się z monotonnym szumem fal.

Rhin obejrzał się parokrotnie za siebie i warknął. Niepokój zwierzęcia udzielił się Sanderowi. Choć wydawało się, że w wiosce nikt nie przeżył, kowal nie przeszukał jej dokładnie i możliwe, że w ruinach czaił się któryś z jej mieszkańców i oszalały z przerażenia obserwował przybycie i odjazd Sandera, aby potem ruszyć jego śladem.

Kowal wspiął się na wierzchołek wydmy porośniętej sztywną morską trawą i jeszcze raz uważnie przyjrzał się dymiącym zgliszczom. Poza ptakami nie zauważył żadnego ruchu. Nie miał jednak zamiaru lekceważyć ostrzeżenia, jakie przesłał mu kojot. Wiedział, że na instynkcie zwierzęcia i na jego czujnych zmysłach można było w pełni polegać.

Łatwiej byłoby teraz dosiąść Rhina, ale grząski i podmokły grunt stwarzał zbyt duże ryzyko wypadku. Oddalili się od brzegu, wzdłuż którego morze porozrzucało pnie masywnych drzew. Tu i ówdzie natrafiali na zakopane w piasku muszle. Sander z podziwem przyglądał się fantastycznym kształtom i deseniom, które ozdabiały te morskie klejnoty. Zebrał kilka z nich i schował do kieszeni przy pasku. Fascynowały go, podobnie jak jasne ptasie pióra czy wygładzone przez wodę kamienie. Oczami wyobraźni widział te muszle wtopione w bransolety z miedzi, która tak łatwo dawała się przekształcać w piękne ozdoby.

Piasek powoli ustępował miejsca sztywnej trawie. Plaża przechodziła w łące. Sander nie czuł się zbyt pewnie na tym otwartym terenie. W dali, na horyzoncie, zamajaczyła ciemna plama lasu. Choć jego ludzie podróżowali głównie po zachodnich równinach, nie unikali kniei. Sander wiedział, że można tam znaleźć schronienie.

Szybko jednak zorientował się, że nie ma szans dotrzeć do lasu przed zapadnięciem zmroku. Musiał teraz poszukać jakiegoś miejsca na nocleg, miejsca, gdzie mógłby stawić czoło niebezpieczeństwu. Wierzył bowiem w instynkt kojota i spodziewał się, że w nocy może spotkać ich jakaś niemiła przygoda.

Nie odważył się rozpaść ognia, który działałby jak sygnał świetlny wskazujący drogę komuś, kto przemierza tę opustoszałą krainę.

W końcu zdecydował się rozbić obóz na skalnym wzniesieniu. Głazy tuliły się tutaj do siebie, jakby szukały wzajemnego wsparcia.

Z pędów gęstej trawy umościł sobie posłanie, po czym, dzieląc się rybami z Rhinem, zjadł skromny posiłek. W innych okolicznościach kojot sam zatroszczyłby się o jakieś pożywienie, teraz jednak wolał zostać z Sanderem.

Młody wędrowiec pilnie obserwował gęstniejący mrok. Chłodny wiatr niósł znad morza

dziwne zapachy wodnego świata. Sander czuł, jak narasta w nim napięcie. Choć nasłuchiwał uważnie, do jego uszu docierał tylko głuchy huk fal rozbijających się o brzeg i z rzadka okrzyki morskich ptaków. Rhin również czuwał. Postawił sztywno długie uszy i wsłuchiwał się w odgłosy nadchodzącej nocy. W jego zachowaniu nie było widać żadnych oznak zbliżającego się niebezpieczeństwa.

Choć zmęczenie po całodziennej podróży dawało się we znaki, Sander nie mógł zasnąć. Nad jego głową migotały gwiazdy. Zapamiętywacze twierdzili, że były to także słońca, wokół których, być może, wirowały światy takie jak ten. Dla Sandera jednak gwiazdy na zawsze pozostaną oczami dziwnych i obojętnych stworzeń, które beznamietnie przyglądają się krótkiej ludzkiej egzystencji. Starał się myśleć tylko o tych gwiazdnych ślepiach, ale cały czas stawał przed nim obraz splądrowanej wioski. Przeszył go dreszcz. Jakie to uczucie, pomyślał, znaleźć się nagle twarzą w twarz z ludźmi, których jedynym celem jest mord i gwałt, i którzy pragną twojej krwi?

O ile dobrze pamiętał, Klan tylko raz znalazł się w podobnej sytuacji. Najechało na nich plemię ludzi o niezwykle bladej skórze i jasnych oczach. Bliscy Sandera zmagali się dotąd głównie z zimnem, głodem i chorobami, które dotykały ich samych albo zwierząt, i walczyli z nieprzyjazną naturą, a nie z innymi ludźmi. Kowale wykuwali broń i narzędzia, jednak nie z myślą o zabijaniu innych.

Sander słyszał opowieści o morskich zabójcach. Czasem wydawało mu się, że i oni byli tylko postaciami wymyślonymi przez Kupców, zamieszkującymi krainy, do których Kupcy strzegli dostępu. Jeśli bowiem chodzi o interesy, Kupcy byli wyjątkowo skąpi. Jednak po tym, co zobaczył dzisiaj, nie miał już żadnych wątpliwości, że człowiek może być o wiele bardziej bezwzględny od najsurowszej zimy. Znow przeszył go dreszcz. I to nie lodowaty wiatr był jego przyczyną, lecz wyobraźnia, która podsuwała coraz to nowe obrazy niebezpieczeństw czyhających w tej nieznannej krainie.

Wyciągnął rękę i kojącym gestem pogłaskał Rhina. W tej samej chwili kojot poderwał się i warknął ostrzegawczo. Zwierzę nie patrzyło w stronę morza, lecz w głąb lądu. Nie uległo wątpliwości, że Rhin wyczuł jakieś niebezpieczeństwo zbliżające się właśnie stamtąd.

Noc była tak ciemna, że miotacz strzałek nie mógł się na nic przydać. Sander wyciągnął długi myśliwski nóż o kształcie i wielkości krótkiego miecza. Przyklęknął, oparł się plecami o skalną ścianę i nasłuchiwał. Przed sobą usłyszał jakieś szuranie, a Rhin znow warknął ostrzegawczo. Teraz i Sander wyczuł mocny, piżmowaty zapach. Zdawało mu się, że dostrzegł w ciemnościach jakiś kształt; cień jednak poruszał się tak szybko, że pozostało po nim zaledwie dziwne wzrokowe złudzenie.

Świszczący dźwięk, który dobiegł z ciemności, stopniowo przeszedł w warkot. Rhin postąpił krok do przodu, był spięty i gotów do natychmiastowego ataku. Sander żałował teraz, że nie



rozpalił ognia. Nieznane niebezpieczeństwo ukryte w ciemnościach zawsze wzbudzało w przedstawicielach jego rasy uzasadniony strach.

A jednak, ku zdziwieniu Sander, istota czająca się w ciemności nie zdecydowała się na atak. Słyszał jej wyzywający syk, a i po Rhinie było widać, że mają przed sobą naprawdę groźnego przeciwnika. Jednak nieznane stworzenie wciąż kryło się w mroku, tam, gdzie Sander nie mógł nawet dostrzec jego kształtu. Nagle ciszę nocy przerwał ostry gwizd. Chwilę później kowala oślepił nagły błysk, tak że nie zdążył nawet zasłonić oczu. W ostrym świetle zobaczył sunące w jego kierunku stworzenie. Wyglądem przypominało bardziej węża niż jakiegokolwiek zwierzę pokryte futrem. Tuż przed kowalem uniosło się na czterech łapach, a jego pysk znalazł się na wysokości głowy Sander. Za pierwszym pojawiło się drugie stworzenie – trochę mniejsza i ciemniejsza kopia pierwszego. Jednak to nie one przyniosły ze sobą światło.

– Stój! – usłyszał kowal. Zabrzmiało to jak rozkaz, po którym nastąpił kolejny: – Rzuć nóż!

Sander czuł, że w każdej chwili może zginąć. Wiedział, że obie bestie nie zagryzły go tylko dlatego, że były posłuszne woli mówiącego. Mimo to potrząsnął głową.

– Nie słucham poleceń nieznajomych, którzy skradają się po nocy – odparł. – Nie jestem myśliwym. Nie zabijam też ludzi.

– Przelana krew żąda krwi, przybyszu – padła ostra odpowiedź. – Wylano mnóstwo krwi... krwi moich bliskich. I tylko do mnie należy zapłata, skoro tylko ja ocalałam z całego Padford...

– Trafiłem do tego miasta już po wszystkim – zaczął Sander. – Jeśli szukasz zemsty, szukaj jej gdzie indziej. Gdy dotarłem tu z południa, znalazłem już tylko spalone domy i ciała zabitych.

Światło cały czas padało prosto na niego. Zapadło milczenie. Sander miał nadzieję, że skoro nieznajomy zaczął od rozmowy, to nie ma zamiaru go atakować.

– Nie wyglądasz na Morskiego Rekina – wycedził przybysz.

Choć Sander rozumiał słowa, nie uszedł jego uwagi dziwny akcent, inny niż u ludzi Klanu czy Kupców.

– Coś ty za jeden? – rzucił szybko i gwałtownie nieznajomy.

– Jestem Sander, kowal z Klanu Jaka.

– Ach tak? – Słowa wypowiedziane zostały wolno i jakby z niedowierzaniem. – Gdzie zatem twój Klan rozbił dzisiaj obóz, kowalu?

– Na zachód stąd.

– A jednak ty podążasz na wschód. Kowale nie wędrują ot, tak sobie, przybyszu. A może i ty masz kogoś do pomszczenia?

– Mój ojciec, kowal, zmarł, a ludzie z mego Klanu uznali, że nie jestem godzien, by zająć jego miejsce. Zażądałem pozwolenia na odejście... – Zaczynało go irytować to posłuszne udzielanie odpowiedzi na pytania zadawane nie wiadomo skąd i przez kogo. Zebrał się więc w sobie i zapytał wprost:

– A tyś co za jeden?

– Ktoś, z kim nie warto zadzierać, przybyszu! – warknął pytany. – Ale wydajesz się mówić prawdę i dlatego zostawimy cię dzisiaj w spokoju.

Nagle światło zgasło. Sander usłyszał w ciemnościach jakiś ruch. Rhin sapnął z ulgą. Choć kojot był w walce bardzo niebezpiecznym przeciwnikiem, towarzystwo obu bestii i obcego, który je kontrolował, wyraźnie mu nie odpowiadało.

Sander czuł, jak opada z niego napięcie. Głos zniknął gdzieś w ciemnościach, porywając za sobą oba stworzenia. Kowal opadł na ziemię, oparł się o skałę i po chwili spał już głęboko.

W snach widział martwych mieszkańców wioski, którzy stali przed nim, trzymając w rękach połamany oręż. Raz po raz budził się, zlany potem. Nie wiedział już, co było jawą, a co snem. Od czasu do czasu słyszał głębokie, miękkie mruczenie, które wydobywało się z gardła Rhina, jednak światło i głos nie powróciły już ani razu.

Zanim zaczęło świtać, był gotów do dalszej drogi. Cały czas wydawało mu się, że tę krainę nawiedzają dusze umarłych. Być może to widok zmasakrowanych zwłok podziałał na niego tak deprymująco.

Wiedział, że im szybciej się stąd wyniesie, tym lepiej. Przed odjazdem obejrzał jednak miejsce, gdzie w nocy ujrzał czającą się bestię.

Zobaczył ślady łap i pazurów głęboko odcisnięte w ziemi. Więc to nie był sen. Trochę wyżej natknął się na inny ślad, drobny i wyraźnie odcisnięty w podłożu, z pewnością ludzki. Rhin obwąchał tropy i warknął. Widać było, że nie podoba mu się to, co wyczuł. A to stanowiło kolejny powód, dla którego powinni jak najszybciej ruszyć w dalszą drogę.

Sander nie zjadł nawet śniadania. Szybko dosiadł kojota i znaleźli się wkrótce na porośniętej gęstą trawą równinie, która ciągnęła się wzdłuż nadbrzeża. Po drodze spłoszyli kilka ptaków. Sander szybko wyjął procę, załadował kamień i ustrzelił dwa z nich. Gdyby gdzieś dalej udało mu się spokojnie rozpalić ogień, czekał ich gorący posiłek.

Zmierzali prosto do lasu. Na łące kowal czuł się zbyt widoczny. Doświadczał tego wrażenia – mimo iż wychował się przecież na równinach – po raz pierwszy w życiu. Po drodze próbował szukać na ziemi śladów nocnego gościa, ale oprócz tych, które widział nieopodal obozowiska, nie udało mu się odnaleźć innych. Nie zauważył też nic, co wskazywałoby, że nie są na tym odludziu sami.

Świadomie powstrzymywał się od zerkania za siebie, w stronę oddalającej się wioski. Może tajemniczy przybysz wrócił do spalonej osady. Z jego słów jasno wynikało, że zależy mu na odnalezieniu sprawców rzezi. Jak nieznajomy nazwał miasteczko? Padford? Sander powtórzył tę nazwę na głos. Brzmiała równie dziwnie i obco jak akcent, z jakim mówił przybysz.

Sander wiedział bardzo niewiele o ziemiach, które rozciągały się poza zasięgiem Klanu. O istnieniu wiosek takich jak ta dowiadywał się od Kupców. Pasterze z równin nie utrzymywali z ich mieszkańcami żadnych kontaktów. Żałował teraz, że nie przyjrzał się zabitym trochę lepiej. Teraz, gdy próbował przypomnieć sobie, jak wyglądali, wydawało mu się, że mieli bardzo ciemną skórę, ciemniejszą nawet niż on, a włosy bardzo czarne. U ludzi Klanu, którzy też mieli dość ciemną karnację, spotkać można było zarówno rude, jak i ciemnobrązowe włosy.

Zapamiętywacze wspominali, że przed Mrocznymi Czasami nie wszyscy ludzie wyglądali podobnie. Ich opowieści były często całkiem nieprawdopodobne... mówili, że dawniej ludzie latali jak ptaki i podróżowali w specjalnych łodziach pod powierzchnią wody. Nie można było zatem dawać wiary wszystkiemu, co mówili.

Rhin zatrzymał się nagle, wrywając Sandera z zamyślenia. Jednocześnie potrząsnął łbem, dając tym samym znak, że zbliża się niebezpieczeństwo i że Sander powinien natychmiast zsiąść. Kowal zsunął się z grzbietu zwierzęcia, które zwróciło się tyłem do kierunku marszu i wyszczerzyło kły. Niepokojące mruczenie przeszło w ostry warkot.

Sander wetknął procę za pas, chwycił miotacz strzałek i upewnił się, że broń jest naładowana. Złapano ich na otwartej przestrzeni. Nie było tu żadnego miejsca, gdzie mogliby się ukryć.

W ich stronę pędziły teraz dwa podskakujące kształty, tak szybko, że Rhin mógłby dotrzymać im kroku jedynie na krótki dystans. Z tyłu Sander dostrzegł postać, która również biegła w ich kierunku, tyle że na dwóch nogach. Wyglądała jak myśliwy polujący z psami, tylko że te dwie bestie w niczym nie przypominały małych psów myśliwskich, których używali łowcy z Klanu. Sander przykucnął i wymierzył. Serce waliło mu jak młotem. Atakujące zwierzęta, czymkolwiek były, poruszały się wyjątkowo sprytnie, co chwila skręcając i zmieniając nieznacznie kierunek, wciąż jednak mknąc do przodu. Kowal wiedział, że bardzo trudno będzie je trafić.

– Aeeeeheeee!

Krzyk był ostry i gwałtowny, zupełnie jak ten, który wydawały morskie ptaki. Postać biegnąca za zwierzętami uniosła w górę ramiona, jakby popędzając bestie. Sander zdecydował, że najpierw należy unieszkodliwić nieznanego.

– Aeeeeheeee!

Pierwsza z bestii zatrzymała się i przysiadła na tylnych łapach, bacznie wpatrując się w kowala. Po chwili dołączyła do niej druga. Jednak Sander ani przez chwilę nie zdjął palca ze spustu. Oba stworzenia wciąż były zbyt daleko, by oddać naprawdę celny strzał. Rhin nie przestawał warczeć. Przyjął już postawę obronną i gotów był na atak. Najwyraźniej uznał zwierzęta za godnych przeciwników.

Człowiek, który im przewodził, zrównał się teraz ze zwierzętami i cała trójka, już

normalnym krokiem, ruszyła w stronę Sander. Kowal wstał, cały czas trzymając jednak broń w pogotowiu.

Przypatrywał się nadchodzącej postaci z nieskrywanym zdumieniem. Tak, z całą pewnością to była kobieta. Zdradzało to jej skąpe ubranie. Na szyi miała gruby łańcuch z miękkiego, ręcznie obrobionego złota, na którym wisiał medalion. Wtopione w metal kamienie układały się w pogmatwany wzór. Jej ciemne włosy, niczym czarna aureola, sztywno sterczały dookoła głowy. Na czole nieznajomej Sander dostrzegł wytatuowany wzór, podobny do tego, który nosił sam. Tyle że jego tatuaż w kształcie młota był dumnym godłem kowala, a jej stanowił płataninę dziwnych znaków, których Sander nie potrafił odczytać.

Na nogach kobieta miała wysokie buty, które sięgały jej prawie do kolan i, jak zauważył, musiały być wyjątkowo niewygodne w porównaniu ze skórzanym obuwiem, w których chodzili ludzie Klanu. Poza tym nosiła pas wykonany ze splecionych złotych i srebrnych drutów, z którego zwisał rząd mniejszych i większych kolorowych kieszonek. Z rękami opartymi na łbach obu bestii kobieta zmierzała teraz w stronę kowala dumnym krokiem, jak ktoś, komu trzeba okazać należne względy.

Zwierzęta były tej samej rasy, jednak różniły się znacznie wielkością i barwą. Większe miało kremowopłową sierść, mniejsze – ciemnobrązowy grzbiet, czarne łapy i ogon. Cała trójka zbliżała się powoli. Zwierzęta nerwowo machały ogonami i Sander odgadł bez trudu, że nie są przekonane o jego nieszkodliwości w przeciwieństwie do swojej pani, która tylko siłą własnej woli powstrzymywała je przed natychmiastowym atakiem.

Kobieta zatrzymała się parę kroków przed Sanderem i zmierzyła go lodowatym spojrzeniem. Zwierzęta przysiadły na tylnych łapach po jej obu stronach. Łeb jaśniejszego znalazł się teraz wyżej niż głowa dziewczyny.

– Dokąd to, kowalu? – spytała rozkazująco. Po głosie zorientował się, że to ona właśnie złożyła mu nocną wizytę.

– A po co ci to wiedzieć? – Oburzył go ton jej głosu. Jakże miała prawo, by zwracać się do niego w ten sposób?

– Wizja, którą miałam, pokazała mi, że nasze drogi znów się zbiegną. – Oczy kobiety pojaśniały, kiedy pochwyciła jego spojrzenie. Nie podobało mu się, że traktuje go jak dzikus, któremu można rozkazywać.

– Nie wiem nic o twoich wizjach. – Czuł, że musi przerwać tę walkę spojrzeń. – Moja sprawa, czego szukam.

Zmarszczyła brwi, jakby zdziwiona, że może oprzeć się sile jej woli łatwiej niż obie bestie. Utwierdziło go to w przekonaniu, że próbowała zawładnąć w jakiś sposób jego umysłem.

– Szukasz – odparła ostrym tonem – rozwiązania tajemnej sztuki Praludzi. I ja mam podobny cel. Pomoże mi to pomścić moich bliskich. Nazywam się Fanyi, ta, która rozmawia

z duchami. A to Kai i Kayi. Są przy mnie zawsze, gdy ich potrzebuję. Otaczałam Padford ochroną, ale ostatnio musiałam odejść i spotkać się z Wielkim Księżycem. A kiedy mnie nie było... – wykonała wymowny gest – moi ludzie zostali wymordowani. Zawiodłam ich wiarę. Nie powinno się tak stać! – Podobnie jak Rhin wyszczerzyła zęby. – Do mnie należy zemsta, ale żeby jej dopełnić, muszę odnaleźć ruiny miast zbudowanych przez Praludzi. Pytam cię zatem, kowalu, czy wiesz, gdzie znajduje się to, czego szukasz?

Pragnął bardzo odpowiedzieć „tak”, ale w jej spojrzeniu, choć nie chciał się temu poddać, było coś, co zmuszało go do mówienia prawdy.

– Nazywam się Sander. Szukam jednego z Dawnych Miast. Być może leży ono gdzieś na północy, wzdłuż wybrzeża...

– Pewnie słyszałeś o tym od Kupców? – Roześmiała się. Był w jej śmiechu szydery ton, który go rozniewał. – Nie trzeba polegać na ich opowieściach, kowalu. Oni zawsze opowiadają bajki i nigdy nie ujawniają miejsc, w których zdobywają swoje towary. W tym wypadku jednak masz częściowo rację. Na północ... potem na wschód... tam leży jedno z ogromnych miast. Jestem jedną z Szamanek... do nas należy część tajemnej wiedzy. To miejsce...

– Na północnym wschodzie – przerwał jej Sander – jest tylko morze. A więc twoje miasto musi być zalane wodą.

Pokręciła przecząco głową.

– Nie wydaje mi się. Morze miejscami głęboko wbija się tam w ląd. Gdzie indziej jednak cofnęło się, odsłaniając ogromne połacie ziemi. Ale – tu wzruszyła ramionami – będziemy pewni dopiero wtedy, gdy tam dotrzemy. Oboje czegoś szukamy. Oboje chcemy zdobyć wiedzę, prawda?

– No cóż. Tak.

– Wspaniale. Mam pewną Moc, kowalu. Być może nawet potężniejszą niż twoja broń. – Przyjrzała się miotaczowi, który trzymał w dłoni. – Wędrować po puszczy samemu to głupota. Jeśli oboje zmierzamy w tym samym kierunku, dlaczego nie połączyć sił? Podzielę się z tobą tym, co wiem o położeniu Dawnych Miast.

Sander zawahał się. Nie wiedział czemu, ale chciał jej wierzyć. Co jednak oznaczała taka propozycja? Być może dziewczyna czytała w jego myślach, bo odezwała się znowu.

– Przecież powiedziałam ci, że miałam widzenie. Niewiele wiem o twoim Klanie, kowalu, ale czy wy nie macie między sobą ludzi, którzy potrafią przepowiadać to, co jeszcze się nie wydarzyło?

– Mamy Zapamiętywaczy, ale oni mówią tylko o przeszłości. A przyszłość... Kupcy wspominali coś o ludziach, którzy nie patrzą wstecz, lecz potrafią czytać w przyszłości.

– Czytanie w przeszłości? – Fanyi sprawiała wrażenie zaskoczonej. – Co oni tam widzą, ci wasi Szamani?

– Dawne Rzeczy. Niezbyt wiele – przyznał Sander. – Przybyliśmy na te ziemie już po Mrocznych Czasach. To, o czym najczęściej mówią, przykrywa dziś morze. Pamiętają głównie wydarzenia z naszej przeszłości, z przeszłości Klanu.

– Szkoda. Pomyśl, co można by zrobić, gdyby wasi Szamani mogli odkrywać tajemnice z czasów Praludzi. Jednak podobnie rzecz się ma z nami, którzy patrzymy w przyszłość. Potrafimy odkryć tylko niewielki jej skrawek. Stąd też wiem, że dane jest nam podróżować razem, nic więcej.

Mówiła tak przekonująco, że Sander nie mógł się sprzeciwić, choć jej pewność siebie wzbudzała w nim podejrzenia. Widział to wyraźnie. Dziewczyna myślała, że taka propozycja będzie dla niego zaszczytem. A jednak... w tym, co powiedziała, było sporo racji. Podróżował przecież na ślepo. Był przekonany, że jeśli naprawdę wiedziała coś o położeniu starożytnych miast, odrzucenie jej propozycji i dalsza podróż po omacku byłaby nierozsądna.

– Zgoda. – Sander spojrział na zwierzęta. – Ale co z nimi? Nie są chyba zbyt zadowolone z takiego obrotu sprawy.

Po raz pierwszy uśmiechnęła się do niego.

– Moi przyjaciele są ich przyjaciółmi. A co z twoim włochatym towarzyszem, kowalu? – Pokazała na Rhina.

Sander spojrział na kojota. Nie miał nad nim takiej kontroli, jak dziewczyna nad swoimi towarzyszami. Istniała między nimi pewna więź porozumienia, ale nie była aż tak silna. Sander nie miał pojęcia, do jakiego stopnia może wpłynąć na wolę Rhina. Kojot podążał za nim dobrowolnie i zawsze ostrzegał go przed niebezpieczeństwem. Czy jednak zechce przez wiele dni podróżować w towarzystwie tych dwóch bestii, tego Sander nie umiał przewidzieć.

Tymczasem Fanyi zwróciła się w stronę jednego ze swoich podopiecznych. Skrzyżowali spojrzenia, a po chwili zwierzę wstało i kilkoma susami zniknęło w gęstej, wysokiej trawie. Druga bestia pozostała na miejscu, a Fanyi wystąpiła krok do przodu i spojrzała w oczy kojota. Sander poruszył się niespokojnie. Jej zachowanie znów go rozdrażniło. Jakie miała prawo narzucać swą wolę Rhinowi? A Sander nie miał wątpliwości, że taki właśnie był jej zamiar.

Chyba znów wyczytała bunt w jego myślach, bo odezwała się szybko.

– Ja ich nie kontroluję, kowalu. Wystarczy, że rozumiem, w jaki sposób możemy żyć razem, bez narzucania sobie nawzajem woli. Moje kuny wiedzą, że jeśli przesyłam im jakieś polecenie, to w dobrej wierze. Czasem to ja ulegam ich zachciankom równie łatwo, jak one moim. Nie są moimi niewolnikami. Jesteśmy raczej na stopie przyjacielskiej. Tak powinny współdziałać ze sobą wszystkie istoty. Tego właśnie uczy Moc nas, którzy mamy jej służyć. Twój kojot pójdzie z nami, bo teraz już wie, że nie chcemy nikogo skrzywdzić.

Kuna, która oddaliła się przed chwilą, teraz pędziła z powrotem w ich stronę. W pysku trzymała sznur, na którego końcu zwisał jakiś pakunek i obijał się o ziemię. Zwierzę złożyło

paczkę u stóp dziewczyny. Fanyi rozwiązała wór i wyciągnęła z niego spory kawałek materiału.

Przełożyła głowę przez otwór pośrodku, a zwisające luźno fałdy obwiązała plecionym sznurem, kryjąc w ten sposób pod szarą tuniką swój szkarłatny strój i połyskujące ozdoby.

Cały jej bagaż zdawał się mieścić w dwóch związanych ze sobą torbach. Chciała zarzucić je na plecy, ale Sander podszedł, zabrał pakunki i przełożył je przez grzbiet Rhina. I tak przecież nie mógłby jechać na kojocie, gdy ona szła pieszo, a razem ważyli tyle, że Rhin nie poniósłby ich zbyt długo.

Dziewczyna gwizdnęła i obie kuny pomknęły przodem, badając drogę. Sander mógł wreszcie trochę się rozluźnić. Jeśli Fanyi rzeczywiście mogła na nich polegać, to zwierzęta te były z pewnością znakomitą ochroną.

– Daleko się udajemy? – spytał. Dziewczyna poruszała się lekko i zwinnie.

– Nie wiem tego dokładnie. Moi ludzie nie podróżują... nie podróżowali – poprawiła się – zbyt daleko. Zajmowali się głównie łowieniem ryb i uprawą pól wzdłuż wybrzeża. Czasem odwiedzali nas Kupcy z północy, a ostatnio również z południa... Z południa – powtórzyła to głucho. – Tak, teraz już rozumiem. To oni. Zanim najechali na wioskę, przybyli do Padford, żeby sprawdzić, czy napotkają silny opór. I gdybym wtedy była w osadzie...

– To co mogłabyś na to poradzić? – Sander nie spodziewał się żadnej sensownej odpowiedzi na swoje pytanie. Zupełnie jakby dziewczyna wierzyła, że jej obecność czy wyjazd z wioski miały wpływ na przeznaczenie i los osady.

Spojrzała na niego, wyraźnie zaskoczona.

– Posiadam Moc. Potrafię przewidzieć niebezpieczeństwo. Gdybym razem z Kai i Kayi była w wiosce, nic nie mogłoby zaskoczyć jej mieszkańców bez naszej wiedzy. Nawet gdy nie było mnie w osadzie i otworzyłam swoje serce i umysł przed Wielkim Księżycem, czułam wyraźnie, kiedy okrutny los spotkał ludzi, którzy we mnie wierzyli. Mam na rękach ich krew i zmyje ją tylko zemsta. To na mnie spoczywa piętno umarłych.

– A jak masz zamiar się zemścić? Znasz tych, którzy najechali wioskę?

– We właściwym czasie rozrzucę kamienie. – Jej ręka powędrowała do zawiniątka, które trzymała pod tuniką. – Wtedy poznam ich imiona. Najpierw jednak muszę dotrzeć do Dawnych Miast i odnaleźć broń, która sprawi, że mordercy przeklną dzień, w którym przyszli na świat.

Okrutny i zawzięty wyraz jej twarzy wywołał u Sandera chłodny dreszcz.

Sam nigdy nie czuł takiego gniewu, nawet w stosunku do Ibbetsa. Nigdy nie życzył nikomu śmierci. Gdy na jego Klan najechali Albinosi, Sander miał zaledwie parę lat i wojna z nimi niespecjalnie go dotknęła, choć to właśnie wtedy zginęła jego matka. W życiu przejmował się jedynie sztuką kowalską. Broń była dla niego tylko wyrobem z metalu; rzadko myślał o jej późniejszych właścicielach i o tym, do czego im służyła.

To, co zobaczył w wiosce, poruszyło go, ale w końcu nie dotyczyło jego bezpośrednio. Nie

znał nikogo z pomordowanych rybaków. Gdyby nawet spotkał wśród ruin któregoś z napastników, walczyłby, ale nie z chęci zemsty, lecz w samoobronie. Dlatego nie mógł zrozumieć gniewu i chęci odwetu, jaką pałała Fanyi. Chociaż gdyby taki los spotkał jego bliskich, z pewnością czułby i myślał teraz zupełnie inaczej.

– Jaką broń możemy znaleźć w Dawnych Miastach?

– Tego nie wie nikt. Słyszałam wiele różnych opowieści. Podobno kiedyś ludzie do zabijania używali ognia i piorunów, a nie stali lub strzał. Być może to tylko legendy. Wiedza jest już sama w sobie potężnym orężem, ja zaś urodziłam się po to, by używać właśnie takiej broni.

Brzmiało to dość przekonująco. Sander nieświadomie przyspieszył kroku, zupełnie jakby perspektywa odnalezienia tak potężnego arsenału popchnęła go do szybszego marszu. Z drugiej strony... nie można było bezgranicznie polegać na starych opowieściach. Trzęsienia ziemi w Mrocznych Czasach całkowicie zmieniły oblicze planety, więc niewykluczone, że wszelkie pozostałości po dawnych cywilizacjach przegrały walkę z czasem i siłami natury.

Zdradził dziewczynie swoje obawy. Zgodziła się z nim.

– To prawda. A jednak Kupcy wciąż przywożą nowe rzeczy, coś zatem musiało ocaleć. Sama mam... – Dotknęła ukrytego pod tuniką medalionu. – Wywodzę się z rodu Szamanek. Moje przodkinie przekazywały sobie tajemną wiedzę z pokolenia na pokolenie, z matki na córkę. Niektóre sekrety można zgłębić tylko wtedy, gdy dotrze się we właściwe miejsce lub spotka z właściwą osobą. Na przykład ten medalion... Tylko ja potrafię z niego czytać, gdy trzymam go w dłoniach. Nie będzie służył nikomu innemu. Z jego pomocą chcę odnaleźć pewien mur...

– Mur, który znajduje się gdzieś na północnym wschodzie...

– Właśnie. Długo czekałam na okazję, by rozpocząć poszukiwania. Ale nie wolno mi było zostawić wioski. Opiekowałam się ludźmi, leczyłam ich ciała i dusze. Teraz ten sam obowiązek wobec nich nakazuje mi odnaleźć pewne miejsce... żebym mogła ich pomścić.

Miała bardzo tajemniczą minę i Sander nie chciał pytać o nic więcej. Podróżowali teraz w milczeniu. Kuny biegły nieco z przodu, Rhin dreptał tuż za Sanderem.

W południe zatrzymali się na odpoczynek. Sander rozpałił niewielkie ognisko, a dziewczyna zmieszała z wodą z bukłaka trochę jedzenia zabranego z wioski. Uformowała z tej papki cienkie ciasto i rozłożyła je na małej metalowej patelni, którą wyjęła z torby. Ustawiła patelnię nad ogniem i po chwili zgrabnym ruchem zdjęła z niej chlebowy placek. Sander upiekł ptaki, które udało mu się ustrzelić po drodze. Rhin, uwolniony od bagażu, sam ruszył na polowanie, a jak zapewniła Fanyi, jej kuny zrobiły to samo.

Ten posiłek smakował o wiele lepiej niż suszone ryby, które Sander jadł poprzedniej nocy. Fanyi potrząsnęła energicznie bukłakiem.

– Woda skończy się przed zapadnięciem zmroku – powiedziała. Sander uśmiechnął się.

– Rhin znajdzie wodę. Kojoty robią to bezbłędnie. Widziałem, jak trafiały na wodę



w miejscach, w których człowiek nigdy nie próbowałby nawet szukać. Żyją przecież na terenach pustynnych...

– Tam, gdzie twój ludzie? Sander pokręcił przecząco głową.

– Nie. Dawniej mój Klan zajmował takie tereny. Zapamiętywacze twierdzą, że przybyliśmy z południa i zachodu. Gdy morze wylało, musieliśmy uciekać w góry, choć ich szczyty pluły wtedy ogniem. Tylko część naszego Klanu przeżyła. Potem pojawiły się kojoty. Mówi się, że z początku były dosyć małe, jednak jak było naprawdę... tyle jest różnych opowieści o Dawnych Czasach.

– Może gdzieś istnieją jakieś zapiski. – Fanyi oblizała palce po tłustym posiłku. – Znaki, takie jak ten... – zerwała źdźbło trawy i zaczęła rysować coś na piasku.

Sander przyjrzał się wzorom. Zdawało mu się, że Kupcy kreślili na wyblakłej skórze podobne znaki, gdy przyjmowali od jego ojca zlecenia na różne rodzaje metali, których potrzebował do pracy.

– To... to moje imię. – Wskazała na wzór. – F-A-N-Y-I... Tylko tyle potrafię sama napisać. No i jeszcze parę innych słów. Chociaż – dodała szczerze – nie znam znaczenia ich wszystkich. Musiałam się ich nauczyć, bo posiadam Moc.

Sander przytaknął. Jako kowal również znał specjalne zaklęcia. Bez ich wypowiedzenia metal nie giął się, nie twardniał i nie dał się urabiać. O tym wiedzieli wszyscy. Dlatego kowale w czasie pracy pozwalali pomagać sobie tylko uczniom. Osoby niepowołane nie powinny nigdy poznać tych zaklęć.

– Jeśli nawet znajdziesz takie znaki – spytał – co ci po nich, skoro nie umiesz ich odczytać?

Zmarszczyła brwi.

– To tajemnica, którą trzeba zgłębić, tak samo jak sztukę leczenia czy tajniki oddziaływania księżyca na ludzi i zwierzęta. Wszystko to, tak samo jak przywoływanie ławic i porozumiewanie się ze zwierzętami, należy do kunsztu Szamanek.

Sander wstał, by przywołać Rhina gwizdnięciem. Sprawy Szamanek nie interesowały go za bardzo. Nie chciał mu się też wierzyć, że tajniki kowalstwa zostaną kiedyś zapisane i zredukowane do takich znaczków. Do lasu wciąż jeszcze pozostawał szmat drogi, a perspektywa noclegu na otwartej przestrzeni nie była zbyt zachęcająca.

Zadeptał dopalające się ognisko i, jak każdy człowiek z równin, dokładnie przysypał je piaskiem. Niebezpieczeństwo pożaru na tej łące było teraz bardziej realne niż jakakolwiek napaść. Widział już kiedyś skutki takiego pożaru i nawet dziś, na wspomnienie dwóch zwęglonych ciał, uwięzionych w ogniu członków Klanu, przechodził go dreszcz.

Mozolnie parli przed siebie. Kuny zupełnie zniknęły im z oczu. Tylko Rhin powrócił posłusznie na wezwanie Sandera, który znów zarzucił mu na grzbiet cały bagaż. Fanyi nie wydawała się zbyt przejęta nieobecnością swoich towarzyszy. Może zawsze podróżowali

w ten sposób.

Zmierzchało już, gdy przed wędrowcami zamajaczyły pierwsze drzewa. Sander przystanął, po raz pierwszy zastanawiając się, czy postąpił słusznie. Drzewa nosiły już pierwsze oznaki nadchodzącej jesieni. Panował wśród nich nieprzyjemny mrok. Może rozsądniej byłoby przeczekać noc na skraju lasu, niż błąkać się między drzewami w całkowitych ciemnościach.

– Gdzie twoje zwierzęta? – spytał.

Fanyi przysiadła na ziemi i spojrzała na niego.

– Powiedziała ci już, że nie mam nad nimi władzy. Robią, co chcą, i chodzą, gdzie chcą. Chętnie przebywają w lesie. Nie lubią otwartych przestrzeni, ale między drzewami czują się znakomicie.

No cóż, jeśli nawet, to co go to obchodziło? A jednak im bardziej wpatrywał się w ciemność lasu, tym mniejszą miał ochotę wchodzić tam po zmroku.

– Zostaniemy tu na noc – zdecydował i w tej samej chwili zastanowiło go, czy dziewczyna sprzeciwi się jego woli.

– Jak sobie życzysz. – Nie powiedziała nic więcej. Zaraz też wstała i zaczęła zdejmować swoje bagaże z grzbietu Rhina.

Sander ściągnął z Rhina siodło i bagaże. Po chwili kojot zniknął w ciemnościach, aby poszukać sobie pożywienia. Żadna z kun się nie pojawiła i kowal zaczął się zastanawiać, czy Fanyi rzeczywiście panowała nad ich wolą tak, jak twierdziła. Dziewczyna jednak nadal nie wyglądała na zaniepokojoną. Zdjęła grubą tunikę, a jej ozdobny pas i gruby łańcuch na szyi migotały w świetle ogniska.

Znów przygotowała chlebowy placek i upiekła go na patelni, a Sander starannie przeliczył strzałki do miotacza. Nie miał zamiaru zapuszczać się w las bez gotowej do strzału broni. Zebrał też zapas drewna, który, jak sądził, powinien im wystarczyć na całą noc.

Pilnując placka, Fanyi nuciła coś pod nosem. Jej słowa brzmiały jakoś dziwnie. Sander rozumiał tylko niektóre. Wyglądało na to, że dziewczyna śpiewała piosenkę w sobie tylko znanym języku.

– Czy twoi ludzie zawsze mieszkali nad rzeką? – spytał nagle, przerywając dziwnie senny nastrój, w jaki wpędziła go swoim mruczeniem.

– Nie zawsze... nie ma chyba żadnego rodu, który mieszkałby przez cały czas w tym samym miejscu – odpowiedziała. – Nami także los rzucał tu i ówdzie. W Mrocznych Czasach musieliśmy stale wędrować. Nasza historia zaczęła się na statku, na którym wody wylewającego morza rzuciły nas w głąb zalanego lądu. Wielu zmarło na pokładzie, innych fale zmyły za burte, ale garstka przeżyła tę podróż. Gdy morze ustąpiło, statek osiadł na lądzie. To było za czasów

Margee, matki Nany, która urodziła Flore, matkę Sanny. – Powoli wymieniała coraz to nowe imiona, aż Sander zupełnie się pogubił. W końcu jednak powiedziała: – A ja jestem rodzoną córką Margee czwartej. Ludzie ze statku spotkali innych wędrowców i tak, za czasów matki mojej babki, powstało Padford. Wcześniej moi ludzie żyli nad brzegiem morza, na południu. Musieli jednak wynieść się na północ, bo jedna z gór przebudziła się, plując ogniem i rozrzucając dookoła twarde odłamki skał. Zupełnie jak w Mrocznych Czasach. Nasi ludzie mieli zatem do wyboru: ucieczkę albo śmierć. A jaka jest historia twojego Klanu, kowalu?

– Jak już wiesz, przybyliśmy z południa i z zachodu. Zapamiętywacze wiedzą... ale nikomu o tym nie mówią. Ja jestem tylko kowalem. – Wyciągnął dłonie w stronę światła, mocno napinając palce. – Ja mam swoje tajemnice, a oni swoje.

– To prawda. Każdy nosi w sobie jakiś sekret – przytaknęła, jednocześnie zdejmując placki z patelni. Podała mu jeden. – Mówi się, że pierwsza Margee miała leczniczą moc i przekazała ją swym bezpośrednim potomkom. Oprócz tego jednak mamy i inne zdolności. – Ugryzła świeżo upieczony placek. Jej klejnoty połyskiwały przy każdym ruchu. – Powiedz mi – zapytała, gdy przełknęła kęs – dlaczego porzuciłeś swój Klan i zostawiłeś najbliższych dla celu, którego być może nigdy nie uda ci się osiągnąć? Czy straciłeś ich szacunek, gdy nie wybrano cię kolejnym kowalem?

W jakiś nieokreślony sposób zawsze potrafiła wydobyć z niego prawdę.

– Byłem dobrze przygotowany i ojciec mianowałby mnie swym następcą, gdyby nie jego gwałtowna śmierć. Ale Ibbets, jego brat, czekał na to zajęcie od lat. I jest naprawdę dobry. – Z trudem przeszło mu to przez gardło, ale wiedział, że nie było w tym przesady. – Tylko że on nigdy nie szuka nowych rozwiązań. Trzyma się kurczowo starych sposobów. Ja chciałbym wiedzieć więcej... Na przykład, dlaczego Kupcy przywożą metal, którego nie możemy obrabiać, choć Praludzie potrafili? Jakie znali techniki, o których my nie mamy dzisiaj pojęcia? Mój ojciec już od dawna wiedział, czym się interesuję, ale zawsze powtarzał mi, że miejsce kowala jest w kuźni. Nie wolno mu porzucać Klanu i gonić za czymś, co być może w ogóle nie istnieje. Po śmierci ojca Ibbets zwołał naradę, przedstawił mnie jako nieodpowiedzialnego młodzika z głową wypełnioną marzeniami i stwierdził, że nie nadaję się na kowala. Potem – tu Sander mocno zagryzł wargi – wspaniałomyślnie zgodził się przyjąć mnie jako ucznia. Ucznia! Mnie, którego szkolił prawdziwy artysta, jakim Ibbets nigdy nie zostanie! Zawsze zazdrościł mojemu ojcu, a mnie chciał wykorzystać do podniesienia własnych umiejętności. Dlatego zdecydowałem się odejść z Klanu. Jeśli uda mi się odkryć sekrety Praludzi, wrócę tam i pokażę mu, jaki ze mnie uczeń!

– I tego pragniesz w życiu najbardziej... upokorzyć człowieka, który upokorzył ciebie? – zapytała, strzepując z dłoni okruchy.

– Nie tylko... Chcę poznać sekrety pradawnych kowali. – Odezwała się w nim teraz dawna

tęsknota. – Chcę wiedzieć, jak pracowali i w jaki sposób udawało im się osiągnąć dużo więcej niż nam teraz. Czy byli tak inteligentni, że to, co od nas wymaga wiele pracy i wysiłku, im przychodziło bez trudu, bo wiedzieli instynktownie, w jaki sposób obchodzić się z metalem? Niektórzy ignoranci, tak mawiał o nich mój ojciec, twierdzą, że ci ludzie posiadli ogromną wiedzę, a przez to stali się źli i niebezpieczni. Wielka Moc usunęła ich tak, jak usuwa się sztaby metalu, by można było na ich miejscu umieścić następne. Być może tak właśnie było. Ja jednak chcę nauczyć się tyle, ile zdołam...

– A wasi Zapamiętywacze nie mogli ci pomóc?

Sander pokręcił przecząco głową.

– To nie nasi przodkowie zamieszkiwali wielkie miasta. Właściwie od zawsze byliśmy pasterzami i pędziliśmy nasze stada. Zapamiętywacze mówią o wielkim trzęsieniu ziemi i ucieczce. Niewiele ludzi i zwierząt wtedy ocalało. Jednak o wcześniejszych czasach wiem tylko to, co opowiadano w mojej rodzinie. Zawsze byliśmy kowalami, ale nie od początku podróżowaliśmy z Klanem. Podobno mój pierwszy znany przodek pochodził z odległej kniei i przyłączył się do grupy podróżników, którzy wtedy przemierzali równiny już mniej więcej od pokolenia. Musieli zacząć wszystko od początku. To, co zachowała moja rodzina, to nie pamięć o Klanie, lecz sztuka wykuwania metalu.

Siedziała na wprost niego ze skrzyżowanymi nogami i bawiła się kieszonkami przy pasie. Teraz skinęła głową.

– Wiedza, która pozwala przeżyć, to coś, czego ludzie trzymają się najbardziej. Jednak poza nią niewiele się pamięta. Chciałabym porozmawiać z twoimi Zapamiętywaczami. Czasem można sporo się nauczyć z niezrozumiałych słów, które mają jednak jakieś znaczenie. Słyszałam o wielu takich słowach... Nie wiemy, co mogą oznaczać... Nazwy przedmiotów, czynności... – Pokręciła lekko głową. – Tak wiele straciliśmy, zapomnieliśmy. Nawet od Morskich Rekinów można by z pewnością dowiedzieć się czegoś ciekawego. – Spochmurniała i wpatrywała się niewidzącym wzrokiem gdzieś w mrok. – W Padford żyło się dobrze – mówiła jakby sama do siebie, upewniając się co do przeszłości. – Nasze pola z roku na rok stawały się bardziej rozległe. Nie musieliśmy już polegać tylko na morzu, które czasami, szczególnie gdy tylko przybyliśmy na te ziemie, zawodziło nas. Kupcy przybyli w środku lata. Matka targowała się z nimi o książki, które przywieźli, książki napisane jeszcze przez Praludzi. Potem przeczytała część z nich. A to, czego się nauczyła, przekazała mnie. Mogłybyśmy wiedzieć jeszcze więcej, gdyby tylko dano nam czas. – Fanyi zacisnęła dłoń na medalionie. – Dostała to od mojego ojca. Przybył do wioski wraz z Kupcami, jednak nie był jednym z nich. Podróżował z daleka i szukał zaginionej wiedzy. Sam też pisał książkę. Zapisywał w niej wszystko, czego się dowiedział. Jego klan tworzyli ludzie mądrzejsi od wszystkich, których do tej pory spotkałam. Zostawił mojej matce ten naszyjnik z medalionem, by jej dziecko odnalazło z jego pomocą źródło tej wiedzy. Zdradził jej

sekret tego urządzenia... – Dziewczyna umilkła, ale Sander nie mógł się powstrzymać i zapytał:  
– Co się stało z twoim ojcem?

– Umarł – powiedziała beznamiętnie – na jakąś bolesną chorobę. Wiedział, co to było, i wiedział też, która część ciała jest chora. Trzeba było ją usunąć, ale matka nie potrafiła tego zrobić, więc umarł. Wtedy też przysięgła na Wielki Księżyc, że jej dziecko posiadać dawną wiedzę, dzięki której będzie pomagać ludziom z wioski. Jednak ani jej, ani mnie nie wolno było opuścić wioski i ruszyć w podróż. Miałymy obowiązki wynikające z naszego pochodzenia. Musiałyśmy zaklinać wodę, gdy rybacy wypływali na połów, błogosławić ziemię i ziarno, by dało jak najlepszy plon. Tego wymagała od nas tradycja. Teraz jednak... mam zamiar dowiedzieć się, co jest za drzwiami, które otwiera ten klucz. – Cały czas trzymała w ręku medalion. – Ale, na Wielki Księżyc, dlaczego zwrócono mi swobodę w tak okrutny sposób?

Zbliżała się noc i tylko ogień dawał jeszcze odpór nadciągającym ciemnościom. Sander wstał i gwizdnął ostro. Właśnie zdał sobie sprawę, że Rhin nie wrócił do obozowiska. Często tak robił, ale w tym zupełnie obcym miejscu Sander wolał go mieć cały czas przy sobie.

– Nie ma go nigdzie w pobliżu – powiedziała cicho dziewczyna. – I one mają swoje własne sprawy i tajemnice. Nie możemy żądać od nich więcej, niż same chcą nam dać.

– Nie podoba mi się to – wyszeptał Sander, choć wiedział, że dziewczyna ma rację. Obaj, kowal i Rhin, dobrowolnie przystali na własne towarzystwo. Jeśli Sander spróbuje zmusić kojota do czegoś, zwierzę odejdzie. Chcąc nie chcąc, musiał pogodzić się z losem. Usiadł na ziemi przy ognisku i już po chwili spał lekkim snem, budząc się co jakiś czas i dorzucając do ognia.

Dziewczyna nie położyła się od razu. Wyjęła z zawiniątka cztery niewielkie kostki z narysowanymi kropkami. Wyglądziła pole przygotowanego na posłanie płaszcza i rzuciła kości, które rozsypały się po materiale, każda inną stroną do góry. Fanyi pochyliła się i przyjrzała uważnie punktom na zewnętrznych ścianach kostek. Zmarszczyła brwi. Pozbierała sześcianiki i rzuciła jeszcze raz. I tym razem nie wyglądała na zadowoloną. Nie podjęła jednak trzeciej próby. Chowając kości z powrotem do torby, zdradzała wyraźne oznaki niepokoju. Usiadła przy ogniu i wpatrywała się w płomień. Sander słyszał, jak mamrotała coś sama do siebie, może w dziwnym języku, który miał jakiś związek z jej Mocą.

Po chwili westchnęła cicho i owinięta w tunikę ułożyła się do snu. Sander miał cały czas wrażenie, jakby dziewczyna robiła to wszystko wbrew sobie. Czuł jej niepokój. W końcu wydawało mu się, że usnęła. Jeśli powodem jej niepokoju był fakt, że kuny nie powróciły na noc, nie dała tego po sobie poznać. Tymczasem kowala coraz bardziej zastanawiała nieobecność Rhina.

Gdy nad ranem przeciągnął się i sięgnął po bukłak, kojota wciąż jeszcze nie było w obozowisku. A pojemnik na wodę był już prawie pusty. Sander wiedział, że Rhin potrafi szybko odnaleźć źródło lub strumień, tyle że teraz nie było go w pobliżu. Kowal wiedział

oczywiście, że zwierzę nie zgubi się i później łatwo trafi na ich ślad, ale właśnie w tej chwili potrzebowali jego pomocy. Jeszcze raz gwizdnął przyzywająco. Nie usłyszał znajomego skowytu, a tylko świergot ptaka ukrytego gdzieś wśród drzew.

Fanyi usiadła na posłaniu. Z jednej z kieszonek wyjęła wysuszony, czerwony owoc i skrupulatnie podzieliła go na dwie części.

– Nie ma go nigdzie w pobliżu – powiedziała.

– A co z twoimi? – zapytał ostro.

– To samo. Myślę, że polują gdzieś tam – wskazała w głąb puszczy. – Mówiłam ci już, że w lesie czują się bardzo dobrze.

– Potrafią znaleźć wodę? – Potrząsnął prawie pustym bukłakiem.

– Jeśli zechcą. – Spokój w jej głosie irytował go. – Ale to nie jedyny sposób. Sama znam parę innych. Wygląda na to, że teraz będziemy musieli sami nieść bagaże – dodała patrząc na toboły, które dotąd dźwigał Rhin. – Cóż, dla mnie to nie pierwszozna. – Rozłożyła na ziemi tunikę, poukładała na niej wszystkie swoje torby i zwinęła je w jeden toboł.

Sander szybko przełknął owoc, który mu dała. Miał ostry smak i raczej nie mógł zaspokoić głodu. Kowal miał nadzieję, że w lesie natkną się na jakąś większą zwierzynę. Obfity mięsny posiłek zdecydowanie poprawiłby mu nastrój.

Ze swoich bagaży zrobił coś w rodzaju plecaka. Użył w tym celu siodła. Najcięższe okazały się oczywiście narzędzia kowalskie, i Sander żałował w duchu, że nie ma z nimi teraz kojota. Rhin sprawdzał się nie tylko w walce. Był również nieocenioną pomocą, jeśli trzeba było przenieść coś ciężkiego lub niewygodnego. Sander miał złe przeczucia. Nie wiedział, na co mogą natknąć się w tej nieznannej krainie. No a jeśli Rhin wpadłby w jakieś tarapaty, kowal nie miał pojęcia, jak go odnaleźć.

Plecak ciążył mu okropnie, ale Sander ani myślał skarżyć się głośno. Dodatkowym wyzwaniem było dla niego zachowanie dziewczyny. Fanyi maszerowała śmiało w stronę lasu, ruszył więc za nią. W rękę trzymał gotowy do strzału miotacz.

Drzewa były ogromne, o grubych i rozłożystych konarach. Niektóre liście przybrały już kolory jesieni, inne powoli opadały na ziemię. Szli teraz po miękkim dywanie z listowia, który formował się tu od wieków.

Po raz pierwszy Sander zdał sobie sprawę z czegoś, czego wcześniej nie przewidział. Na otwartej przestrzeni można było wybrać jeden punkt i zmierzać w jego kierunku bez zbaczania z obranego kursu. Tutaj, gdzie wszystkie drzewa wyglądały podobnie, trudno było zorientować się co do kierunku. Niewykluczone, że cały czas zataczali koła.

Zatrzymał się. Może rozważniej byłoby trzymać się brzegu morza, gdzie trudno pomylić drogę. Fanyi również stanęła i spojrzała na niego przez ramię.

– Co się stało?

Choć wstydził się swojej bezradności, musiał powiedzieć prawdę.

– Wszystko dookoła jest takie samo... Nie wiadomo, czego się trzymać.

– Niezupełnie. Byłam tu już wcześniej. Niedaleko stąd jest droga... na północ.

Droga? Powiedziała to z takim przekonaniem, że nie śmiał wątpić. Ale droga, tutaj?...

Fanyi ponagliła go, więc z wahaniem ruszył za nią. Wszędzie dookoła widział tylko drzewa. Nie wiedział już, w którym miejscu weszli w ten labirynt konarów i pnączy. Jednak dziewczyna pewnie podążała naprzód.

Po jakimś czasie rzeczywiście dotarli do mniej zarośniętego zakątka. Było tu mniej zgniłych liści, ale za to pełno zdradliwie wyglądających dziur i wgłębień. Widać było wyraźnie, że choć zniszczona przez atakujące z obu stron korzenie i pędy, ziemia była w tym miejscu wyjątkowo równa.

Droga biegła prosto przez las, a drzewa, które ją otaczały, były niewysokie, docierało tu więc sporo światła. Fanyi znów ponagliła go ruchem ręki.

– A nie mówiłam? Tę drogę zbudowali jeszcze Praludzie. Choć przez wieki bardzo się zniszczyła, wciąż jednak widać, któredyś biegnie. O, tutaj skręca. – Pokazała na zachód. – Ale gdzie się zaczyna, nie wiem.

Sander wyraźnie widział zakręt. Dlaczego drogę zbudowano w środku puszczy? Czy nie prościej było pociągnąć ją przez otwartą przestrzeń? Zastanowiło go to. Droga była węższa niż te, o których wiedzieli ludzie Zgromadzenia – Mattly natknął się kiedyś na podobny trakt. Tamte były tak szerokie, że nawet Zapamiętywacze nie potrafili powiedzieć, jak ogromne armie nimi wędrowały.

Nawierzchnia była tak zniszczona, że poruszali się ostrożnie i powoli. W każdej chwili można było źle stąpnąć i wpaść nogą w zakryty pnączami wykrot. Droga doprowadziła ich do wody.

Sander usłyszał szum strumienia, zanim jeszcze dotarli nad jego brzeg. Strumień przecinał w tym miejscu drogę, jednak po moście zostało tylko jedno bardzo zniszczone przęsło. Dokoła roilo się od małych muszek, które tańczyły w przebijających przez listowie promieniach słońca. W powietrzu krążyły też większe owady, które cały czas pożerały mniejsze muszki. Strumień był bystry, a woda tak czysta, że bez trudu można było dostrzec brązowe kamienie na dnie. Sander zostawił bagaże Fanyi, wziął bukłak i zszedł nad wodę, by go napęlić.

Stąpając po pokrytych mchem i wygładzonych przez strumień blokach, jedynej pozostałości po moście, przedostali się na drugą stronę. Teraz, gdy mieli już wodę, należało rozejrzeć się za czymś do jedzenia.

Wokół latało mnóstwo ptaków, ale wszystkie zbyt małe i szybkie, by Sander mógł je upolować. Poza nimi kował nie zauważył w lesie innych zwierząt. Również w strumieniu nie widział ryb, choć woda była tak przejrzysta, że nie mógłby ich przeoczyć.

Fanyi złapała go za ramię i o mało nie wrzuciła do wody. Odwrócił się wściekły, ale wyraz jej twarzy szybko ostudził jego gniew. Wyraźnie czegoś nasłuchiwała.

Rhin! Sander poczuł się, jakby ktoś zdjął mu z pleców ogromny ciężar. Chciał gwizdnąć na kojota, ale dziewczyna błyskawicznym ruchem zasłoniła mu usta.

I on wsłuchał się teraz uważnie w odgłosy lasu. Wiedział, że to, co usłyszała, nie wróżyło nic dobrego.

Nie był to właściwie dźwięk, ale jakby wibracja powietrza... dochodząca z bardzo, bardzo daleka. Sander odsunął rękę Fanyi ze swoich ust i wyszeptał:

– Co to?

Dziewczyna zmarszczyła brwi. Miała teraz zaniepokojoną minę, tak samo jak w nocy, gdy rzucała kostkami.

– Nie wiem – odparła jeszcze ciszej niż on. – Ale ma Moc. Na pewno. O tych jej Mocach nie wiedział prawie nic. Zgromadzenie miało wprawdzie znachora, ale on potrafił tylko składać kości, opatrywać rany i leczyć niektóre choroby przy użyciu ziół. Ludzie Zgromadzenia wiedzieli wprawdzie coś niecoś o istnieniu Potęgi, z którą nic nie mogło się równać. Dlaczego jednak miałyby się nimi interesować? Mówiło się też, że Mroczne Czasy były karą dla Praludzi za to, że weszli w konflikt z Potęgą. I jeśli było w tym choć trochę prawdy, a taki panował pogląd między członkami Zgromadzenia, to najrozsądniej było po prostu zostawić Ją w spokoju.

Jednak opowieści Fanyi dotyczyły czegoś innego. Rzeczy takie jak przewidywanie przyszłości były Sanderowi zupełnie obce. Możliwe, że gdzieś na świecie żyli teraz ludzie mniej przerażeni Potęgą, którzy zawarli z nią nawet jakiś pakt. Wynikiem takiego paktu mogły być Moce, o których mówiła dziewczyna. A skoro to były jej rodzinne strony, musiał zdać się na nią... Oczywiście tylko do pewnego stopnia.

– Jaka Moc? – wyszeptał.

Chwyliła medalion i wpatrywała się w migoczące na jego powierzchni światełka, zupełnie jakby spodziewała się tam znaleźć odpowiedź.

Sander czekał, aż dziewczyna się odezwie. Zastanawiał się, czy migotanie medalionu wskazywało, że są już bliżej tego legendarnego miejsca wiedzy, o którym mówiła. Cokolwiek by to jednak znaczyło, Fanyi nie wyglądała na zadowoloną. Powoli pokręciła głową.

– To nie to, czego szukamy. – Jej głos brzmiał bardzo pewnie. – Przed nami jest coś mrocznego. Mamy jednak drogę...

– ...którą możemy wrócić – wtrącił Sander. – Łatwiej będzie podróżować wzdłuż brzegu. Trzeba było od razu tak zrobić.

Knieja, która wcześniej stanowiła obietnicę kryjówki, teraz zmieniła się w pułapkę. Nie podobało mu się to. Wolał podróżować po otwartym terenie. Tam, choć odsłonięty i na widoku, sam mógł też wcześniej dostrzec czyhające niebezpieczeństwo.



– No, chodźmy! – Złapał ją za ramię, tak jak ona zrobiła to parę chwil wcześniej.

Spojrzała jeszcze raz na medalion i z powrotem zawiesiła go na piersiach.

– Zgoda.

Właściwie spodziewał się jej sprzeciwu. To, że od razu przystała na jego propozycję, bardzo go ucieszyło. Być może instynkt ostrzegł kojota przed tym miejscem i dlatego zwierzę nie dołączyło do nich.

Po raz drugi przekroczyli strumień i ruszyli tą samą drogą, która ich tutaj przywiodła. Szli najszybciej, jak mogli. Przez cały czas Sander bardziej czuł, niż słyszał dziwne wibracje. Wydawało mu się, że nawet jego serce biło tym samym co one rytmem. Czuł, jakby to dudnienie przenikało mu całe ciało. Odgłos nie zniknął nawet wtedy, gdy oddalili się od miejsca, w którym usłyszeli go po raz pierwszy. Przeciwnie, zdawał się wędrować równo z nimi, pozostając przez cały czas w tej samej odległości.

Pułapka, w której się znaleźli, zadziałała, gdy dotarli do zakrętu. Atak kompletnie ich zaskoczył. Przechodzili właśnie pod konarami olbrzymiego drzewa, kiedy z góry spadła na nich sieć. Zanim Sander zdążył wykonać jakikolwiek gest, siatka ciasno go oplotła. Nie miał żadnych szans. Nie była to zwyczajna sieć, jakich widział wiele. Sznur, z jakiego była spleciona, oblepiała jakaś kleista substancja, dzięki której szczelnie oplatała ofiarę, a każdy ruch sprawiał, że zaciskała się coraz mocniej.

Sander nie mógł nawet sięgnąć po nóż. Co więcej, nie był w stanie odrzucić bezużytecznego w tej sytuacji miotacza, który przywarł mu do ręki. Po chwili poczuł szarpnięcie i coś przewróciło go twarzą do ziemi. Zgniłe liście zatkały mu usta i nos. Spróbował odwrócić głowę, by odetchnąć swobodnie, i wtedy zobaczył tych, którzy pojмали ich w tak dziecinnie łatwy sposób.

Bełkocząc między sobą, zeskakiwali teraz z drzew, pomagając jeden drugiemu. Byli niewysocy i mocno owłosieni, ubrani w coś, co przypominało krótkie fartuchy utkane z pędów winorośli. Włosy porastały im zewnętrzną stronę ramion i nóg, barki i wydatne brzuchy, które widać było wyraźnie spod fałd fartucha. Ich twarze, całkiem gołe, pomarszczone, mocno czerwone, kontrastowały z oliwkowobrazową skórą ciała, dającą się zauważyć mimo bujnego owłosienia.

Sander nie rozumiał ich skrzekliwego języka, a poza pałkami nie dostrzegł żadnej innej broni. Po chwili zobaczył, że jedna z istot zmierza prosto w jego kierunku. Cios był bardzo silny i kował poczuł, jakby coś w jego głowie nagle eksplodowało. Nie stracił jednak przytomności.

Gdy go podniesiono, cały czas opleciony był siecią. Leśne stwory cuchnęły tak bardzo, że aż go zemdliło. Pomrukiwały niewyraźnie i raz po raz głośno prychały. Być może ważył zbyt dużo i to im przeszkadzało.

Musieli zauważyć, że wciąż jest przytomny i mniej więcej wie, co się z nim dzieje, bo jeden

z leśnych ludzi – jeśli w ogóle można było określić ich tym mianem – zbliżył szkarłatną gębę do jego twarzy, wyszczerzył zęby i znacząco potrząsnął pałką tuż nad głową kowala. Sander nie chciał znowu oberwać. Nie było sensu dać się stłuc na miazgę. Leżał więc spokojnie i czekał, co będzie dalej.

Kowal, ciasno opleciony siecią, poczuł, że znajdują się wysoko nad ziemią. Widocznie leśne stwory zazwyczaj poruszały się po drzewach. Głowa bolała go niemiłosiernie; cały czas miał wrażenie, że za chwilę runie w dół i roztrzaska się o ziemię. Uczucie to wzmagало się, gdy przekazywali go sobie z konara na konar. W końcu zamknął oczy i starał się zebrać siły. Na pewno będzie ich potrzebował, gdy skończy się ta koszmarna podróż.

Nie miał wątpliwości, że Fanyi przechodziła teraz podobne męczarnie, jednak nie słyszał, by dała to po sobie poznać. Możliwe, że była nieprzytomna. Stało się jasne, że choć wiedziała sporo o tych lasach, atak człekokształtnych stworów zupełnie ją zaskoczył.

Nawet teraz, otepiały i półprzytomny, Sander widział, że istoty te nie miały z ludźmi zbyt wiele wspólnego. Różniły się też od zwierząt, z którymi członkowie Zgromadzenia utrzymywali pewne kontakty. Czerwona, warcząca gęba, która pojawiła się przed nim chwilę wcześniej, kryła w małych, ruchliwych oczkach tylko nienawiść i nieokiełzaną dzikość. W dodatku leśne stwory rozsiewały dookoła dławiący smród.

Sander czuł, że ciągną ich gdzieś w głąb kniei. Dudnienie nie ustało i mieszało się teraz z łomotem serca, które waliło mu jak szalone. Nie przypominał sobie, by Kupcy wspominali o czymś takim w swoich opowieściach. Bum... bum...

Dudnienie nie wykrystalizowało się jednak w żaden konkretny dźwięk, choćby taki jak głośne pulsowanie krwi, które czuł teraz w skroniach. Zupełnie jakby całe ciało poddało się temu dudnieniu i pulsowało razem z nim. Pomruki leśnych stworzeń (Sander dalej nie potrafił myśleć o nich jak o ludziach) nasiliły się teraz.

Nagle kowal poczuł gwałtowny wstrząs, a chwilę później kolejne uderzenie. Ból rozszedł się po głowie niczym gorąca fala. Ocknął się już na ziemi. Słońce świeciło mu prosto w twarz, tak że musiał zamknąć oczy.

Gdy przekręcił lekko głowę i otworzył je z powrotem, zdążył jeszcze zobaczyć ostatniego ze stworów, który wskakiwał na drzewo po przeciwnej stronie polanki.

Czyżby odeszli?... Może więc była jakaś szansa ucieczki? Uścisk sieci stawał się nie do wytrzymania. Sander mógł wprawdzie czołgać się powoli, ale żadne z pnączy nie obluźowało się przez to ani trochę. Przeciwnie, miał wrażenie, że z każdą chwilą sieć zaciska się coraz mocniej. Zdołał się jednak obrócić na tyle, by pośród lin, które ją krępowały, dostrzec Fanyi.

Nigdzie nie zauważył leśnych stworów. Polanka, na której leżał, była usłana kamieniami.

Uwagę kowala przykuło stworzenie, które przykucnęło na jednym z nich.

Postać wyglądała jak wyciosana z drewna, w dość zresztą prymitywny sposób. Miała z pewnością przedstawiać jednego z leśnych stworów, choć była przynajmniej trzy razy wyższa. Od razu też rzuciło się w oczy, że to samica. Jej ohydna twarz przypominała szkarłatną plamę. Przygarbione ramiona oplatał naszyjnik z wypolerowanych orzechów i nasion. Istota siedziała z rękami po bokach, a głowę miała wysuniętą do przodu w taki sposób, jakby przyglądała się więźniom.

I nagle...

Jedno z małych i, jak mu się wydawało, zrobionych z kwarcu lub kolorowego kamienia oczu mrugnęło nieznacznie. To coś... żyło!

Sander poczuł, że usta ma suche i spierzchnięte. Mógł pogodzić się z obecnością posążka, ale fakt, że ożył... To było już ponad jego siły. Koszmar stał się rzeczywistością. Monstrum otworzyło paszczę i pokazało dwa rzędy ostro zakończonych kłów, z których jeden był wyraźnie krótszy i ułamany. Spomiędzy zębów, niczym obrzydliwy robak, wysunął się długi blady jęzor.

Stworzenie uniosło głowę i zawyło. Był to przedziwny głos – przypominał okrzyki żerujących w nocy zwierząt. Wezwaniu odpowiedział chór cichszych głosów. Sander zorientował się, że leśne istoty ukryte w koronach drzew odpowiedziały na sygnał dany przez monstrum.

Choć nie miał pojęcia, co znaczący te niesamowite dźwięki, czuł narastający strach i napięcie. Miał wrażenie, jakby wkręcono go w imadło. Kompletnie nie mógł się poruszyć. Sieć oplatała go coraz mocniej. Czuł, jak bagaż wbija mu się w plecy.

– Aeeeeheeee! – Jak przez mgłę przypomniał sobie, że słyszał już gdzieś taki okrzyk. To Fanyi. Jednak teraz brzmiał w nim ton biernej rozpacz, a nie wołanie o pomoc.

Monstrum ucichło. Spasione cielsko przesunęło się na skraj legowiska i wysunęło głowę do przodu. Małe oczka uważnie przyglądały się więźniom. Chwilę później, prawie niedbałym gestem, stwór chwycił leżący obok kamień i cisnął nim w dziewczynę.

Kamień wylądował o parę centymetrów od jej głowy. Kowal pomyślał, że gdyby stworzenie chciało trafić, Fanyi leżałaby teraz na polance z roztrzaskaną czaszką. Ostrzeżenie było zupełnie jasne, ale dziewczyna nie zwróciła na nie najmniejszej uwagi.

– Aeeeeheeee! – Po raz kolejny wysłała sygnał, który odbił się echem wśród leżących na polanie głazów.

Sander wreszcie sobie przypomniał. W ten sposób Fanyi przywołała Kai i Kayi, gdy byli jeszcze na równinie. Czyżby wyczuła gdzieś w pobliżu obecność swoich towarzyszy?

Ogromna samica chrząknęła głośno i wyciągnęła grube ramię, szukając następnego kamienia. Po chwili z niemałym trudem podniosła się i wstała. Sander głośno wypuścił powietrze z płuc. Choć jej legowisko znajdowało się wyżej, niż leżeli więźniowie, wyraźnie było

widać, że jest od kowala wyższa przynajmniej o głowę. Górowała wzrostem nie tylko nad leśnymi stworami, ale i nad ludźmi, których znał.

Powoli zesza z podwyższenia. Stąpała niepewnie, jakby bojąc się, że kamienie obsuną się pod jej ciężarem. Gdy stanęła już na ziemi, pochyliła się, by złapać Fanyi. Sander szarpnął się w beznadziejnej próbie uwolnienia z krępujących go więzów. Czuł, że za chwilę będzie świadkiem czegoś przerażającego.

Nagle w powietrzu przemknęło coś z sykiem. To Kai, niczym uskrzydłony, wylądował na karku samicy i wpił się zębami w jej masywną, grubą szyję.

Leśny potwór zawył i wyprężył się jak struna. Próbował strząsnąć z pleców kunę, która wgrzyzała się głęboko w jego ciało. Kilka sekund później na polanie pojawiła się mniejsza kuna – Kayi. Nie skoczyła z góry na samicę, lecz podbiegła i wbiła kły w jej mięsistą pierś.

Skowyt samicy wywołał poruszenie w koronach drzew. Sander spodziewał się, że za chwilę przybędą z odsieczą jej podwładni, ale widać żaden z nich nie odważył się zeskoczyć na ziemię. Leśne istoty pokrzykiwały tylko, obserwując zmagania samicy i kun. W końcu stworowi udało się odtrącić Kayi. W szczękach kuny tkwił kawał krwawego mięsa. Gdy jednak samica usiłowała zrzucić z siebie Kai, mniejsza z kun zaatakowała ponownie, najwyraźniej niezrażona niepowodzeniem.

Nagle z gardła monstrum trysnęła fontanna krwi. Kayi musiała przegryźć tętnicę. Leśna samica wydała rozpaczliwy krzyk i osunęła się na kolana. Kayi rzuciła się na nią, ze zdwojoną furią szarpiąc jej ciało. Stworzenie próbowało jeszcze strącić Kai z ramion, ale w chwilę później osłabło i runęło na ziemię. Jego okropna, przypominająca maskę śmierci głowa spoczęła na kamieniach, mokrych teraz od potoków cuchnącej krwi. Na polanie zaległa martwa cisza.

Kuny wycofały się, jakby nie mogły znieść zapachu i smaku ciała samicy. Sander zamarł. Czekał na odpowiedź stworów ukrytych w koronach drzew. Był pewien, że za chwilę wpadną na polanę i zatłuką na śmierć obie bestie, a także bezbronnych więźniów. Choć monstrum leżało pokonane, on i Fanyi byli w dalszym ciągu bezsilni.

Dudnienie ustało. Kowal uświadomił sobie, że już go nie czuje. Jednak w koronach drzew cały czas słychać było szmer i szelest liści. Sander przygotowywał się w duchu na ostateczny atak. To, że leśni ludzie nie rzucili się na nich, jeszcze bardziej go przerażało. Bał się, że nie zabiją ich od razu, ale poddadzą jakimś wyszukany i okrutnym torturom.

Kuny przykucnęły przy Fanyi. Cały czas uważnie obserwowały pobliskie drzewa. Choć pokazały, że potrafią walczyć, Sander wiedział, że jeśli leśne stwory użyją sieci, kuny będą tak samo bezradne jak ich pani.

Sekundy mijały bardzo powoli. Nastąpiła zupełna cisza. Umilkły szmery w koronach drzew. Słońce prażyło niemiłosiernie. Na polanie unosił się zapach śmierci.

– Odeszli – przerwała Fanyi panującą ciszę.

– Co? – Spróbował unieść głowę i przyjrzeć się lepiej otaczającym ich drzewom.

– Odeszli – powtórzyła dziewczyna.

Może tylko na chwilę? Nie uwolnili przecież jeńców. Teraz, gdy nie groziło im już bezpośrednio niebezpieczeństwo, Sander zdał sobie sprawę, jak mocno sieć wpijała mu się w ciało; ból był nie do zniesienia.

– Nie ruszaj się – powiedziała Fanyi. – Słyszałam coś niecoś o tych pnączach. Można się z nimi uporać... Leż spokojnie, a ja postaram się wytłumaczyć Kayi, co ma robić.

I tak nie mógł nawet drgnąć. Leżał więc nieruchomo, gdy nagle ogarnęło go przerażenie. Jeśli nie uda mu się oswobodzić, a liny będą dalej zaciskać się na jego ciele, w końcu potną go na kawałki. Jego własny bagaż zgniecie go na miazgę. Przerazało go też, że był całkiem bezsilny. Mógł tylko leżeć jak kłoda i czekać na ratunek.

Słońce paliło mu twarz. Ból głowy wrócił; powodował nieznośną suchość w ustach i pragnienie. Sander marzył choćby o kropli wody... i o tym, by wreszcie swobodnie rozprostować kości. Kayi siadła przy Fanyi. Pyskiem dotykała prawie jej twarzy. Panowała całkowita cisza. Dziewczyna i kuna wymieniały długie spojrzenia.

Tymczasem Kai krążył po polanie. Zatrzymywał się pod każdym drzewem i spoglądał w górę, szukając leśnych stworów. Jego masywna sylwetka co chwila pojawiała się i znikwała za skalnymi blokami. Raz czy dwa wspiął się na tylnych łapach, oparł o pień drzewa i węszył. Zupełnie jakby chciał wyczuć coś, czego nie mógł zobaczyć.

Sander spojrzał z powrotem na Fanyi i Kayi. Kuna odeszła od dziewczyny i umoczyła przednie łapy we krwi zabitej samicy. Po chwili wytarzała je w piasku, który zmieszał się z krwią i utworzył grubą, błotnistą skorupę.

Tak przygotowana, Kayi wróciła do dziewczyny i zabrała się do rozrywania pnączy. Widać było, że używa do tego całej siły.

Musiała jeszcze parę razy umoczyć łapy we krwi, a potem w piasku, by nie kleiły się do lepkich pnączy. Sander zaczął powoli tracić przytomność. Raz po raz zapadał w letarg, to znowu trzeźwiał na moment. Potworny ból w głowie i ucisk sieci powodowały, że co chwila mdlał, tracąc przy tym poczucie upływającego czasu. Cały czas obawiał się, że leśni ludzie powrócą, ale teraz było mu już wszystko jedno. W końcu osłabł i stracił przytomność.

Gdy się ocknął, poczuł jakiś płyn ściekający mu po policzku. Wciąż nie bardzo świadomy tego, co się dzieje, przełknął z trudem kilka kropel. Mógł teraz swobodnie oddychać i nie czuł nieznośnego ucisku. Poruszył się i już wiedział, że jest wolny. Fanyi pochylała się nad nim, próbując wlać mu do ust trochę wody.

– My... – Jego głos brzmiał słabo i dochodził jakby z oddali.

– Możesz się ruszać? – spytała dziewczyna. – Spróbuj! Możesz usiąść... wstać?...

Jej ponaglący ton nie przedarł się przez zasłonę ośpienia. Jednak posłuszny poleceniom,

kował najpierw spróbował uklęknąć, a potem, z pomocą Fanyi, chwiejnie wstał.

Promienie słońca nie paliły już tak mocno. Wciąż jednak znajdowali się na polanie, a ciało samicy... Sander szybko odwrócił wzrok.

– Chodź! – Dziewczyna pociągnęła go za sobą, więc w końcu ruszył naprzód. Po paru krokach zatrzymał się jednak i zawahał.

– Moje narzędzia! – Była to pierwsza trzeźwa myśl. Nie miał zamiaru porzucić rzeczy, z którymi wiązała się cała jego przeszłość.

– Kai je przyniesie! – rzuciła dziewczyna. – Chodź wreszcie! Kai szedł za nimi, taszcząc bagaż kowala i co chwila zerkając na pakunek, który od czasu do czasu zaczepiał o jakiś głąz lub wystającą gałąź. Sander nie protestował. Wiedział, że jest zbyt słaby, aby dźwigać taki ciężar samemu.

Ruszył przed siebie chwiejnym krokiem. Czuł, jak krew na nowo zaczyna krążyć w odrętwiałych członkach. Świadomość, że powracają mu siły i znów może trzeźwo myśleć, poprawiła mu nastrój.

– A co z leśnymi... – Próbował znaleźć słowa, które wyraziłyby najlepiej to, co chciał powiedzieć.

– Nie wrócili... Nie wiem, czemu – przyznała dziewczyna. – Może po śmierci samicy boją się Kai i Kayi i nie chcą im wchodzić w drogę. A może czają się gdzieś dalej. Tym razem jednak nie zaskoczą nas tak łatwo. Moje kuny nie pozwolą im podejść niepostrzeżenie.

– Dokąd idziemy?

– Niedaleko stąd jest ścieżka – odparła. – Biegnie na prawo... na wschód. Myślę, że bezpiecznie będzie podróżować wzdłuż morza, z daleka od lasu.

Całkowicie się z nią zgadzał. Fanyi podeszła bliżej i oddała mu miotacz strzałek.

– To twoja broń. Trzymaj ją w pogotowiu. Nie wiadomo, jaką zemstę mogą obmyślić te stwory.

Z radością wziął miotacz. Jeśli miała rację i kuny rzeczywiście mogły ostrzec ich przed następną zasadzką, taka broń mogła się przydać.

Tym bardziej że z tego, co zauważył, ich przeciwnicy uzbrojeni byli tylko w prymitywne maczugi.

Widząc, że kowal może już iść bez pomocy, Fanyi wysunęła się trochę do przodu. Niosła swój bagaż sama, a u jej boku kroczyła Kayi. Pochód zamykał Kai, który taszczył cały dobytek Sandera. Kowal złapał się na tym, że mimowolnie nasłuchuje.

Zdaje się, że dudnienie skończyło się na dobre. W lesie panowała niczym niezmacona cisza. Nawet ptaki umilkły i wyglądało na to, że są w tej głuszy jedynymi żywymi istotami. Chwilę później jednak Sander usłyszał jakiś stłumiony, odległy dźwięk, jakby warczenie. Rhin! Jeśli kot szedł ich tropem, on także może wpaść w zasadzkę! A Sander nie miał żadnego sposobu,

by go ostrzec. Chociaż...

Zatrzymał się, nabrał powietrza i wydał głośny okrzyk. Nie był to gwizd, którym zwykle przywoływał kojota. Przypominał raczej ryk wielkich, górskich kotów. Czy Rhin odbierze ten znak jako ostrzeżenie, tego Sander nie wiedział... Mógł tylko mieć nadzieję, że tak się stanie.

Obie kuny odwróciły się, warcząc głośno. Fanyi też była wyraźnie zaskoczona jego zachowaniem, ale Sander powtórzył sygnał jeszcze dwa razy. Miał nadzieję, że desperacja, która popchnęła go do tego, nadała jego głosowi odpowiednią siłę i ton.

– To dla Rhina – wyjaśnił. – Nie chcę, by i on wpadł w zasadzkę. To okrzyk wojenny dawnych wrogów. Mam nadzieję, że w jego uszach zabrzmiał jak ostrzeżenie.

Dziewczyna kiwnęła ze zrozumieniem głową i ruszyła dalej. Sander zorientował się, że to, co określiła jako ścieżkę, dawniej musiało być całkiem szeroką drogą. Może nie tak szeroką jak ta, którą szli poprzednio, ale z pewnością nie była to zwyczajna leśna ścieżka. A te głazy na polance... Teraz dotarło do niego, że ułożone były dziwnie równo i nienaturalnie. Całkiem prawdopodobne, że zostały tam ustawione przez człowieka, i to w jakimś konkretnym celu.

Z ulgą zauważył, że las stopniowo rzednie. Z radością też przyjął narastający szum, znak, że zbliżali się do morza. Wiedział, że na otwartej przestrzeni będą bezpieczniejsi, a w każdym razie wolni od niespodziewanego ataku z drzew.

Szli teraz coraz szybciej. Sander odzyskał już siły na tyle, by samemu dźwigać swój bagaż. Wśród rzednących drzew pojawiły się pierwsze bloki skalne. Może kiedyś były to domostwa? Jednak nie to zaprzętało teraz kowala. Chciał jak najszybciej wydostać się na otwarty teren. Drzew było coraz mniej. Gęste krzewy, wysoka trawa i porozrzucane wszędzie głazy co chwila zagradzały im drogę. Wciąż musieli zbaczać ze szlaku i obchodzić je dookoła. Kuny bez trudu pokonywały wszelkie przeszkody, jednak Sander i dziewczyna poruszali się o wiele wolniej.

W końcu zobaczył czyste niebo i bezkresne morze, nad którym zawisło zachodzące słońce. Wspiął się na jeden z głazów. Chciał się upewnić, że to, co widzi, nie jest złudzeniem. Wzdłuż plaży, wzbijając w górę tumany piasku, biegł Rhin! Kojot płoszył morskie ptaki, które pokrzykując, latały nad plażą. Sander wyraźnie słyszał tęskne i głośne naszczekiwanie Rhina.

Przedzierali się teraz przez gęste krzewy, buty trzeszczały na piasku. Podmuch świeżej, morskiej bryzy wywiał z ich głów niemiłe wspomnienie nawiedzonego lasu. Rhin podbiegł do nich i zaczął obwąchiwać kowala. Musiał wyczuć zapach sieci lub nieprzyjemną woń leśnych stworów, bo warknął cicho. Skierował rozumny wzrok w stronę kniei i wyszczerzył zęby.

– Nie trzeba! – uspokoił go Sander. – Jesteśmy wolni!

Aby jak najszybciej oddalić się od linii lasu, znów ruszyli na północ. Tym razem jednak trzymali się brzegu morza i szli wzdłuż plaży. Na wiele kilometrów przed i za sobą mogli teraz zauważyć niebezpieczeństwo, gdyby im groziło.

– Kto... co to było? – spytał Sander, gdy już rozbili obóz między wydmami. W ognisku

piekły się kraby, które Rhin powyciągał z jam na plaży. – Słyszałaś coś o nich lub widziałaś ich kiedyś wcześniej?

– Leśnych ludzi? – Fanyi rozpakowała właśnie swój bagaż i przeglądała starannie cały dobytek. Widocznie bała się, że w czasie ostatniej przygody coś mogło ulec uszkodzeniu. – Nie wiem, kim oni są. Widocznie przybyli tu niedawno. Moi ludzie wędrowali po tych lasach każdej jesieni w poszukiwaniu orzechów i nigdy nie natknęli się na te istoty. Dlaczego zapytałaś, co to było? Nie uważasz ich za ludzi?

– No... nie wiem. Są bardziej podobni do zwierząt... Niewiele mniej niż Rhin czy twoje kuny. Jak myślisz, dlaczego służyli tej samicy?

– W Mrocznych Czasach zaszło w ludziach i zwierzętach wiele dziwnych zmian. Mój ojciec – ręka Fanyi zacisnęła się na medalionie – sporo o tym wiedział. Opowiadał matce o zwierzętach, które coraz bardziej upodabniały się do ludzi. Możliwe, że było i na odwrót. Niektórzy ludzie mogli z czasem zbliżyć się do zwierząt. Te leśne stwory wyglądały na gorzej rozwinięte nawet od niewolników, a jednak było wyraźnie widać, jak mocno są ze sobą związane. – Sander spostrzegł, że oczy dziewczyny płoną teraz tym samym blaskiem, jak wtedy, gdy opowiadała mu o ludziach, którzy wymordowali rybaków z Padford. – Myślę, że chcieli złożyć nas w ofierze i w ten sposób przypochlebić się samicy.

Kowal poczuł nieprzyjemne mrowienie na plecach. Wolał nawet nie myśleć o tym, co by się stało, gdyby zwierzęta nie przyszły im z odsieczą. Zauważył, że ani jego kojot, ani kuny nie oddaliły się tej nocy od obozowiska. Zwierzęta cały czas trzymały się blisko ognia. Może tak samo jak ludzi przeraziła je odmienność tego świata i czuły niebezpieczeństwo czające się w ciemnościach.

Zaproponował, by czuwali na zmianę i cały czas dokładali do ognia. Fanyi chętnie na to przystała. Nakłoniła go jednak, by położył się pierwszy. Twierdziła, że przez uciskający bagaż na plecach to on ciężiej zniósł niewolę w sieci. I choć protestował, w konfrontacji z jej troską i dobrą wolą jego męska duma wydała się dziecinna.

Obudził się późno w nocy. Rhin leżał z głową złożoną na przednich łapach. Sander wiedział, że czujny kojot obserwuje go spod przymkniętych powiek. Dorzucił więc do ognia i spojrzął na kuny, które skuliły się w pobliżu paleniska. Między nimi spała Fanyi.

Czyste niebo lśniło tysiącami gwiazd. Jednostajny szum fal działał usypiająco. Sander wstał. Kojot natychmiast uniósł łeb, ale kowal gestem kazał mu zostać, a sam zszedł w dół plaży, zbierając drewno. Był zbyt niespokojny, by usiedzieć w miejscu. Wracając do obozowiska, spojrzął na czarną linię lasu. Czy leśne istoty podążały ich tropem? Czy odważą się opuścić knieję i ruszyć w pościg za tymi, którzy zabili ich... No właśnie, czym była dla nich ta samica? Wodzem? Matką plemienia? A może istotą o nadprzyrodzonej mocy, Szamanką? Pozostanie to już na zawsze tajemnicą mrocznej puszczy. Sander wiedział tylko, że monstrum nie mogło mieć



nic wspólnego z nim czy z Fanyi. Nawet ich zwierzęta wydały mu się bardziej ludzkie od olbrzymiej samicy.

Kowal zdał sobie sprawę, jak wiele niespodzianek może jeszcze kryć ten dziwny świat. Musieli teraz poruszać się o wiele ostrożniej i traktować wszystko, co napotkają na swej drodze, jak potencjalne zagrożenie.

Powoli wrócił do ogniska i dołożył dREW. Rhin uspokoił się i zamknął oczy dopiero wtedy, gdy Sander na nowo usadowił się przy ogniu. Fanyi spała, spokojnie oddychając. Jej twarz przybrała łagodny i niewinny wyraz. Dziewczyna wiele przeżyła. Sander miał świadomość, że ona i jej towarzysze uratowali mu życie. Myśl ta wcale nie poprawiła mu nastroju. Zachował się jak niedoświadczony młodzik, który nie potrafi zapanować nad własnym stadem. Po dzisiejszej przygodzie niewiele miał powodów do dumy.

Zmarszczył brwi. Gniewnym ruchem chwycił torbę i wyciągnął z niej narzędzia. Przyglądał się im uważnie. Oba znalezione w Padford młoty trzeba było zaopatrzyć w solidne trzonki. Na plaży pełno było wysuszonego drewna i patyków. Niestety, nie nadawały się do takiego celu. Gdyby jednak miał trochę czasu, poszukałby odpowiedniego materiału, z którego później można by zrobić solidne trzonki. Popatrzył na młoty i już wiedział, że jeśli odpowiednio dobierze drewno, będą znakomicie wyważone.

Pomyślał teraz o ich poprzednim właścicielu. Ciekawiło go, jakim był kowalem? Przyszło mu nawet na myśl, by zapytać Fanyi, ale zrezygnował. Nie chciał znowu przypominać dziewczynie o tragedii jej bliskich.

Jego myśli pobiegły teraz innym torem. Zaczął się zastanawiać, jaką tak naprawdę broń miała znaleźć dziewczyna w ruinach zaginionego miasta, broń, która pozwoliłaby jej pokonać najeźdźców z południa. Czy naprawdę istniało jeszcze coś takiego? Szczerze w to wątpił. Choć z drugiej strony nie miał wątpliwości, że dziewczyna naprawdę coś wiedziała o położeniu Starożytnego Miasta.

Metal...

Myślał o miedzi, złocie, srebrze... O żelazie. Metale, które znał, łatwo poddawały się obróbce. Gdyby tylko udało mu się posiąść tajemnicę nieznanych stopów, których właściwości nie znał dzisiaj już nikt! Nieświadomie zacisnął dłoń na złamanym trzonku jednego z młotów. Poczul nagły, niespokojny impuls, żeby wstać i biec przed siebie... i jak najszybciej zgłębić tajemnicę, których rozwiązanie obiecała mu dziewczyna.

Pohamował jednak rozpaloną wyobraźnię. Nie mógł do końca zrozumieć istoty tego, czego szukała Fanyi. Nie chciał zbyt liczyć na szczęśliwy los, przynajmniej do momentu, w którym nie zetknie się z nim twarzą w twarz. Powoli zapakował swój dobytek i zawiązał torbę. I tak mieli dużo szczęścia, że udało im się dożyć wieczora.

Przez dwa dni wędrowali po wydmach. Kraina wydawała się całkiem opustoszała. Spotykali tylko morskie ptaki, skorupiaki i kraby, na które polowali. Daleko na zachodzie rozciągała się ciemna linia lasu. Między nimi a puszczą leżała rozległa równina, porośnięta rzadką trawą i krzewami, które słony morski wiatr uformował w dziwne kształty.

Trzeciego dnia, nad ranem, znaleźli się na przedziwnym pustkowiu. Linia brzegu zakreślała tu wyraźnie na wschód. Teren przed nimi obniżał się, odsłaniając krainę, którą dawniej zalewały wody oceanu. Masywne głazy były opasane pierścieniami z martwych skorupiaków, a między wygładzonymi przez wodę kamieniami, na wpół pogrzebane w wyschniętej ziemi, wзираły tu i ówdzie szczątki morskich stworzeń.

Sander chciał iść bardziej na zachód i ominąć pustynię, Fanyi jednak wahała się. W skupieniu obserwowała medalion. Sander wiedział, jak bardzo polegała na tym starożytnym przedmiocie.

– To, czego szukamy, znajduje się tam! – Pokazała wprost przed siebie, na pustynię.

– Daleko stąd? – spytał, bo nie bardzo podobał mu się ten szlak.

– Nie wiem.

– Musimy wiedzieć więcej, jeśli chcemy wędrować przez to pustkowie... – pokręcił głową. – Zapasy są na wyczerpaniu, na pustyni nie znajdziemy nawet krabów i małży, a bukłak z wodą, choć napełniłem go dziś rano przy strumieniu na wydmach, też nie wystarczy na długo.

– Możemy iść na zachód, ale nigdy nie wiadomo, ile drogi trzeba będzie w ten sposób nadłożyć – odparła.

Sander spojrzał w tamtą stronę. Plaża, którą wędrowali dotychczas, przechodziła dalej w skaliste urwisko. Na jego szczycie rosły drzewa. Kolejny las? Kowal nigdy się na to nie zdecyduje po tym, co przeszli niedawno. Każda droga, byle nie leśne ścieżki. Z drugiej jednak strony wiedział, że pustynia może zaprowadzić ich donikąd, jeśli będą polegać jedynie na niejasnych wskazówkach Fanyi.

Co prawda widział na tej pustyni kilka krzewów i trochę trawy. Może kraina nie była zupełnie wymarła. Porozsiewane tu i ówdzie skały mogły służyć za drogowskaz, więc chyba nie zabłądzą, gdy stracą już z oczu brzeg morza.

– Będziemy szli przez cały dzień – zaproponował. – Jeśli nie trafimy na nic... zawrócimy.

Fanyi przytaknęła, ale zdawało mu się, że w ogóle go nie słuchała. Puściła medalion i ruszyła przed siebie. Widać było, że jest zdecydowana stawić czoło każdemu niebezpieczeństwu.

Rhin poczłapał za nią, ale kuny zostały w miejscu, wierząc się niespokojnie. Prychały przy tym i warczały, okazując niezadowolenie. Ruszyły dopiero wtedy, gdy Fanyi je przywołała. Nietrudno było zgadnąć, że nie czuły się najlepiej na tym pustkowiu.

Z początku dawne dno oceanu było piaszczyste i gładkie. Szło się po nim dość dobrze. Wkrótce jednak zaczęły się pojawiać niskie zwirowate nasypy, a gdzieniegdzie duże, wygładzone przez wodę kamienie. Ziemia obsuwała się lub zapadała pod stopami. Sander pomyślał, że równina, którą właśnie opuścili, musiała kiedyś, w Dawnych Czasach, stanowić jedno z ramion olbrzymiej zatoki.

Mijali właśnie szkielet jakiegoś ogromnego morskiego stworzenia. Słońce przebijało przez plątaninę kości. Niewykluczone zresztą, że był to wrak statku, oblepiony przez morskie skorupiaki, wyschłe teraz i zbiełałe w słońcu. Sander nie potrafiłby powiedzieć, czym naprawdę jest ten monstrialny szkielet.

Teren nie był jednolicie płaski. Dookoła widzieli niewielkie wzniesienia i płytkie rozpadliny. W jednej z małych dolinek natknęli się na słone bajoro, być może jedyną pozostałość po zalewających niegdyś tę krainę wodach oceanu.

Szli i szli. Kowal odwrócił się, ale nie mógł już wypatrzeć skraju równiny, z której zeszli na to wymarłe, morskie dno. Czuł, że z każdym krokiem narastają w nim wątpliwości. Miał wrażenie, jakby to miejsce odrzucało wszelką formę życia, a sama ich tutaj obecność zakłócała odwieczną pustkę martwej okolicy.

Po jakimś czasie dotarli do głębokiej rozpadliny i stojąc na skraju jej poszarpanego urwiska, zajrzeli w głąb. W dole płynęła rzeka. W jaki sposób mieli ominąć taką przeszkodę? Kuny zaczęły ostrożnie schodzić w stronę wody. Sander wiedział, że on i dziewczyna dadzą sobie radę, ale Rhin był zbyt duży i ciężki. Będą musieli pójść dalej na zachód, wejść głębiej w pustynię i znaleźć miejsce, w którym przeprawia się na drugi brzeg.

Jednak obecność rzeki rozwiązywała inny problem, pomyślał Sander, obserwując kuny, które zanurzyły pyski w chłodnej, słodkiej wodzie i piły łapczywie.

Powoli przemieścili się bardziej na zachód. Okazało się, że kowal miał rację. Strone zbocze obniżało się tutaj, a koryto rzeki było szersze. Obeszli szczątki czegoś, co, jak sądził, było kiedyś częścią jakiegoś okrętu i natknęli się na rząd skalnych bloków. Na pierwszy rzut oka było widać, że to nie siły natury ustawiły je w ten sposób. Za skalnym murem odkryli kolejne kamienie, które kiedyś, bardzo dawno temu, mogły wyznaczać początek jakiejś drogi. Natrafili również na ogromne skalne twory przypominające przewrócone kolumny. Z pewnością były bardzo stare, bo pokrywała je gruba i twarda warstwa zaschniętych skorupiaków. Sander wpatrywał się w nie z podziwem, a Fanyi obejrzała z bliska powierzchnię.

– Stare... bardzo stare – powiedziała z zachwytem. – Może kiedyś nadciągnęły Mroczne Czasy, które zalały te tereny wodą, a dopiero potem Dawne Czasy, które my znamy, przeganiając stąd ocean odsłoniły te ruiny. Gdybyśmy tylko wiedzieli... – W jej głosie wyczuł tęsknotę i smutek, jakie i sam odczuwał, patrząc na pozostałości dawnej cywilizacji.

Nie odważyli się spędzić więcej czasu pośród kamiennych ruin. Rozsądnie było jak

najszybciej dotrzeć do rzeki, porzucili więc stary brzeg morza.

Zmierzch zaskoczył ich w miejscu, w którym rzeka wpadała do oceanu. Znowu obozowali przy wtórze uderzających o wybrzeże fal. Drewna było tu dosyć, by rozpaść niewielkie ognisko. Wkrótce znad rzeki powróciły kuny, każda z dużą rybą w pysku. Fanyi podziwiała zdobycz; te doskonałe ryby rybacy z Padford znali bardzo dobrze, choć rzadko udawało im się je złowić.

Ryby smażyły się już nad ogniem, a Sander oparł się wygodnie o duży, wyżłobiony przez wodę kamień i spoglądał na rzekę. Choć jej wody płynęły dość bystro, rozlewały się u ujścia w szeroką deltę i kowal miał nadzieję, że w ciągu dnia nie będą mieć poważniejszych problemów z przepłynięciem się na drugi brzeg. Pomyślał, że gdy znajdą się po drugiej stronie, mogą ruszyć na zachód, wzdłuż koryta, i w ten sposób przez jakiś czas nie zabraknie im wody. I choć rzeka zmusiła ich nieco do zmiany kierunku, jaki wyznaczyła dziewczyna, nie należało się tym specjalnie przejmować.

Fanyi ułożyła przed sobą muszle.

– To właśnie jeden z cudów morza, kowalu. Każda z nich jest inna. Kształt czy wzór mogą być podobne... ale zawsze znajdzie się różnicę, choćby najdrobniejszą. Za niektóre mógłbyś dostać od Kupców zwój miedzianego drutu lub bryłkę zardzewiałego żelaza. Ja...

Sander już nigdy nie dowiedział się, co chciała powiedzieć. Obserwował zachowanie Rhina, a teraz błyskawicznym ruchem sięgnął po miotacz. Kojot zjeżył sierść, przymrużył ślepią i wyszczerzył długie, ostre kły.

Kowal nasłuchiwał w napięciu. Fanyi przykucnęła koło ognia z rękami na łbach swoich zwierząt. Kayi i Kai gniewnie posykiwały.

Usłyszeli głośny plusk... od strony morza czy rzeki? Sander nie był pewien. Rhin znów warknął ostrzegawczo.

– Pochodnia! – szepnął Sander.

Dziewczyna chwyciła gruby wysuszony badyl i włożyła w płomień. Gdy gałąź się zapaliła, Fanyi zakreśliła nią młynka nad głową, rozpraszając ciemności. Zanim Sander zdążył ją powstrzymać, skoczyła do przodu i wspięła się na jeden z głazów, wymachując przed sobą prowizorycznym łuczywem.

W chwilę później był już przy niej. W ręku trzymał gotowy do strzału miotacz. W ciemnościach rozległ się głośny rechot. Po chwili w świetle pochodni, tuż nad rzeką, dostrzegli jakąś postać. Jej ciało połyskiwało w blasku ognia, jakby istota dopiero co wyszła z wody.

Postać stała na dwóch nogach, jak człowiek, jednak z ludźmi musiała mieć jeszcze mniej wspólnego niż leśne stwory. Na piersiach zwisały jej fałdy luźnej, bladej skóry, ręce i nogi sprawiały wrażenie całkiem płaskich. W miejscu ust zionęła przepastna dziura, z której dobywał się rechot. Oczy stwora były rybie i wyłupiaste, ale...

W miejscu talii tej dziwnej istoty Sander dostrzegł coś, co wyglądało na pas łusek, z którego wystawały dwa długie i ostro zakończone szpikulce, wykonane, jak pomyślał, z kości, bo z pewnością nie z metalu.

– Nie strzelaj! – krzyknęła Fanyi. – On się boi. Myślę, że zaraz odejdzie...

Nie zdążyła dokończyć, gdy dziwny stwór odbił się i błyskawicznie zanurkował. Światło nie sięgało dalej, więc od razu stracili go z oczu.

– Ogień... one boją się ognia – powiedziała to z takim przekonaniem, jakby w ciągu tych paru chwil udało jej się wnikać w umysł nocnego intruza.

Rhin minął ich i pobiegł na skraj rzeki. Warczał wściekle, wypatrując czegoś w ciemnościach. Sander zrozumiał, że należy obawiać się stworów zamieszkujących rzekę. Wiedział też, że jeśli mają przepłynąć na drugi brzeg, będą zmuszeni zanurzyć się w wodzie, która była żywiołem tych istot. I wcale nie podobała mu się ta perspektywa.

– Co to było? – spytał Fanyi.

Wiedziała więcej o tym kraju niż on. Teraz jednak i ona nie potrafiła dać mu zadowolającej odpowiedzi.

– Niewiele wiem. Takiego stworzenia, nie widziałam nigdy dotąd, choć między moimi ludźmi krążyła opowieść o dziwnej istocie, która wyszła z morza i pozrywała sieci, porywając przy tym nieostrożnych rybaków. Zdarzyło się to po wielkim sztormie. Morze przybrało wtedy czerwoną barwę. Woda potwornie śmierdziała i zdechło tyle ryb, że rybacy musieli je palić na ogromnych stosach. Zdarzyło się to w czasach matki mojej matki i nie powtórzyło nigdy więcej. Nikt też nie widział dokładnie tej morskiej istoty. Wierzono, że była inteligentna, bo sieci pocięto tak, by wyrządzić najwięcej szkód.

– To coś... – Sander ześlizgnął się z kamienia i usiadł na jej posłaniu. – To stworzenie w niczym nie przypominało człowieka.

– To prawda – przytaknęła – żyje przecież w wodzie. Posłuchaj!

Ponad huk fal i szum płynącej rzeki wzbil się inny dźwięk – głośny rechot. Czyżby nocny przybysz był tylko zwiadowcą jakiejś większej kompanii? Może powinni odejść dalej od brzegu. Jednak Sander nie bardzo miał ochotę błędzić teraz w ciemnościach.

W końcu zdecydowali, że zostaną tam, gdzie są. Mieli przecież ogień i trzech czujnych wartowników, Rhina i kuny. Musieli zebrać więcej drewna. Sander robił właśnie drugą pochodnię, gdy dziewczyna wyjęła z torby gruby pręt, długi na kilkanaście centymetrów. Przekreśliła jego dolną część i przycisnęła coś palcem. Błysnęło to sam światło, które oślepiło kowala przy ich pierwszym spotkaniu.

– Ta rzecz pochodzi jeszcze z Dawnych Czasów – stwierdziła z dumą. – Należała do mojego ojca. Powiedział, że jej czas jest ograniczony i że niedługo zgaśnie na zawsze. Teraz jednak możemy jej użyć.

Sander pokręcił głową.

– Jeśli ma zgasnąć na zawsze, to lepiej zostawić ją na lepszą okazję. Skoro, jak twierdzisz, te wodne istoty boją się ognia, użyjemy ognia.

Pozbierał całe drewno, jakie udało mu się znaleźć wokół obozowiska. Dziewczyna chodziła w ślad za nim, oświetlając drogę pochodnią. Kowal zniósł znalezione drwa do ogniska. Miał nadzieję, że wystarczy na całą noc. Nie zamierzali rozpalać większego ognia, chyba żeby znów pojawiły się wodne stworzenia.

Tak jak poprzednio, zdecydowali się czuwać na zmianę. Zwierzęta również były czujniejsze niż zwykle. Drzemały koło ogniska, co jakiś czas wstając i znikając na chwilę w ciemnościach. Sander domyślił się, że okrążały obóz.

On sam leżał, nasłuchując. Dokoła panowała cisza, a daleki rechot zniknął bezpowrotnie. Jednak nawet gdy Fanyi objęła wartę, kowal nie zdołał usnąć. Leżał na posłaniu, wpatrując się w płomienie, i pilnie nasłuchiwał.

Nad ranem poszedł nad rzekę, by sprawdzić, czy mogą się przepawić w tym miejscu. Fanyi twierdziła, że cel jej poszukiwań leży gdzieś na drugim brzegu, dalej na północny zachód. Nawet gdyby wrócili na równinę, pokonując tę samą trasę, którą przebyli wczoraj, i tak musieliby przepawić się przez rzekę. A prawdopodobieństwo natknięcia się na wodne potwory było tak samo duże tu, jak i tam.

Czy był to jednak wystarczający powód, by ryzykować przepawę od razu?

Prąd rzeki ostro wrzynał się w tym miejscu w rozległe wody oceanu. Sander wrzucił do wody kilka gałęzi. Silny nurt porwał je natychmiast i błyskawicznie poniósł dalej. Nie wróżyło to nic dobrego.

Używając długiego kija, zbadał głębokość wody przy brzegu. Sięgała mu prawie do pasa. Dalej, jak przypuszczał, było głębiej; musieliby płynąć, walcząc przy tym z prądem, który znosiłby ich w stronę morza.

By wypłynąć na drugim brzegu mniej więcej na wysokości miejsca, w którym znajdowali się teraz, musieli wejść do wody trochę wyżej. Sander znał wiele równinnych rzek, ale żadna, wyłączając oczywiście okres wylewów, nie przedstawiała takiego problemu jak ta.

– Umiesz pływać? – spytał dziewczynę, która stanęła obok. Sam nie czuł się w wodzie najlepiej. Wiedział jednak, że da sobie radę i dopłynie na drugi brzeg. Pod warunkiem jednak, że nocny gość lub jego kompani nie utrudnią mu tego.

– Tak, a ty?

– Poradzę sobie.

– Lepiej chyba – zdawała się czytać w jego myślach – przepawić się tutaj. Na powrót zmarnujemy sporo czasu, a nie będzie wcale prościej.

Przygotowali się więc najlepiej, jak potrafili. Mocniej i wyżej niż zwykle przytwierdzili

bagaze do grzbietu Rhina. Zdjęli też część ubrań, by ułatwić sobie przeprawę. W końcu, podpierając się kijem, Sander ostrożnie wszedł do wody. Była lodowata. Ciałem kowala wstrząsnął nieprzyjemny dreszcz. Im głębiej się zanurzał, tym silniejszy czuł napór wody. Ostrożnie stawiał każdy krok. Bał się, że dno urwie się nagle, a wtedy nieszczęście gotowe. Obok niego szedł Rhin. Za sobą słyszał plusk. Wiedział, że Fanyi i kuny podążają jego śladem.

Przed wejściem do rzeki przywiązał kawałkiem liny siebie i Fanyi do pakunków na grzbiecie kojota.

Woda sięgała mu teraz do ramion. Ze wszystkich sił próbował ustać na nogach. Nagle kij się obsunął i kowal znalazł się pod wodą. Wynurzył się, plując i krztusząc, i z trudem zaczął płynąć. W chwilę później nurt zniósł go w stronę kojota, który również walczył ze wzmagającym się prądem. Zaczęło ich znosić w dół rzeki.

Co będzie, jeśli nie starczy im sił? Przeraziła go ta myśl. Przed wejściem do wody kazał Fanyi przeciąć łączącą ich linę, jeśli on i Rhin zostaną porwani przez prąd. Czuł jednak, że dziewczyna jeszcze się na to nie zdecydowała.

Rhin mozolnie parł naprzód. Sander płynął tuż obok niego. Nie miał odwagi spojrzeć, jak blisko morza ich zniosło. Z trudem posuwał się do przodu. W wodzie czuł się tak samo osaczony, jak w lesie.

W końcu jednak kojot wyczuł pod łapami dno i wydostał się na brzeg. Sander chwycił łączącą ich linę, ale potknął się o leżący na dnie kamień i znów znalazł się pod wodą.

Zdołał jednak wypełznąć na brzeg, mocno trzymając się liny. Sznur napiął się i ciągnął go z powrotem w nurt. Odwrócił się i z całych sił zaparł nogami.

W dole rzeki zobaczył dziewczynę. Pojawiła się na chwilę na powierzchni i za moment zniknęła po wodą. Zniosło ją trochę dalej. Kowal klepnął Rhina, zachęcając go, by użył swej siły również do wyciągnięcia Fanyi.

Udało im się przyciągnąć dziewczynę bliżej brzegu: na koniec znalazła się w miejscu, w którym i oni wyszli z wody. Zanim kowal zdał sobie sprawę, w jakim była niebezpieczeństwie, Fanyi, ociekając wodą i z posklejanymi włosami, wyszła z trudem na brzeg.

W ich kierunku biegły kuny. Przeprawa przez nurt nie sprawiła im większych trudności. Stały teraz przy Sanderze i dziewczynie, otrzepując futra i chlapiąc dokoła wodą. Rhin odwrócił się w stronę rzeki i wyszczerzył kły.

Sander zauważył zmierzającą w ich kierunku falę. Coś płynęło pod powierzchnią. Szarpnął linę, która łączyła go z dziewczyną, i krzyknął:

– Ruszajmy!

Odwrócił się i zaczął biec, ciągnąc za sobą Fanyi. Wiedział, że byli teraz zupełnie bezbronni. Rhin wysunął się do przodu, a kuny trzymały tylną straż, warcząc i szczerząc kły.

Zatrzymali się dopiero za załomem skalnym, gdzie mogli się na chwilę ukryć. Kowal szybko

wydobył z torby miotacz, odwiązał linę i oswobodził kojota.

Wspiął się na grzbiet Rhina, a stamtąd na szczyt najwyższego głazu. Na górze przypadł do skały i uważnie obserwował drogę. W dzień wszystko było widać bardzo dokładnie. Z wody wypłynęło kilka stworów podobnych do tego, który odwiedził ich w nocy. Mogło ich być nawet tuzin. Różniły się od nocnego gościa. Każdy z nich miał na sobie coś w rodzaju okrągłego pancerza, wykonanego prawdopodobnie z dużej muszli. Głowę ochraniały im takie same hełmy, a ręce i nogi pokrywały twarde płyty. Z pewnością byli gotowi do walki.

Trzymali długie włócznie, zakończone ostrymi, poszarpanymi szpikulcami. Sander zrozumiał, że zęby wokół ostrza miały rozszarpywać rany. Napastnicy głośno rechotali, choć dźwięk tłumili hełmy. Oddział skokami poruszał się naprzód.

Nawet jeśli na co dzień zamieszkiwali rzekę, przemieszczanie się na łądzie nie sprawiało im żadnych trudności. Sprawnie i szybko zbliżali się do Sandera. Kuny nie zaatakowały ich od razu, tak jak i leśnych ludzi. Krążyły dookoła, warcząc i szczerząc kły, i powoli wycofywały się w głąb łądy.

Sander wymierzył dokładnie i strzelił. Choć strzał był celny, lotka utkwiała w pancerzu tuż nad ramieniem ofiary, która w ostatniej chwili zdążyła się zasłonić. Kowal wiedział, że trucizna nie zadziałała przez pancerz i że równie dobrze mógłby spudłować. Należało celować w nieosłonięte miejsce między hełmem a twardym pancerzem na piersiach.

Atak wywarł jednak na obcych duże wrażenie. Zatrzymali się i zbili w gromadę. Trafiony stwór wyszarpnął sterczącą z pancerza strzałkę i przyjrzał się jej uważnie. Rechot nasilił się, a napastnicy sprawiali wrażenie poruszonych. Mogły to jednak być tylko pozory.

Kowal zdążył już przeładować miotacz, ale przeciwnicy byli tak opancerzeni, że szkoda mu było marnować kolejne strzałki, jeśli nie miał pewności, że sięgną celu. Fanyi, już całkiem ubrana, wdrapała się na głaz i położyła obok Sandera. Dotknęła ręką miotacza i powiedziała.

– Przebierz się, a ja ich poobserwuję. Jeśli szybko czegoś nie włożysz, słońce boleśnie spali ci skórę.

Kowal prawie nie czuł palących promieni. Czy rozsądnie było zostawić Fanyi teraz na straży samą?...

– No, idź! – ponagliła go. – Używałam już kiedyś takiej broni. – W jej głosie słychać było irytację i złość. Widocznie zauważyła jego wahanie.

Wprawnym ruchem chwyciła broń i Sander przekonał się, że rzeczywiście nie trzymała jej w ręku po raz pierwszy. Położył na kamieniu trzy dodatkowe strzałki i zsunął się w dół.

Ubrał się szybko i wrócił na posterunek. Od razu się zorientował, że kuny wycofały się pod skałę, na której leżeli. Wodne stworzenia otrząsnęły się już z szoku, jaki wywołał niespodziewany atak, i parły naprzód w ich stronę. Poruszały się drobnymi skokami, wcale jednak nie wolniej od normalnie idącego człowieka.



Zaledwie kowal zdążył się położyć, dziewczyna strzeliła. Przywódca dziwnego oddziału upuścił włócznię i głośno zarechotał. Ramię opadło mu bezwładnie. Sander zauważył, że stwór miał tylko cztery palce jednakowej długości. Strzałka utkwiała w łapie, przebijając ją na wylot. Sterczała teraz niczym piąty palec.

Stwory zgromadziły się, by obejrzeć ranę towarzysza. Sander stwierdził, że to wyjątkowo prymitywna taktyka. Choć wiedziały, że znajdują się w zasięgu strzału, zachowywały się w taki sposób, jakby zupełnie traciły zainteresowanie czającym się wśród skał przeciwnikiem. Fakt, że ostentacyjnie lekceważyły jakąkolwiek możliwość kontrataku ze strony ludzi uwięzionych wśród głazów, był doprawdy przedziwny. Możliwe zresztą, że istoty były tak tępe lub myślały w tak odmienny sposób, że nie łączyły strzałek z przeciwnikami, którzy schronili się na skałach.

Fanyi oddała kowalowi miotacz.

– Nie zabijaj ich, dopóki nie musisz – powiedziała. – Śmierć któregoś z nich może wywołać pragnienie zemsty.

– Skąd możesz to wiedzieć?

– Nie wiem... a może, raczej nie potrafię tego wyjaśnić. – Była zmieszana, tak jak wodne stwory oglądające strzałkę. – Wiem po prostu, co myślą i czują moje kuny. Te stworzenia boją się... i są niepewne. Myślę, że jeśli wyrządzimy im jakąś krzywdę, nienawiść weźmie górę nad lękiem. Będą chciały nas dopaść za każdą cenę, nieważne, ile ich zginie w czasie walki. Wciąż się wahają. Nie są pewne, czy opłaca się na nas polować, czy nie.

Sander nie bardzo miał ochotę polegać na jej przypuszczeniach. Czuł, że dziewczyna część po prostu wymyśliła lub zgadła. Mimo że korciło go bardzo, nie strzelił już jednak ani razu. Postanowił poczekać, aż dziwne istoty zakończą pełną rechoczących dźwięków naradę, i zobaczyć, co zrobią dalej.

Sander miał teraz chwilę by przyjrzeć się dokładnie ich schronieniu. Uderzyło go, że skały, na których szczycie leżeli, ciągnęły się jedna za drugą, tworząc jakby mur. To również musiało być dzieło jakieś starej cywilizacji. Słońce prażyło teraz tak mocno, że kowal wiercił się niespokojnie. Wiedział, że jeśli zostaną tu dłużej, będzie im grozić jeszcze inne niebezpieczeństwo.

Wodne stwory w końcu wznowiły marsz. Tym razem jednak, pozostawiwszy dwóch strażników, cały oddział zawrócił w stronę rzeki.

Sander błyskawicznie zeskoczył ze skały. Przypuszczał, że stwory ruszyły po posiłki. Jeśli mieli im umknąć, to tylko teraz. Bez trudu mogli poradzić sobie z dwoma wartownikami, nawet jeśli zdecydują się ścigać ich w głąb pustyni.

Fanyi zgodziła się z nim bez słowa. Stała przed Sanderem, trzymając w ręku medalion.

Zwróciła się teraz na północny zachód i zerknęła za siebie, na przeciwległy brzeg, skąd przyszli.

– Musimy trzymać się z dala od rzeki – powiedział. – Woda to ich żywioł i potrafią to dobrze wykorzystać. – Na szczęście Sander napełnił bukłak, zanim rozpoczęli przeprawę na drugi brzeg. Wiedział jednak, że nie był to wystarczający zapas na drogę przez spalone słońcem pustkowia. Niestety, mieli tylko ten jeden bukłak.

Z drugiej jednak strony istniała szansa, że pustynia i lejący się z nieba żar skutecznie zniechęcą wodne stworzenia. Jeśli jego przypuszczenia były słuszne i napastników rzeczywiście łączyło pokrewieństwo z płazami, nie od razu zdecydują się na dłuższą wyprawę przez pustynne tereny.

Kowal przyjrzał się okolicy i stwierdził, że tak czy owak będą musieli poruszać się teraz bardzo ostrożnie. Podobnie jak ludzie z jego Klanu, potrafił podróżować nocą, wyznaczając drogę na podstawie układu gwiazd. Poza tym w nocy chronił ich ogień i mogli wtedy wędrować jak w dzień. Teraz jednak należało szybko znaleźć dogodne schronienie, w którym mogliby przeczekać do zmierzchu.

Powiedział głośno, co, jego zdaniem, powinni zrobić. Dziewczyna wypuściła z ręki medalion i wyraz zatroskania zniknął z jej twarzy. – Nasi żeglarze również kierowali się gwiazdami – odparła. – Poza tym w dzień musi panować tutaj niesamowity upał. Masz rację.

Znów poczuł, jak bardzo irytowały go jej komentarze. Oczywiście, że miał rację! Nie podobało mu się, że wszystko, co mówił, było oceniane i dopiero potem Fanyi albo zgadzała się z nim, albo odrzucała jego propozycje. A zapewnienia, że rybacy z Padford zawdzięczali bezpieczeństwo jej Mocy, główną zaś przyczyną ich śmierci była nieobecność dziewczyny w wiosce, znów wydały mu się dziecinne i śmieszne. Może i była Szamanką, znała jakieś sztuczki i potrafiła przewidzieć przyszłość. Nie przemawiało to jednak do niego. Podobnie jak ludzie Klanu, i on wierzył głównie we własny rozsądek i w słuszność decyzji, które podejmował.

Wznowili marsz. Kuny trzymały się nieco z tyłu. Rhin kroczył przodem, dźwigając na grzbiecie cały dobytek. Sander szedł z miotaczem gotowym do strzału. Do kieszeni przy pasie wrzucił z pół tuzina strzałek. Żałował bardzo, że nie ma ich więcej. Przy tak skromnym zapasie, dwa naboje wystrzelone nad rzeką stanowiły niemałą stratę. Rhin, choć mocno obciążony, raz po raz wypuszczał się do przodu i po chwili wracał. Zachowywał się tak, jak podczas polowania na równinach. Sander z kolei często przystawał, odwracał się i uważnie badał drogę z tyłu.

Nawet jeśli dwaj pozostawieni przez płazowatych strażnicy szli ich tropem, maskowali się tak dobrze, że nie było ich widać. Im bardziej jednak wędrowcy oddalali się od rzeki, tym Sander nabierał większej pewności, że wodne stworzenia zrezygnowały z pościgu przez słońca i wypaloną słońcem pustynię.

Cały czas jednak zachowywał wzmożoną czujność. Fanyi raz i drugi spojrzęła na medalion, jakby całkowicie zdała się na jego przewodnictwo. Kowal pozostał przy bardziej tradycyjnej

metodzie: wybierał na horyzoncie jakiś charakterystyczny punkt i starał się zmierzać w jego stronę. Gdy już dotarł do upatrzonego miejsca, wyznaczał następny cel. Tumany kurzu, które wzbijali w czasie wędrówki, potęgowały nieznośne uczucie pragnienia. A świadomość, że nie mogą w każdej chwili zatrzymać się nad rzeką, chyba że zmuszeni do tego przez okoliczności, nie była zbyt pocieszająca.

Upał nie był dla kowala pierwszą. Podróżował już kiedyś bez wystarczającego zapasu wody, ale wtedy znał doskonale teren, po którym się poruszał. Łatwiej mu było odnaleźć strumień lub wyschnięty potok, gdzie Rhin, wykorzystując swój instynkt, mógł bez trudu dokopać się do wody. Czy i w tej spalonej słońcem krainie było to możliwe? Ilekroć zatrzymywali się na krótki postój, kowal wspinał się na najwyższy położony punkt i obserwował horyzont za i przed nimi. Gdyby tylko udało im się zaszyć gdzieś przed słońcem i przeczekać do wieczora!

Przy piątym postoju zauważył coś dziwnego. Przywykli już do wraków, które często napotykali na swojej drodze, traktując je jak punkty orientacyjne, ale w tym wypadku było inaczej.

W pierwszej chwili dostrzegł błysk metalu. Szybko się zorientował, że to, na co natknęli się teraz, w niczym nie przypominało statków, które widzieli poprzednio. Wrak był dłuższy i węższy. Leżał przechylony na bok, a jego górna, zakrzywiona część skierowana była prosto na skałę, na której stał teraz kowal.

Poza tym wrak sprawiał wrażenie młodszego od szkieletów, które widzieli wcześniej. Jeden koniec statku tkwił w zeschniętym masywie rafy koralowej, poza tym jednak konstrukcja wydawała się prawie nienaruszona. Sander pomyślał, że być może wrak wyrzuciły tutaj wody ustępującego oceanu i że to najlepsze schronienie, jakie do tej pory znaleźli.

Gdyby tylko udało im się dostać do środka, kadłub okrętu stanowiłby idealną kryjówkę. Fanyi przyjęła pomysł entuzjastycznie.

Gdy powoli podchodzili do porzuconego statku, kowal zorientował się, że pierwsze wrażenie było mylne. Okręt był o wiele większy, niż wydawało się na początku. Jego kształt wywarł również ogromne wrażenie na dziewczynie, bo głośno stwierdziła, że to najdziwniejszy statek, jaki w życiu widziała.

Kiedy stanęli u celu, rozmiary okrętu przytłoczyły ich. Jednocześnie odkryli, że metal, który wyglądał na całkiem skorodowany, w rzeczywistości pozostał nienaruszony. Sander zdrapał cienką warstwę rdzy i odsłonił połyskującą w słońcu blachę.

Wejście musiało znajdować się wyżej, na pokładzie. Kowal rozwinął linę, która podtrzymywała ich bagaże na grzbiecie Rhina, wyciągnął z torby największy młot i przywiązał do niego sznur. Następnie przykazał Fanyi, by czekała na niego w tym miejscu, a sam obszedł okręt dookoła i znalazł się po jego drugiej stronie.

Tam okręcił nad głową linę obciążoną młotem i cisnął ją w górę. Młot dwukrotnie ześliznął się po pokładzie, wzbijając przy tym tumany rdzawego pyłu, za trzecim jednak razem trzonek uwiązał tak mocno, że lina nie spadła nawet po energicznym szarpnięciu. Sander zaczął się wspinać i już po chwili stał na pokładzie. Przed sobą zobaczył kikut wieży. Wydawało się, jakby ktoś olbrzymią dłonią oderwał ją od całości. Poza tym nie dostrzegł żadnego innego wejścia.

Przeszedł na drugą stronę pochylego pokładu i spojrzął w dół, na dziewczynę. Pozbawiony bagażu Rhin właśnie się oddalał w sobie tylko znanym celu i choć Sander gwizdnął przyzywająco, kojot nawet się nie obejrzał.

Widocznie był to jeden z tych momentów, w których należało pozostawić Rhina samego. Niewykluczone, że ruszył na poszukiwanie wody, chociaż... zmierzał teraz na zachód, w głąb pustyni, a nie na wschód, gdzie odnalezienie jakiegoś źródła było bardziej prawdopodobne. Tymczasem kuny, wyraźnie niespokojne, trzymały się cały czas w pobliżu, krążąc pośród okolicznych głazów. Możliwe, że niezbyt pewnie czuły się w tej nieprzyjaznej i spalonej słońcem okolicy, z dala od znanych im zielonych równin.

Sander upewnił się, że lina jest dobrze zamocowana w ruinach wieżyczki i zrzucił Fanyi drugi koniec sznura. Dziewczyna szybko wspięła się na górę, stanęła obok Sandera i uważnie oglądała pokład.

– Co to za okręt? – spytała z podziwem. Sander odniósł wrażenie, że skierowała te słowa raczej do siebie niż do niego. – Przedziwna konstrukcja.

Tymczasem kowal zbliżył się do zniszczonej nadbudówki. Miejsce pęknięcia wieżyczki pokrywała rdza, a wewnątrz zionęła czarna dziura, przez którą mogli dostać się do środka. Zdecydował, że teraz przyda się im Pradawna Lampa i poprosił dziewczynę, by ją wyjęła. Gdy zabłyśło światło, zauważył na jednej ze ścian zniszczoną drabinę, która prowadziła w głąb statku przez otwór w podłodze, piętro niżej. Fanyi stała na pokładzie i oświetlała mu drogę, a on, ostrożnie badając każdy szczebel, zaczął powoli schodzić w dół.

Znalazł się w zamkniętym pomieszczeniu. Wokół leżały porozbijane i zniszczone przez wodę przedmioty, których nie potrafił nazwać. Drabina ciągnęła się dalej, zszedł więc niżej i po chwili znalazł się w większym pomieszczeniu. Wzdłuż ścian stały dziwnie wyglądające pudła i skrzynie. Wszystkie nosiły ślady uszkodzeń i niszczącego działania wody. Poprosił Fanyi, by podała mu lampę i sama zeszła na dół. Oświetlił jej drogę i już po chwili stanęła obok, z ciekawością przyglądając się rzędom skrzyń i pudeł.

– Czym ci Praludzie napędzali swój statek? – spytała. – Nigdzie nie widziałam ani masztu, ani wiosel.

Sander z uwagą oglądał metalowe powierzchnie. Widać było wyraźnie, jak ogromne spustoszenie poczyniła woda, która dostała się do wnętrza okrętu przez rozdarcie w pokładzie. A jednak po zdrapaniu zewnętrznej warstwy osadu i rdzy metal lśnił w świetle, zdawał się

nietknięty i w doskonałym stanie.

Na prawo, za stertą zniszczonych przedmiotów i urządzeń, o których zastosowaniu nie miał pojęcia, Sander spostrzegł owalne, szczelnie zamknięte drzwi. Przeszedł przez pomieszczenie i przyglądał się drzwiom, szukając jakiejś klamki. Znalazł masywne koło. Być może należało je przekręcić.

Próbował ze wszystkich sił, jednak koło nie przesunęło się nawet o milimetr. Wyciągnął więc młot i, choć pomieszczenie było tak zagracone, że trudno mu było wziąć zamach, uderzał rytmicznie w pokrytą szlamem obręcz.

Z początku nie dało to żadnych efektów. Skruszył tylko wierzchnią warstwę rdzy i piasku. Jednak po chwili koło drgnęło i trochę się obróciło. Zaczął walić mocniej i po jakimś czasie ustąpiło z głośnym skrzypieniem. Uderzał teraz coraz szybciej i z większym wyczuciem. W drzwiach zauważył małe nacięcie. Wyglądało na to, że aby otworzyć wejście, trzeba ustawić koło w określonej pozycji. Wokół zarysu drzwi dostrzegł zaschnięty muł, który je blokował. Zabrał się za kruszenie tej twardej warstwy. W końcu włożył młot z powrotem za pas, położył obie ręce na kole i napał na drzwi. Ustąpiły. Z ciemnego wnętrza wydobył się strumień stęchłego powietrza. Powietrze... pod wodą? Sander bez słowa zabrał dziewczynie lampę i oświetlił pomieszczenie. Pośrodku stał stół, który musiał być przyśrubowany do podłogi, bo ani powódź, ani katastrofa, jaką przeszedł okręt, nie przesunęły go nawet o centymetr. Dokoła stołu ciągnęły się długie ławy, a pod nimi, niżej...

Fanyi głośno westchnęła. Oboje już nieraz zetknęli się ze śmiercią, która nie była w ich świecie niczym wyjątkowym. Takiego obrazu jednak nie widzieli nigdy wcześniej. Pokurczone i wyschnięte ciała w niczym nie przypominały istot ludzkich.

– Zamknęli się tutaj – powiedziała cicho dziewczyna – a potem morze zagarnęło ich statek i odcięło im drogę ucieczki. To Praludzie... patrzymy na Praludzi!

Wątle ciała, owinięte w podarte ubrania... Kowal nie bardzo wierzył, że niegdyś byli to przedstawiciele dumnej rasy, która władała światem. Zapamiętywacze przedstawiali Praludzi jako silnych, wysokich i potężnych, a to, co Fanyi i Sander znaleźli na tym pustkowiu, zupełnie nie przystawało do tego opisu. To... to nie mogli być bohaterowie legend! Sander pokręcił głową.

– To... to tylko... zwykli ludzie. – Zdał sobie sprawę, że widział ich w wyobraźni jako silniejszych, lepszych i jakże różnych od ludzi Klanu.

– Ale pomyśl – dodała cicho dziewczyna – jacy to kiedyś musieli być ludzie! To ich marzenia stworzyły ten okręt! Myślę, że jesteśmy na jednej z tych łodzi, które nie pływały po morzu, lecz pod powierzchnią wody. Słyszałam o nich wiele opowieści.

Sander nagle poczuł się bardzo nieswojo. Jacy byli ci ludzie, którzy zamknęli się w metalowej skorupie, by podróżować w głębinach oceanu? Ta myśl przytłoczyła go i osaczyła.

Znów poczuł się tak, jak podczas niedawnej przeprawy przez las. Z pewnością Praludzie należeli do trochę innego gatunku i mieli odwagę, której jemu, jak musiał sam przed sobą przyznać, jednak brakowało.

Cofnął się. Całkiem stracił ochotę na badanie wnętrza tego okrętu. Mogli trochę uprzętnąć pomieszczenie na wyższym poziomie i schronić się tam do wieczora. Szczątki Praludzi należało pozostawić w spokoju i jak najszybciej opuścić komnatę, która stała się grobem dawnych właścicieli statku.

– To miejsce należy do nich – powiedział cicho, jakby nie chciał zbudzić umarłych – i niech tak zostanie.

– Dobrze – zgodziła się dziewczyna.

Wspólnymi siłami zamknęli drzwi, za którymi pogrzebano przeszłość, i wrócili na wyższe piętro. Podczas wymiatania śmieci na niższy poziom kowal natknął się na zwoje poplątanego drutu i kawałki metalu, czyste, bez śladu rdzy. Rozpoznał w nich to, co Kupcy określali jako nierdzewną stal. Była to kolejna zagadka Praludzi, bo ten metal nie ulegał korozji. Niestety, dzisiejsi kowale nie potrafili go w żaden sposób wytopić. Wiedząc, że nie może zabrać wszystkiego, wybrał tylko najlepsze kawałki. Z niektórych można było zrobić ostrza strzałek, jeśli oczywiście dotrą kiedyś do miejsca, w którym będzie jakaś kuźnia i odpowiednie narzędzia.

Tymczasem Fanyi szukała szczątków pokrytych dziwnymi znakami i liniami. Wyjaśniła mu, że to są pozostałości dawnego pisma. Te, które dało się przenieść najłatwiej, zapakowała do małej torby.

W końcu udało im się na tyle uprzętnąć pomieszczenie, że na środku wygoszparowali trochę miejsca. Choć było tam ciasno, mogli jakoś przeczekać do wieczora. Kuny, mimo próśb Fanyi, nie chciały wejść na pokład i ułożyły się w cieniu pochylonego kadłuba. Rhin przepadł gdzieś bez śladu. Na szczęście nigdzie nie było widać płazowatych stworów. Widocznie zrezygnowały z pościgu.

Podzielili między siebie owoce i wypili trochę wody. Dali też pić kunom. Później zaszyli się wewnątrz statku, czekając na nadejście nocy.

Choć dzień był wyjątkowo upalny, w pomieszczeniu dało się jakoś wytrzymać i nawet trochę się zdrzemnęli. Sander obudził się pierwszy.

Usłyszał znajomy dźwięk. Minał mruczącą coś przez sen Fanyi, podpełzł do wyjścia i po drabinie wy dostał się na pokład.

Rhin stał na tylnych łapach, przednie opierając o kadłub okrętu. Znów cicho zaskowyczał. Najwyraźniej próbował Sanderowi dać coś do zrozumienia. Nie brzmiało to jednak jak ostrzeżenie.

Kowal szybko ześliznął się po linie w dół. Rhin wymownie trącił go nosem. Pysk i przednie łapy miał mokre i oblepione błotem oraz słonym piaskiem z wyschniętego dna morskiego.

Mogło to oznaczać tylko jedno... znalazł wodę!

– Co się stało? – spytała dziewczyna, wchodząc na pokład.

– Rhin znalazł wodę!

– Jeszcze jedną rzekę?

Sander dopiero teraz zdał sobie sprawę, czym to mogło grozić. Wiedział, że po przygodzie z płazowatymi stworzeniami powinni zachować najwyższą ostrożność. Jednak woda był niezbędna. Inaczej musieliby zawrócić na zachód.

Teraz po raz pierwszy Sander żałował, że nie potrafi lepiej porozumieć się z kojotem, że nie może zapytać go wprost o to, co zobaczył i odkrył na wschodzie. Jednego przecież był pewien: Rhin pamiętał o spotkaniu z płazowatymi i na pewno nie wprowadzi ich w zasadzkę. Powiedział to Fanyi, a dziewczyna się z nim zgodziła.

Słońce zachodziło i na pustyni zrobiło się chłodniej. Cały czas jednak krztusili się piaskiem, którego tumany wzbijali podczas marszu. Rhin, znów obciążony pakunkami, pewnie kroczył naprzód i choć Sander odniósł wrażenie, że oddalali się coraz bardziej od równin, wierzył w instynkt zwierzęcia i był pewien, że kojot wie, dokąd ich prowadzi.

Nim jeszcze wyrzał księżyc, kuny nagle wyrwały do przodu w charakterystyczny dla siebie sposób i po chwili zniknęły wśród piętrzących się przed nimi skał, które kiedyś musiały wystawać nad powierzchnię wody. Skały nie przypominały łagodnych pagórków czy wysepek. Miały poszarpane i ostre brzegi. Wspiąć się na nie byłoby bardzo trudno.

Trochę z boku natknęli się na niewielką rozpadlinę. Dookoła wznosiły się kamienne bloki. W świetle lampy – Fanyi oświetlała nią nierówne podłoże – odkryli ciemny krąg. Wewnątrz była woda. W jej tafli, niczym w martwym lustrze, nie odbijał się żaden kształt.

Bajorko miało owalny kształt, zbyt regularny, by mogła go stworzyć natura. Z jednej strony brzeg obniżał się, pozwalając, by woda spływała tam cieniutką strugą, która na krańcu wgłębienia zmieniała się w drobną sieć maleńkich wodospadów. Co było dalej, nie wiedzieli. Krąg światła kończył się w tym właśnie miejscu.

Sander zaczerpnął wody. Była świeża i miała słodki smak. Napił się i obmył zakurzoną twarz. Woda drobnymi strużkami płynęła mu po policzkach, zmywając brud pustyni. Kuny zanurzyły w bajorku pyski i piły łapczywie. Fanyi poszła za przykładem kowala wyraźnie zadowolona.

– Ciekawe, kto wykopał ten zbiornik – powiedziała i przykucnęła na brzegu.

Sander wyjął bukłak, opróżnił go, dokładnie opłukał i nappełnił. Źródło świeżej, słodkiej wody na środku oceanu... czy czegoś, co było kiedyś oceanem! Jednak wcześniej był tutaj stały ląd. W wodach tego bajora odbijał się obraz stuleci. Upływ czasu mierzono od zakończenia ery Mrocznych Czasów, a Zapamiętywacze naliczyli prawie trzysta lat między zagładą starego świata a narodzinami obecnego.

Ile czasu minęło jednak od chwili, w której ludzie – lub inne inteligentne istoty – wzniesli tę kamienną konstrukcję? Ile wieków przetrwała, opierając się przemijaniu i gwałtownym atakom morza? Aż zakręciło mu się w głowie, gdy wyobraził sobie, ile lat upłynęło od tamtej pory. Nie można ich było liczyć pokoleniami, które przemieły. Szły w tysiące pór roku.

Stojąc nad tym reliktem przeszłości, nie czuł jednak żalu i smutku, jaki ogarnął go na porzuconym okręcie. Nie widział więzi między tymi, którzy zbudowali staw, a swoim Klanem. Być może budowniczości źródła nie byli nawet ludźmi w dzisiejszym rozumieniu tego słowa. Żałował, że Kabor, najstarszy z Zapamiętywaczy, nie może zobaczyć prastarej sadzawki. Choć i on zapewne nie potrafiłby połączyć jej z żadnym obrazem we własnej pamięci.

Napili się do syta i opuścili zapomniany staw. Już po raz drugi szczęśliwie odnaleźli wodę, ale Sander nie miał pewności, że sztuka ta uda im się po raz trzeci. Zdawało mu się, że najrozsądniej będzie skierować się teraz z powrotem na zachód. Tutaj brakowało zwierzyny, a głód nie był wcale mniej niebezpieczny od pragnienia. Im szybciej dotrą na żyzniejsze tereny, tym lepiej, nawet gdyby nie mieli dotrzeć do celu, który obrała sobie dziewczyna.

Przypuszczał, że Fanyi sprzeciwi się zmianie marszruty na zachód, ale ku jego zaskoczeniu nie protestowała. Wyjęła tylko medalion i wpatrywała się w niego przez dłuższą chwilę. Przyglądała się tańczącemu światłu, jakby to z niego właśnie mogła wyczytać dalszą drogę.

Wędrowali teraz o wiele wolniej. Wokół piętrzyły się pozostałości po rafach i co chwila musieli omijać ich wysokie, sterczące wierzchołki. Piaszczysty kurz wciskał się wszędzie. Mieli go na rękach, twarzach, na ubraniach i we włosach. Zwierzęta również były całe oblepione pyłem i błotem. Powoli zbliżał się świt i Sander zaczął rozglądać się za miejscem, w którym mogliby przeczekać upał.

W świetle księżyca widać było teraz więcej. Fanyi wyłączyła lampę. Do świtu pozostała może godzina, kiedy Sander poczuł gwałtowny spadek temperatury. Był spocony, więc zimne i przemoknięte ubranie nieprzyjemnie lepiło się do ciała, wywołując dreszcze. Zatrzymali się, by Fanyi mogła przepakować swoje rzeczy i włożyć opończę. Z każdym oddechem z ich ust wydobywała się biała para.

Temperatura zmieniła się tak nagle, że Sander zaczął się zastanawiać, czy nie zbliża się burza. Jednak niebo przez cały czas było bezchmurne. Teraz miał już pewność, że powinni jak najszybciej znaleźć jakieś schronienie.

Szli powoli. Przed nimi wyłonił się ogromny ciemny kształt. Kowal wyteżył wzrok. Możliwe, że wnosząca się nad horyzontem góra, jaką widzieli, kiedyś była wyspą.

Fanyi wyłączyła lampę i w jej świetle obejrzała medalion.

– Tędy! – rzuciła głośno, kierując światło w stronę mrocznego kształtu. Powiedziała to z takim przekonaniem, że Sander nie zamierzał protestować.



Przed świtem dotarli do podnóża klifu. Zbocza z wyłobionych kamieni, na których Sander dostrzegł rdzawe plamy, upewniły go, że powyżej musiały się znajdować ruiny Dawnego Miasta. Dokoła widzieli pozostałości i szczątki dawnej potęgi, które nie wróżyły najlepiej. Gdyby nawet udało im się wspiąć na urwisko i tak nie znajdą pośród ruin nic wartościowego.

Jeśli to miasto było tą kopalnią wiadomości, której szukała dziewczyna, to teraz stało się jasne, że jej poszukiwania nie skończą się pomyślnie. Sander również czuł się rozczarowany, choć nigdy przecież specjalnie nie wierzył w opowieści o mieście, które kryło w sobie tajemnice Praludzi.

Spojrzał na dziewczynę. W jej twarzy nie było widać gniewu czy rozczarowania. Wpatrywała się w zwały kamieni, jakby szukała drogi na szczyt urwiska. Była zdecydowana i pewna siebie. Być może uważała, że szli właściwym tropem, a cel znajdował się gdzieś blisko.

– To tu? – zapytał.

Znowu wzięła do ręki medalion. Powoli odwróciła się od ściany i spojrzała na zachód.

– Nie – powiedziała cicho, ale z przekonaniem. – To tam. – Wskazała na majaczący w oddali ląd.

Sander był pewny, że miasto nad nimi wzniesiono na cyplu lub nawet na wyspie, a dawne wybrzeże znajdowało się dalej, na zachodzie.

Potrzebowali jednak wody i jedzenia, których, jak sądził, nie mieli szansy znaleźć pośród ruin. W tej sytuacji najrozsądniej było iść dnem wyschniętego morza, w stronę wznoszącego się na horyzoncie lądu.

Nie przewidział jednak nadejścia burzy, którą zapowiadał teraz wzmagający się, porywisty wiatr. Na niebie w ciągu zaledwie paru chwil pojawiły się gęste chmury, gnane podmuchami wichru.

Decyzję podjęły za nich zwierzęta. Kuny, niczym dwa futrzane pociski, wyskoczyły do przodu i zaczęły się błyskawicznie wspinać pod górę, w stronę ruin. Rhin natychmiast poszedł ich śladem. Ten pośpiech był dla Sandera wystarczającym ostrzeżeniem; również podążył za zwierzętami. Wiedział, że kojot miał lepiej niż on wyczulone zmysły. W przeszłości niejednokrotnie wyostrzony węch i słuch Rhina ratowały Sandera z opresji. Jeśli więc teraz kojot wybrał tę drogę, to z pewnością nie bez powodu.

Wspinaczka szła im o wiele gorzej niż zwierzętom. Poruszali się wolniej, trzęsąc się z zimna przy każdym silniejszym podmuchu wiatru, który co chwila strącał mniejsze kamienie. Inne obsuwały się pod ciężarem ich stóp. Często zatrzymywali się dla złapania tchu, nie zawsze jednak znajdowali dogodne po temu miejsce.

W końcu dotarli do groźnie wyglądającego występu. Tworzyły go głązy nagromadzone pod szczytem urwiska. Wystawały z nich pokryte rdzą płyty. Wydawało się, że są tak kruche, iż

rozsypią się przy najbliższym dotknięciu.

Wśród kamieni było widać drobną roślinność – zmarznięte pędy winorośli, drobne kępki ostrej trawy, gdzieś krzew lub małe drzewko, smagane teraz wiatrem.

Sander wiedział, że powinni trzymać się z dala od kamiennych kopców, które w każdej chwili mogły się zawalić. Szedł, patrząc co chwila w górę i badając drogę przed sobą. Bał się, że źle stąpnie i ziemia obsunie mu się pod nogami. Fanyi szła krok w krok za nim.

Między skalnymi blokami wiatr osłabł i choć panował nieprzyjemny chłód, nie nękały ich teraz silne podmuchy.

Zaczęło padać. Deszcz zacinął ostro. Ubrania szybko przemiękły, a mokre włosy oblepiały czoło i twarz. Zdawało im się, jakby ich ciała pokrywała cieniutka warstwa lodu. Sander przeżył na równinach niejedną burzę, ale czegoś takiego doświadczał po raz pierwszy.

Wiatr wył i zawodził nad ich głowami, wpadając w kamienne tunele pomiędzy skalnymi blokami. Co chwila słyszeli odgłos strącanych kamieni, a gdy wichura na moment się uspokoiła, Sander wyłapał ciche szczeknięcie Rhina.

– Tędy... – zwrócił się do dziewczyny, ale jego słowa zagłuszył nowy atak burzy. Cofnął się więc i chwycił Fanyi za rękę.

Okружиł skalisty kopiec i za załomem ujrzeli linię drzew. Szarpane wiatrem, gubiły chmury liści, które wirowały w powietrzu, by zaraz z deszczem opaść na ziemię.

Sander chwiejnym krokiem ominął skalisty nawis i zbliżył się do ściany drzew. Deszcz nie zacinął pod ich koronami tak wściekle jak na otwartym terenie. Rhin chodził w tę i z powrotem, kiwając łbem, jakby chciał im wskazać dalszą drogę. Najwyraźniej ich ponaglał. Po kunach nie było śladu.

Pod stopami czuli teraz miękki grunt. Ziemię wyściełał dywan z liści i gałęzi. Szli za kojotem. Dookoła nie było widać żadnych kamiennych kopców czy skalnych bloków, które mogłyby stanowić zagrożenie. Po paru minutach wyszli na niewielką polankę. Na jej skraju wzniesiono małą drewnianą szopę. Ściany z grubych bali podtrzymywały dach z gęsto splecionych gałęzi. Drzwi były otwarte, dookoła jednak żadnego śladu po mieszkańcach, choć niewątpliwie chatę zbudowano całkiem niedawno.

Sander wyciągnął miotacz i załadował strzałkę. Kazał dziewczynie iść za sobą. Ostrożnie zbliżali się do ukrytego w mroku wejścia.

Chwilę później przez drzwi wyjrzał pysk Kai. Wiedzieli już, że nie ma się czego obawiać. Zaraz też cała trójka znalazła się w chacie i Sander napał na drzwi, by zamknąć je jak najszybciej. Najwidoczniej od dawna były otwarte, bo żeby je ruszyć, kowal musiał odgarnąć sporą ilość naniesionej ziemi.

W chacie panował półmrok. Światło wpadało tu tylko przez nieduże prześwity pod sufitem. Minęła dobra chwila, zanim Sander przyzwyczaił się do ciemności i mógł dokładniej obejrzeć

wnętrze.

Ku jego zaskoczeniu nie była to zwyczajna ciasna chata, choć z zewnątrz na taką wyglądała, ale przestronny dom. Podłogę wyłożono wygładzonymi kamieniami, które kiedyś mogły stanowić fragment drogi. Na przeciwległej ścianie znajdował się spory kominek wykonany z kamiennych bloków. Palenisko, osmalone i niegdyś chyba często używane, było teraz puste. Z boku stało pudło wypełnione drewnem. Fanyi wyciągnęła lampę i oświetliła wnętrze. Na drewnianych ścianach wisiały półki. Nie było na nich nic poza kilkoma pudełkami. Pod półkami dostrzegli szkielety kilku przycz. Wypełniały je, zgniłe teraz, liście i gałęzie.

W powietrzu czuć było delikatną woń dymu i, jak wydawało się kowalowi, również jedzenia. Całe pomieszczenie zionęło jednak pustką, co świadczyło, że od dawna nikt tu nie mieszkał.

– To dom klanu – powiedziała Fanyi. – Zobacz... – uniosła lampę i w jej świetle Sander zobaczył metalowy hak wbity w ścianę. – Tu wieszali zasłonę dzielącą dom. To nie był liczny klan.

– Twoi ludzie? – Sander wierzył, że Padford było jedyną osadą, o jakiej wiedzieli rybacy.

Fanyi pokręciła głową.

– Nie. Może Kupcy. Oni też żyją w klanach. Nigdy nie zabierają ze sobą kobiet i dzieci, ale czasem wspominają o nich w swoich opowieściach. A ruiny miast to idealne miejsce dla poszukiwaczy metalu. Możliwe, że wyczyścili już tę część miasta i przenieśli się gdzie indziej... albo dowiedzieli się o lepszym miejscu. Myślę, że ten dom opuszczono dobrych parę miesięcy temu.

Mimo to budynek był w niezłym stanie. Sander zablokował drzwi metalową sztabą. Na zewnątrz wciąż szalała burza, w środku jednak już tak bardzo nie czuli jej działania. Kowal wyjął z pojemnika przy kominku suche drewno. Było dobrze wysuszone i bez trudu udało mu się rozpalić ogień. Po chwili płomienie buchały wesoło, ogrzewając i rozświetlając wnętrze izby. Kuny, liżąc wilgotne futra, ułożyły się przy palenisku. Nawet Rhin trzymał się blisko kominka.

Schronienie i ogień... nadal jednak potrzebowali jedzenia. Fanyi przejrzała zawartość pudeł stojących na półkach. Wróciła niosąc dwa z nich, szczelnie zamknięte. W środku znaleźli jedzenie podobne do tego, jakie Sander znalazł w Padford, oraz dwa płyty jakiejś zasuszonej substancji.

– Myślę, że jednak nie wynieśli się stąd zbyt dawno – powiedziała Fanyi. – Jedzenie nie zdążyło się zepsuć. Ta druga rzecz to suszone mięso.

Zdjęła opończę i ułożyła ją przy ogniu, żeby wyschła jak najszybciej. Potem zmieszała placki z kawałkami mięsa, dając wcześniej kunom i Rhinowi sporą jego część.

Sander przechadzał się po długim pomieszczeniu, przyglądając się jego konstrukcji. W budowę domu włożono niemało pracy. Nie chciało mu się wierzyć, że miał służyć tylko jako

tymczasowe schronienie. Z pewnością nadawał się do całorocznego zamieszkania, ale możliwe, że ludzie, którzy go wzniesli, przebywali tu tylko okresowo.

W odległym rogu na podłodze znalazł metalową klapę. Choć blacha była zużyta i podziurawiona, nie zniszczyła zupełnie. W poprzek metalowych drzwi biegł żelazny pręt. Kował pomyślał, że przy odrobinie siły można by podnieść klapę i sprawdzić, co jest pod nią. Możliwe, że jakiś skład, w którym znaleźliby więcej pożywienia, niż udało się to dziewczynie.

Wrócił do pudła z opałem i wybrał spory drąg, by podnieść metalową klapę. Zajął to chwilę, ale w końcu udało mu się odsunąć na bok żelazną pokrywę. Przykucnął i zajrzał do środka. Panowała tam całkowita ciemność. Podziemia musiały leżeć głęboko, bo w słabym świetle płomieni dostrzegł fragment metalowej drabiny, która prowadziła gdzieś w dół.

Położył się na brzuchu i sięgnął tak głęboko, jak tylko mógł. Stopnie drabinki wykonano z chropowatego metalu. Nie mógł to jednak być skład z żywnością. Przekonał go o tym wilgotny i nieprzyjemny zapach. Odchylił głowę, krztusząc się od smrodu. Kai zbliżył się do otworu od drugiej strony i zaczął obwąchiwać wejście. Po chwili syknął głośno, wyrażając swoją dezaprobatę. Sander wstał i zamknął klapę. Nie miał ochoty badać tego mrocznego i nieprzyjemnego miejsca. Zamknął drzwi i zablokował je grubym polanem. Miał nadzieję, że takie zabezpieczenie wystarczy. Nie miał pojęcia, co mogło czaić się na dole, ale po przygodzie z leśnymi ludźmi i płazopodobnymi stworami wolał zachować daleko idącą ostrożność.

Domem co chwila wstrząsały potężne podmuchy wiatru. Usiedli bliżej ognia, susząc przemoczone ubrania.

Choć w pudle przy kominku leżał stosik drewna, Sander obawiał się, że nie wystarczy go do końca burzy. Przyjrzał się drewnianym półkom na ścianach. Może da się je zerwać ze ścian i podsycić nimi ogień. Na razie jednak nie musieli się o to szczególnie martwić. Mieli w miarę bezpieczne schronienie, które wzniesli podobni do nich ludzie. Nie musieli błąkać się wśród ruin, gdzie mogło się czaić niejedno niebezpieczeństwo.

Głośne grzmoty brzmiały coraz bliżej. Nawałnica przybierała na sile. Przez małe okienka pod sufitem widać było światła błyskawic. Zwierzęta stały się bardzo niespokojne i krążyły po całym pomieszczeniu.

Sander uważnie obserwował ich zachowanie. Niemożliwe, by sama burza tak bardzo wytrąciła je z równowagi. Wyobraźnia podpowiadała mu, że do ich kryjówek zbliża się jakieś niebezpieczeństwo. Dwa razy wstawał, by sprawdzić blokadę na drzwiach i klapie. Wszystko zdawało się w porządku.

Gdy zjedli, Fanyi siadła bliżej paleniska, owinęła się opończą i zdjęła resztę ubrania, by je wysuszyć. Włosy miała splątane i potargane, nie zwracała jednak na to uwagi. Wzięła do ręki medalion i zamknęła oczy. Sander wyczuł, że błędzi myślami daleko stąd. Była jakby nieobecna. Może usnęła? Cały czas jednak siedziała sztywno naprzeciw ognia. Raczej przeżywała coś

w rodzaju blokady umysłowej, zupełnie jakby zatopiła się bez reszty we własnych myślach. Sander uznał, że to jedna z jej szamańskich zdolności.

Po chwili kuni ułożyły się obok swojej pani. Nie spały jednak; ilekroć Sander wykonał choćby najmniejszy ruch, widział dwie pary oczu, które uważnie go obserwowały.

Sam nie mógł zasnąć. Duchowa nieobecność dziewczyny sprawiła, że czuł się dziwnie odsunięty i odizolowany. Rhin w końcu uspokoił się trochę i położył między drzwiami a paleniskiem. Uszy miał jednak uniesione, jakby cały czas uważnie nasłuchiwał.

Napór burzy zelżał. W oknie rzadziej pojawiały się zygzaki błyskawic, grzmoty stopniowo cichły i oddalały się. Ciągłe jednak padał ulewny deszcz. Po długim i wyczerpującym marszu kowal potrzebował snu. Co chwila głowa sama opadała mu na piersi. Nie chciał jednak położyć się na jednym z posłań. Wiedział, że musi być czujny. Wkrótce okazało się, że miał rację. Fanyi otworzyła oczy i uniosła głowę, jakby nasłuchując.

Sander spojrział na zwierzęta. Nie widać było po nich żadnych oznak niepokoju.

– Co się stało? – spytał.

Dziewczyna oblizwała spierzchnięte wargi.

– Wyczułam czyjaś myśl... myśl szukającą czegoś... kogoś... – odparła. Mówiła jakby do siebie, nieobecna myślami. Może nie chciała się dekoncentrować.

– Tam jest ktoś... ktoś posiadający szamańską moc – ciągnęła dalej. – Ale to... – wypuściła medalion i złożyła ręce, jakby chciała złapać strużkę płynącej z sufitu wody – to jest bardzo silne! To nie tylko myśl... jest jeszcze coś...

– O czym ty mówisz? – przerwał gwałtownie, starając się ściągnąć jej błądzący umysł z powrotem. – Nie znam się na sztuce szamanów. Czy to znaczy, że ktoś się zbliża?

Przyjrzał się zwierzętom. Leżały spokojnie i obserwowały ich. Wiedział, że Rhin ostrzegłby go, gdyby tylko ktoś próbował zbliżyć się niepostrzeżenie.

Twarz dziewczyny nie wyrażała strachu, lecz podniecenie. Wyglądała jak kowal, przed którym leży kawałek metalu, a on właśnie przed chwilą rozwiązał zagadkę jego obróbki. Sander znał doskonale to uczucie.

– To nie wróg – zdawała się starannie dobierać słowa. – Ten ktoś nie wie o nas... Przynajmniej nie wyczułam takiej świadomości. Ma moc przesyłania, ale nie taką wielką, jak ja. Nie potrafię określić problemu, który go zajmuje. Jestem jednak pewna, że ktoś wysłała wiadomość. O!... Sygnał zniknął! – Wyczuł w jej głosie rozczarowanie. – Zniknął...

Sander nie miał wątpliwości, że ona absolutnie wierzy w to, co mówi, ale nie umiał pojąć i zaakceptować rzeczy, o których mówiła. Zapamiętywacz spędzał wiele lat na „zapamiętywaniu”... na słuchaniu wciąż na nowo tych samych historii i opowieści o przeszłości. W razie czego Klan mógł zwrócić się do niego o pomoc w rozwiązaniu jakiegoś problemu. Dzięki Zapamiętywaczom ludzie dobierali się w pary tak, żeby nie było między nimi zbyt

bliskiego pokrewieństwa. Opieka nad stadami, tereny, po których je pędzono w ciągu wielu lat – wszystko to Zapamiętywacze gromadzili w pamięci, by w każdej chwili móc przywołać potrzebne informacje. Ale ta szukająca czegoś myśl?... Jak można było szukać czegoś lub kogoś bez użycia oczu, głosu, ciała?...

– Czy Kupcy mają takich poszukiwaczy? – spytał. Plemię wędrowców, którym udało się odszukać jego Klan, nie wydawało się różne od jego ludzi. To prawda, pilnie strzegli swoich sekretów, ale były to szlaki i miejsca, w których zdobywali metal, cenny i potrzebny do wyrobu narzędzi i broni. Opowiadali straszne historie o tych miejscach, jednak ludzie Klanu wiedzieli, że to przede wszystkim po to, aby odstraszyć ewentualnych konkurentów. Kupcy byli niebezpieczni i jeśli obawiali się ujawnienia złoża jakichś cennych materiałów, mogli nawet zabić. Jednak nigdy nie wspominali o myślowych poszukiwaniach.

– Nigdy wcześniej nie spotkałam się z czymś takim – odpowiedziała dziewczyna. – Kupcy, którzy odwiedzali Padford, wyglądali właściwie jak zwykli wieśniacy. A jednak potem napotkaliśmy na swojej drodze dziwne istoty. Przypomnij sobie choćby leśnych ludzi albo mieszkańców rzeki. Ten świat pełen jest zdumiewających zjawisk, a ten, kto podróżuje, może się wiele nauczyć.

– Kupcy opowiadają straszne historie, ale tylko po to, by nas przestraszyć i zniechęcić. Boją się ujawnienia własnych tajemnic.

– Albo tylko się nam tak wydaje – odpowiedziała. – Niewykluczone, że w każdej z tych opowieści tkwi ziarenko prawdy.

Sander z trudem powstrzymał się, żeby nie wybuchnąć śmiechem. Gdy jednak zastanowił się nad tym, co powiedziała, musiał częściowo przyznać jej rację. Spotkanie z leśnymi stworami i z płazowatymi istotami wytrąciło go z równowagi – nie wierzył już teraz tak bez reszty, że on i jemu podobne istoty opanowały cały ten świat. Choć ludzie Klanu nigdy nie napotkali na swojej drodze nikogo oprócz pasterzy i wędrownych Kupców, nikt nie mógł zagwarantować, że na planecie nie żyło wiele innych, czasem dziwnych lub strasznych istot. Mieszkańcy Padford różnili się od członków Klanu kolorem skóry, wyglądem i trybem życia. Wiele razy słyszał też o Morskich Rekinach, które porywały ludzi daleko na południu. Nikt nie wiedział, po co to robiły. A jednak i one były na swój sposób ludźmi.

Zaczął teraz przypominać sobie różne historie opowiadane przez Kupców. Może dziewczyna miała rację? Może naprawdę istniały ogromne bestie, które włóczyły się po pustkowiach, zabijając wszystko, co napotkały na swojej drodze? Możliwe też, że gdzieś żyły skrzydlate stwory, półzwierzęta, półludzie, przerażające i tajemnicze mieszańce, które polowały na ludzi. Łatwiej jednak było uwierzyć, że są miejsca, w których woda gotuje się sama i wypuszcza gazy zdolne zabić każdą żywą istotę, i że istnieją grząskie piaski, które wciągają swoją ofiarę tak, że nie ma już dla niej ratunku.

– Sam widzisz – uśmiechnęła się Fanyi. – Przemyślałeś te zasłyszane opowieści i nie możesz zupełnie ich odrzucić. Tak samo ja muszę wierzyć, że gdzieś żyje ktoś, prawdziwy Szaman, przy którym moja wiedza jest wiedzą małego dziecka. – Przyłożyła ręce do piersi, jakby przyciskając do nich coś cennego. – To, co nas fascynuje i zadziwia, może istnieć naprawdę. Potrzeba tylko odwagi, by tego poszukać. Jeśli ktoś potrafi szukać własnym umysłem, to i ja mogę się tego nauczyć! Czyż nie jestem córą tych, którzy taką wiedzę wykorzystywali na co dzień? Choć w ich oczach mogę być niedoświadczona i młoda, ale nie zaprzeczają, że jestem z nimi spokrewniona, a ja nie zawaham się tego wykorzystać.

Sander z zakłopotaniem obserwował poruszenie dziewczyny. Tak, potrafił zrozumieć jej chęć poznania. Sam przecież czuł to samo. Jednak to, czego on pragnął, miało swój konkretny i praktyczny wymiar, daleki od świata mglistych i niejasnych myśli. Chciał poznać tajemnice starej sztuki kowalskiej, by wykorzystywać je potem przy własnej pracy. To, czego pragnęła Fanyi, musiało być bardzo dziwne: używać myśli nie do realnego działania, tylko... jeśli oczywiście dobrze rozumiał istotę tego, o czym mówiła dziewczyna. Spróbował sprowadzić ją z powrotem na ziemię.

– Myślałem, że szukasz broni, która pozwoli ci się zemścić na mordercach twoich bliskich.

– Nie rozumiesz – przerwała mu – że myśl może być równie skuteczna, jak twój miotacz? Oczywiście, że muszę pomścić krew bliskich. Nie zapomniałam o tym nawet na chwilę. – Z podniecenia aż poczerwieniała.

– Ogień...

Z dała od paleniska robiło się coraz chłodniej. Fanyi uśmiechnęła się.

– Nie martw się. Kai wiele potrafi. – Położyła rękę na głowie kuny. – Będzie pilnował ognia. Robił to już wcześniej.

Dziewczyna wybrała sobie posłanie przy bliższej ścianie. Owinęła się w suchą opończę. Sander poczekał, aż się ułoży i zrobił to samo. Ostatnią rzeczą, którą zapamiętał, był obraz kuny, która wyjęła z pudła sporą gałąź, przeniosła ją pysku do paleniska i z wprawą wrzuciła do ognia. Rzeczywiście, musiała robić to już wcześniej.

Sander zasnął. Śniło mu się, że wędrował długim, ciemnym tunelem i słyszał nieustające walenie młotów kowalskich uderzających o metal. Szukał kowali, od których miał się nauczyć rzemiosła.

Korytarz zniknął, zanim Sander zdołał zobaczyć choćby jednego z dawnych kowali. Poczł za to na twarzy coś zimnego i wilgotnego. To Rhin pochylał się nad nim, dotykając go nosem. Po chwili kowal rozbudził się już na tyle, by dostrzec przed sobą pysk kojota. Usiadł na posłaniu.

Wiatr i deszcz ustały. Było tak cicho, że słyszał własny oddech i lekki trzask ognia, ale kuny nie leżały już obok paleniska. Stały przy zablokowanych drzwiach i wpatrywały się w wejście.

A kiedy Rhin zobaczył, że Sander nie śpi, spojrział w tym samym kierunku.

Kowal sięgnął po buty. Choć były już prawie suche, nie mógł wciągnąć ich na nogi. Szarpiąc się z nimi, zaczął nasłuchiwać.

Sam nie usłyszał nic podejrzanego, ale wierzył w instynkt zwierząt i wiedział, że wszczęły alarm, ponieważ w okolicy odkryły kogoś lub coś podejrzanego. Może to Kupcy wrócili do swojej siedziby?

To jednak nie stanowiłoby poważnego niebezpieczeństwa. Prawo gościnności, którego ściśle przestrzegali wszyscy oprócz Morskich Rekinów, było wystarczającym usprawiedliwieniem, by wtargnąć do tego domu w środku nawałnicy. Sander miał nadzieję, że jego domysły były słuszne.

Chwył jednak miotacz, poluzował nóż w pochwie i najciszej jak potrafił ruszył w stronę drzwi.

Choć Sander nic nie usłyszał za drzwiami, nie znaczyło to, że alarm był fałszywy. Schował miotacz za pas i spojrzął na wiszące na ścianie półki. Mógłby wspiąć się po nich i wyrzucić przez okno.

Opróżnił więc kilka i sprawdził, czy mocno trzymają się ściany: zawiesił się na najniższej. Drewno zaskrzypiało głośno, półka jednak ani drgnęła. Wspiął się więc ostrożnie, stanął na wąskiej desce i z trudem łapiąc równowagę, zdołał chwycić się framugi.

Zdziwił się, gdy zauważył, że okno zrobiono ze szkła, które w dzisiejszych czasach stanowiło rzadkość. Może więc ten najdelikatniejszy ze skarbów Dawnych Czasów znajdował się gdzieś w tych ruinach w takiej ilości, że dało się go wykorzystać do budowy normalnych okien.

Zbliżył twarz do szyby. Jej powierzchnia była chropowata, a wewnątrz zauważył pęcherzyki powietrza i rysy. Mimo to wyraźnie było widać cały teren przed domem.

Niebo przejaśniło się; sądząc po położeniu słońca, musiało być teraz późne popołudnie. Jednak to nie pora dnia interesowała Sandera najbardziej. Chciał zobaczyć, co czaiło się na zewnątrz.

Przed wejściem rozciągało się szerokie podwórze. Pierwsze krzewy, które nieco dalej przechodziły w leśną gęstwinę, zaczynały się dopiero kilkadziesiąt metrów od chaty. Ziemię przykrywała cienka warstwa śniegu, na której widniały czyjeś ślady.

Śnieg musiał spaść niedawno. Topił się już w promieniach słońca, szczególnie w miejscu, gdzie ciągnął się trop. I choć szyba zniekształcała widok i kowal nie mógł wypatrzeć żadnego wyraźnego odcisku, jedno było pewne: te ślady zostawiło zwierzę większe od tych, które znał.

Z daleka wydawały się bezkształtne i trudno było odgadnąć ich pierwotny zarys.



Niewykluczone zresztą, że zwierząt było więcej albo że jedno chodziło w tę i z powrotem, zdeptując własne ślady.

Przesunął się trochę w bok i przywarł do szyby. Wyraźnie widział miejsce w lesie, skąd wychodziły ślady, ale nie mógł zobaczyć, dokąd biegły. Czyżby coś buszowało teraz za domem?

Naraz w ciszę popołudnia wdarł się donośny ryk, który o mało nie zrzucił go z półki. Z tyłu usłyszał warczenie Rhina i syk obu kun.

– Co to?! – zawołała Fanyi – Nie wiem. – Wychylił się bardziej do przodu, by zwiększyć pole widzenia. – Coś czai się na dworze. Nie mogę zobaczyć.

Ledwo zdążył to powiedzieć, gdy na polanie przed domem pojawił się olbrzymi stwór. Wyglądało na to, że właśnie po raz kolejny okrążał budynek.

Potwór zatrzymał się przed drzwiami. Głową sięgał prawie do okna, przy którym stał Sander. Czy to na pewno było zwierzę?... Poruszało się przecież na dwóch nogach. Kowal uważnie przyjrzał się stworzeniu i spostrzegł, że to, co w pierwszej chwili wziął za wyblakłą i mocno przybrudzoną skórę, było w rzeczywistości ubranie.

Ubranie?... A więc to był człowiek?

Sander głośno przełknął ślinę. Istota rozmiarami dorównywała leśnej przywódczyni. Osadzona na krótkim i masywnym karku głowa łączyła się z szerokimi ramionami. Porastały ją gęste, sztywne i sterczące włosy, które zachodziły aż na oczy. Stwór podniósł ogromną, zakończoną pazurami łapę i odgarnął włosy znad czoła.

Zdawał się jeszcze mniej niż leśni ludzie przypominać człowieka. Krótkie, grube nogi podtrzymywały masywny korpus. Ramiona istoty były tak długie, że stojąc, bestia dotykała czubkami palców ziemi.

Twarz przypominała zwierzęcy pysk i była porośnięta gęstą brodą. Stworzenie wyglądało jak żywcem wyjęte z dziecięcego koszmaru.

Potwór uniósł zaciśniętą pięść i naparł na drzwi, które zaskrzypiały niebezpiecznie. Czy wytrzymają napór?...

Sander błyskawicznie zeskoczył na podłogę. Stwór szturmował teraz drzwi, waląc w nie raz po raz. Trudno było przewidzieć, jak długo wytrzymają ten napór. Rhin i kuny miały się w miejscu, wyjąc i warcząc. Wyraźnie bały się przeciwnika.

Sander krótko opowiedział dziewczynie o tym, co zobaczył.

– Słyszałaś kiedyś o czymś takim? – zapytał w końcu.

– Tak, od jednego Kupca – odparła szybko. – Te stworzenia wędrują po krainach północy, polując na ludzi. Sam teraz widzisz, że nie wszystko, o czym opowiadają Kupcy, jest tylko ich wymysłem.

Bestia ani na chwilę nie przestała dobijać się do drzwi. Drąg, którym je zablokowali, powinien wytrzymać, ale czy nie puszczą śruby i zawiasy? Jeśli potwór dopadnie ich tu,

w środku... Kowal nie zauważył, żeby bestia była uzbrojona, ale potężne łapy z pewnością zastępowały każdą broń.

Nic dziwnego, że budynek zaopatrzone w podziemną kryjówkę. Sander podbiegł do metalowej kłapy, usunął blokującą ją gałąź i otworzył przejście. Cały dom drżał teraz w posadach. Potwór nacierał ze zdwojona furją.

– Bierz jakąś pochodnię! – krzyknął. Wiedział, że lampa Fanyi nie będzie świecić wiecznie. Nie miał zamiaru wędrować w całkowitych ciemnościach.

Dziewczyna podbiegła do paleniska, chwyciła sporą gałąź i wsadziła jej koniec w płomień. Kuny przemknęły obok Sandera i zniknęły w ciemnym wejściu. A Rhin... czy da radę? Kowal miał nadzieję, że bez bagażu kojot przejdzie przez otwór w podłodze. Zwierzę zbliżyło się do wejścia i uważnie obwąchało ciemną czelusć.

Po chwili kojot odwrócił się tyłem do podziemnego tunelu i powoli zaczął schodzić w dół. Usłyszeli trzeszczenie zewnętrznych drzwi. Rhin zniknął nagle w ciemnościach, jakby przestraszył się tego dźwięku i spadł. Jednak w chwilę później zawarczał gdzieś w dole. Wszystko więc było w porządku. Sander zrzucił torby, które podała mu Fanyi, i oświetlił jej drogę na dół.

Kiedy zeszła już kawałek, opuścił pokrywę, zostawiając niewielką szparę, przez którą mógł się precyzyjnie. Położył się na brzuchu, wyciągnął rękę i podał dziewczynie pochodnię. W chwilę później sam zaczął schodzić.

Stojąc już na stopniach drabiny, pociągnął niedomkniętą klapę. W górze usłyszał trzask łamanego drewna. W świetle pochodni zobaczył metalowy pręt, którym można było zablokować klapę od wewnątrz. Ostatkiem sił domknął pokrywę i zablokował.

Znaleźli się w dużym, okrągłym tunelu. Po kunach nie było śladu, ale Rhin czekał na swojego pana. Skomlał cicho i węszył dookoła. Wyraźnie nie podobało mu się to miejsce.

Korytarz obniżał się. Jeśli mieli iść dalej, kojot będzie musiał się czołgać. Fanyi wetknęła pochodnię w okrągły pierścień wystający ze ściany i zaczęła przepakowywać swoje rzeczy. Wiedziała, że Rhin nie będzie tutaj mógł nieść bagażu. Sander obawiał się, że tunel wkrótce obniży się jeszcze bardziej i w końcu dotrą do miejsca, przez które kojot już nie da rady się precyzyjnie.

– Spójrz! – powiedziała Fanyi, przewijając ostatnie pakunki. Pochodnia, którą zabrali z pomieszczenia na górze, dopalała się już, ale pod ścianą leżały prawdziwe łuczywa z główkami oplecionymi włóknem i umoczonymi, jak poznali po zapachu, w rybim tłuszczu.

A zatem poprzedni mieszkańcy tego domu zdawali sobie sprawę z czyhających niebezpieczeństw i byli przygotowani na ucieczkę podziemnymi tunelami. Czyżby porzucili swoje, nie najgorsze przecież, domostwo właśnie z powodu ogromnej, człekokształtnej bestii?

Sander zapalił jedną z pochodni. Pozostałe podzielił na dwie wiązki i jedną oddał

dziewczynie. Pochylając lekko głowę, ruszył tunelem w dół. Tuż za sobą słyszał pomrukiwanie Rhina, wyraźnie niezadowolonego. Pochód zamykała Fanyi.

Trudno było stwierdzić, dokąd prowadzi ten tunel i jak daleko się ciągnie. Po drodze minęli miejsce, w którym musiał się kiedyś zawalić. Wyraźnie było widać, że został tu na nowo przekopany i umocniony. Po jakimś czasie dotarli do otworu w ścianie, który łączył się z kolejnym korytarzem, tym razem na tyle przestronnym, że Rhin mógł stanąć swobodnie. Wzdłuż nowego tunelu ciągnęły się metalowe szyny. Wyłaniały się z ciemności po lewej stronie i znikwały w głębi po prawej. Uciekinierzy zatrzymali się, nie bardzo wiedząc, w którą stronę teraz iść.

– Aaaaaa! – wezwała Fanyi kuny. Odpowiedź nadeszła niemal natychmiast. Z lewej strony.

– Tędy pójdziemy. – Dziewczyna miała do swoich zwierząt bezwzględne zaufanie. – Wysforowały się do przodu i chyba znalazły drogę do wyjścia...

Kowal miał nadzieję, że to zaufanie było uzasadnione. Oświetlając nierówną drogę, ruszyli na lewo.

Tunele pod Dawnym Miastem zdawały się ciągnąć bez końca. Cały czas nasłuchiwali, czy nikt ich nie ściga, choć Sander nie wierzył, by tej ogromnej istocie, nawet gdyby zerwała blokadę klapy, udało się przecisnąć przez otwór w podłodze.

W świetle pochodni dostrzegł ślady wilgoci, choć ściany tunelu sprawiały wrażenie nienaruszonych. Wyglądały solidnie i raczej nie groziły nagłym zawaleniem. Po chwili jednak natrafili na niespodziewaną przeszkodę.

Gdy Sander zbliżył się do rumowiska, okazało się, że nie są to fragmenty zawalonego korytarza, tylko kawały zardzewiałego metalu, które wypełniały przejście aż po samo sklepienie, zostawiając wąskie dróżki po obu stronach. Przeszkoda nie była problemem ani dla kun, ani dla Sandera i dziewczyny, ale Rhin nie miał szans przecisnąć się przez wąskie szpary.

Kowal oddał Fanyi pochodnię, rozwiązał swój pakunek i wyjął z niego torbę z narzędziami. Wybrał najcięższy młot i podszedł do rdzewiejącego rumowiska.

Metal kruszył się i rozpadał pod uderzeniami w rdzawy pył. Sander nie wiedział, czy w ten sposób uda mu się wyrąbać przejście dla Rhina, nie rezygnował jednak. Szybko poczuł zmęczenie i musiał się rozebrać. Pot spływał mu po twarzy i plecach, a odwykłe od codziennej pracy ręce bolały.

Nie zwalniał jednak tempa. Uderzał miarowo, stale z jednakową siłą. Szybko udało mu się poszerzyć przejście z lewej strony. Rhin wiercił się za plecami Fanyi, która wyciągnęła nową pochodnię na miejsce poprzedniej, wypalonej, gdy Sander torował przejście.

Metal był bardzo kruchy. Taką korozję musiała wywołać duża wilgoć. Gdy kowal przestał na chwilę, by złapać oddech, przyjrzał się dokładnie rumowisku. Wyglądało na resztki pojazdu, który prznosił mieszkańców Dawnego Miasta z miejsca na miejsce pod powierzchnią ziemi.

Rdzawy pył dostawał się wszędzie. Krztusili się. Dziewczyna oddała wąskie pasy materiału ze swojej tuniki, zmoczyła je wodą z bukłaka i obwiązała im usta.

Dopiero teraz Sander zdał sobie sprawę, że huk młota było słychać na wiele kilometrów wokoło. Jeśli potwór podążał za nimi, to nie będzie miał żadnych problemów, by ich odnaleźć.

W końcu udało się sforsować opór metalu i poszerzyć przejście. Kowal był głodny i spragniony, nic jednak nie można było teraz na to poradzić. Musieli jak najszybciej wydostać się z tunelu.

Parę chwil później dotarli do kolejnego rozstaju dróg. Fanyi znów wezwała kuny, tym razem jednak nie dostała odpowiedzi. Choć w świetle pochodni uważnie przyglądali się podłożu, nigdzie nie mogli dostrzec ich śladów. W końcu Sander spojrział na Rhina. Po raz pierwszy od momentu, gdy zeszli w dół, kojot wyglądał na pewnego siebie i spokojnego.

Spuścił łeb, by obwąchać dokładnie szyny i ściany obu korytarzy. W końcu warknął cicho i ruszył jednym z tuneli. Na szczęście nie napotkali już na swojej drodze żadnej przeszkody. Tunel stopniowo się obniżał, a na ścianach pojawiła się woda, która niegdyś musiała zalewać cały korytarz.

Sander przyjrzał się ścianom. Niewykluczone, że wilgoć osłabiła konstrukcję tuneli; nawet przy najlżejszym dotknięciu mogły się zawalić i przysypać uciekinierów. Musieli bardzo uważać. Starali się iść bez przerw i utrzymywać żwawe tempo, kowal miał jednak cały czas wrażenie, że poruszają się zbyt wolno. Nieustannie też nasłuchiwał, czy ściany nad nimi nie drżą i nie pękają.

Fanyi przywołała go. Przed nimi piętrzyło się kolejne rumowisko metalu, tym razem szczelnie blokując drogę. Ale w górze, tuż nad wrakiem Sander zobaczył poszarpany otwór. Mogli dostać się do niego po niepewnej „drabinie”, jaką stanowiło złomowisko.

W otworze zobaczyli wpatrujące się w nich ślepia Kai. Kuny bez wahania zdecydowały się obrać tę niepewną drogę. Głowa Kai zniknęła, gdy tylko Rhin zaczął się wspinać się do góry.

Szedł bardzo ostrożnie. Dokładnie wybierał miejsca, gdzie stawiał łapy. Przy pierwszym kroku strącił małą lawinę kamyków i rdzawych odłamków, zatrzymał się więc i zaczął dokładnie obwąchiwać rumowisko, jakby w ten sposób chciał sprawdzić, czy wytrzyma jego ciężar.

Sander i Fanyi podeszli, gdy Rhin znalazł się trochę wyżej. Przy każdym kroku ciężko dyszał. Wywiesił jęzor, z pyska ciekła mu ślina. Bardzo uważnie stawiał każdy krok.

Do otworu w suficie pozostało mu zaledwie parę kroków. Sander wszedł kawałek pod górę i wyciągnął rękę, w której trzymał pochodnię. Chciał pomóc Rhinowi.

Kojot znowu strącił lawinę małych kamieni, metalowych odprysków i piasku, takiego samego jak na słonej pustyni. Głowa i przednie łapy zwierzęcia zniknęły w otworze. Mięśnie tylnych łap napięły się z całej siły, gdy próbował precyzyjnie olbrzymie cielsko przez wąskie przejście.

Sander uskoczył w bok przed kamieniami, które leciały teraz gęściej. Po chwili głowa kojota ukazała się w otworze i Rhin szczerzył parę razy, zachęcając ich do wejścia.

Kowal zapalił jeszcze dwie pochodnie i wetknął je w niebezpieczne rumowisko, by jak najlepiej oświetlały drogę. Zdjął z pleców bagaż i wyciągnął z jednej z toreb długą linę.

– Idę pierwszy. Gdy już będę na górze, zrzucę ci linę. Przywiąż do niej bagaże, żebym mógł je wciągnąć. Stań z boku, dopóki ich nie złapię. Potem spuszcze ci linę. Przewiąż się w pasie i wspinaj się bez pośpiechu.

Umocował linę przy pasku i spojrzął na rumowisko. Ostatnia mała lawina odsłoniła fragmenty skały, które powinny stanowić solidne oparcie. Oparł nogę na najbliższym z nich i ruszył pod górę.

Nie miał zbyt wiele miejsca, żeby pewnie oprzeć stopę, a ręce parokrotnie się ześlizgiwały, zanim zdołał się mocno uchwycić solidnego skalnego występu. Przedzierając się przez rumowisko, dotarł poziom wyżej. Z otworu w suficie wyjrzał Rhin. Poszczekiwał coraz głośniejszym, wyraźnie zachęcając Sandera do szybszej wspinaczki.

Ostatni fragment gruzowiska był najgorszy. Leżały tu pokruszone kawałki skał i metalu, które podczas swojej wspinaczki zrzucił kojot. By dostać się do otworu, Sander musiał pokonać ten odcinek po nierównym gruncie, który w każdej chwili groził obsunięciem lub zawaleniem. Zanim znów podjął wspinaczkę, stał długo i przypatrywał się niebezpiecznemu przejściu. Chciał zaczerpnąć tchu i uspokoić się przed dalszą wędrówką. Choć nigdy nie przyznałby się do tej słabości, nie cierpiał wspinaczki, nawet na wzgórzach bardziej przystępnych od tego rumowiska. Wiedział, że nie wolno mu patrzeć w dół. Koncentrował się tylko na tym, co widział przed sobą. Nie mógł jednak stać tak w nieskończoność. Nie pozostało mu nic innego, jak zaufać szczęściu i własnej sile i pokonać ostatni odcinek drogi.

Badał nasyp przed sobą, by znaleźć dobre oparcie dla rąk. Paznokcie zgrzytały o metal i skałę. W palcach czuł tępy ból. W końcu znalazł fragment bloku skalnego, który nie osuwał się nawet pod silniejszym naciskiem.

Zdawało mu się, że pod jego ciężarem cała konstrukcja zaraz runie w dół. Szybko podciągnął się do góry i udało mu się znaleźć miejsce, gdzie oparł kolano. Był już kilkanaście centymetrów od załomu, ale nie czuł się ani odrobinę pewniej.

Kojot opuścił łeb. Bez żadnego ostrzeżenia chwycił Sandera za ubranie i zaczął wciągać do góry. Kowal krzyknął, bo kły Rhina zacisnęły się na skórze pod ubraniem.

Wreszcie kojot wyciągnął go na powierzchnię. Sander, zupełnie tym zaskoczony, chwiał się przez chwilę niepewnie w blasku oświetlającego splekaną ziemię księżyca.

Wciągnięcie bagażu nie stanowiło już wielkiego problemu. Szybko znalazł skałę, do której przywiązał linę, zrzucił sznur i wciągnął pakunki na górę. Dziewczyna, obwiązana liną, również nie miała problemów ze wspinaczką. Sander pomagał jej z góry, jak mógł, i właściwie sam

wyciągnął ją na powierzchnię.

Mieli teraz trochę czasu, by rozejrzeć się dookoła. Na zachodzie rozciągał się pas stromych wybrzeży. Na wschodzie dostrzegli wzniesienie – prawdopodobnie dawną wyspę – a na nim mocno zniszczone miasto. Tunel, którym uciekli, z pewnością biegł kiedyś pod dnem morza i łączył wyspę z kontynentem.

Tu, gdzie znajdowali się teraz, nie wydawało się zbyt bezpiecznie. Teren był płaski i odkryty. Potwór nie wszedł za nimi do tunelu, ale jeśli on lub jego pobratymcy włóczyli się pośród ruin, z łatwością mogli teraz wypatrzeć uciekinierów.

Sander schylił się i podniósł swój pakunek. Czuł dreszcze, był zmęczony i głodny, a ostatnia przeprawa ostatecznie go wyczerpała. Wiedział jednak, że powinni jak najszybciej dotrzeć do wybrzeża i znaleźć tam jakiegokolwiek schronienie. Musiał jeszcze trochę wytrzymać. Na otwartej przestrzeni mogli znów objuczyć Rhina. Kowal długo rozplątywał linę, zanim przymocował nią bagaże na grzbiecie kojota. Wciąż mieli jeszcze spory zapas pochodni, rozsądniej jednak było nie zapalać ich teraz. Mogłyby przyciągnąć uwagę wrogich istot, a tego w tej nieprzyjaznej krainie należało się wystrzegać. Na razie musiało im wystarczyć światło księżyca.

Szli po obu stronach kojota. Sander raz po raz potykał się i zataczał. Kuny znów gdzieś zniknęły w ciemnościach. Kowal przypuszczał, że pobiegły w stronę plaży.

Szedł bardzo niepewnie. Ręce trzęsły mu się ze zmęczenia, ale nie chciał, by dziewczyna to zauważyła.

Na szczęście droga wiodła łagodnie w dół. Nie widział nigdzie urwisk, na które musieliby się znowu wspinać. Wreszcie dotarli do dawnego wybrzeża. Nogi zapadały im się w piachu. Wokół leżały ogromne głazy, porośnięte skąpą trawą. Sander uniósł głowę i popatrzył na południowy kraniec wybrzeża. Szukał ciemnej linii lasu, który opuścili, jak się teraz zdawało, tak dawno temu.

Nigdzie jednak nie widział drzew. Krajobraz był tu płaski i otwarty, gdzieniegdzie tylko wznosiły się skalne wybrzuszenia podobne do tych, które widzieli na wyspie. Dawne miasto było ogromne i rozciągało się także na stałym lądzie.

– Musimy szybko znaleźć schronienie. – W głosie Fanyi wyczuwało się napięcie. – Opadam z sił. Nie wiem, ile jeszcze dam radę przejść.

Był jej bardzo wdzięczny, że powiedziała to pierwsza. Sam również nie wiedział, na jak długo jeszcze wystarczy mu sił, a jednak duma nie pozwoliła mu przyznać się do tego.

W końcu oboje chwycili za liny, które podtrzymywały niesiony przez Rhina bagaż. Kojot ciągnął ich za sobą, aż wreszcie chwiejnym krokiem wtoczyli się na otwartą przestrzeń. Dotarli do szerokiej niecki, którą niegdyś musiała porastać gęsta roślinność.

Tu również musiał spaść śnieg, który zalegał jeszcze gdzieniegdzie rozległymi płatami. Ich biel lśniła w świetle księżyca. Chłoszczący wiatr ucichł. Noc była spokojna i cicha. Sander drżał

z zimna. Skostniałymi palcami odwiązał linę i cały bagaż zsunął się z grzbietu kojota na piaszczystą ziemię. Za jednym ze wzgórz pojawiły się kuny. Kai niósł w pysku bezwładny ciężar, który rzucił u stóp Fanyi. Był to duży zajac.

Rhin, wolny od ciężaru, warknął znacząco, zaczął węszyć i po chwili ruszył przed siebie. Sander wiedział, że kojot sam zadba o swój posiłek.

Obejrzał teraz uważnie dolinkę, w której się zatrzymali. Od płaskowyżu wysuszonej, morskiej pustyni odgradzały ich co najmniej dwa wzniesienia. Wiedział, że nie przetrwają tej nocy bez ognia i ciepłego posiłku, przykucnął więc i zaczął wrywać poplątane krzewy. Wyschnięte pnącza łatwo się kruszyły. Po chwili przy obozowisku płonął wesoło ogień, a Sander mógł poświęcić całą uwagę zajacowi, którego trzeba było wypatroszyć i obdrzeć ze skóry.

Obozowali tu przez dwa dni, nie widząc w tym czasie żadnego z zagrożeń, na jakie byli narażeni wcześniej. Po potwornej istocie, która napadła ich w opuszczonym domu, również nie było śladu. Sander polował na duże zające i miniaturowe jelenie, które swoimi rozmiarami nie dorównywały nawet Kayi, a zachowywały się tak beztrzesko i odważnie, jakby nigdy wcześniej na nie nie polowano. Był to kolejny dowód, że nikt tędy nie podróżował.

Dni stawały się coraz zimniejsze. Noce spędzali na przerywanej dreszczami drzemce w pobliżu ognia. Znowu spadł śnieg, niezbyt gęsty, ale wystarczył, by pokryć ziemię białym puchem. Sander nie był tym zachwycony – teraz ich ślady wokół obozu widać było jak na dłoni. Ze wszystkich sił starał się je zacierać, nie dawało to jednak większych rezultatów.

Nie wiedzieli, jak skutecznie zabezpieczyć zajęcze skóry, ale oczyścili je najdokładniej jak potrafili i wiązali w małe zawiniątka. Kowal wiedział, że swoich ubraniach długo nie wytrzymają w takim klimacie i że wkrótce będą potrzebowali skór, nawet śmierdzących i niedokładnie zabezpieczonych, jako dodatkowej ochrony przed zimnem.

Fanyi przesiadywała z medalionem w ręku, tak zajęta jego obserwowaniem, że często nie miała pojęcia, co dzieje się dookoła. Twierdziła, że już dwa razy udało jej się nawiązać kontakt z czymś, co nazwała „szukającą myślą”. W obu przypadkach nie była jednak pewna, czy ten poszukujący umysł zdawał sobie sprawę z jej obecności. Nie zdołała również ustalić źródła, z którego wysłano sygnał. Wydawała się tym niepokieszona, Sanderowi wcale to jednak nie przeszkadzało. Nie miał zaufania do spraw, których nie potrafił pojąć.

Podczas polowań szukał również metalu. Nawet jeśli po ustąpieniu Mrocznych Czasów znajdowały się tu jakieś złoża tego surowca, już dawno dokładnie je wyczyszczono. Prawdopodobnie zrobili to Kupcy. Natknął się nawet na wykopaliska, z pewnością prowadzone po katastrofie, która tak bardzo odmieniła świat.

Rozległość ruin starego miasta przytłaczała Sandera. Ilu Praludzi musiało je zamieszkiwać?

Z pewnością o wiele więcej, niż liczył sobie jakikolwiek klan. Śladami Rhina kowal dotarł do innej rzeki, której koryto częściowo blokował ogromny głaz. Musiała zakrećać w kierunku odległego teraz morza i obiegać dawną wyspę z drugiej strony. Obaj, człowiek i zwierzę, zdawali sobie sprawę, jak ważne było to odkrycie. Gdy Sander napelniał bukłak, Rhin stanął na straży, nie zauważyli jednak ani śladu płazowatych stworów. W wodzie roiło się za to od ryb i kowal zdołał nawet złowić jedną za pomocą prowizorycznej wędki. Szybko jednak wypuścił ją powrotem. Przypominała oślizłego węża i wiedział, że nie przełknie nawet kawałka jej lepkiego mięsa.

Właśnie nad rzeką natknął się na tę głowę. Nie była to czaszka żadnego ze zwierząt, które tu żyły, tylko wykuta w kamieniu głowa, wielkości dwóch złożonych razem pięści i bardzo stara. Wzdłuż karku ciągnęło się głębokie pęknięcie. Przedstawiała łeb jakiegoś ptaka o dzikim i dumnym wyglądzie. Zaciekawiała kowala.

Przyniósł ją do obozu, by pokazać Fanyi. Dziewczyna dokładnie obejrzała znalezisko, obracając je w dłoniach.

– To – oznajmiła stanowczo – był symbol władzy lub dowództwa. Takie znalezisko to dobry znak.

Sander uśmiechnął się.

– Nie mam pojęcia o dobrych i złych znakach, Szamanko. Moi ludzie nie zajmują się takimi rzeczami. Jednak wykonano ją bardzo starannie. Musiała mieć duże znaczenie dla tego, kto ją wykuł. Włożył w nią tyle pracy i wysiłku...

Chyba w ogóle go nie słuchała. Jej oczy znów gdzieś błądziły.

– Był ogromny budynek... bardzo, bardzo duży. A ta głowa stanowiła część rzeźby ptaka z rozpostartymi skrzydłami, którą ustawiono nad wejściem... i... – Fanyi upuściła kamienną głowę i przetarła oczy, jakby chciała z nich coś wymazać. – Miała swoje znaczenie – powtórzyła. – Była totemem wielkiego narodu, który zamieszkiwał tu ogromne obszary.

– Tu? – Sander rozejrzał się dookoła. – Jeśli jest, jak mówisz, to ten totem nie bardzo im pomógł.

Podniosła kamienną rzeźbę.

– Wszystkie totemy zawiodły w Mrocznych Czasach, kowalu. Ziemia, morze, wiatr i ogień sprzysięgły się przeciwko ludziom. Żaden totem nie powstrzyma ginącego świata przed zagładą.

Ustawiła rzeźbę na niewielkim głazie, podparła ją małymi kamykami i skłoniła przed nią głowę.

– Totemie umarłych – powiedziała cicho – znów oddajemy ci należny szacunek. Jeśli drzemie w tobie jeszcze jakaś moc, użyj nam jej. Jesteśmy potomkami potomków tych, którzy stworzyli cię, byś chronił ich potężne domostwa. – Wykonywała przy tym gesty, których znaczenia kowal nie rozumiał.



Ona mogła zajmować się niewidzialnymi mocami i totemami, on musiał martwić się o dzień dzisiejszy. Naszła go jednak ochota, by zrobić gliniany odlew rzeźby i potem wypełnić go łąwą do obróbki miedzią. W ten sposób mógłby sporządzić replikę starego totemu. Rzeźba ważyła jednak zbyt dużo, a poza tym bardziej opłacało mu się zachować kawałki metalu, które znalazł na statku.

Zaczynał tracić cierpliwość. Spędzili tu już dość czasu, by odpocząć i zgromadzić potrzebne zapasy. Udało mu się nawet ususzyć nad ogniem część zajęczego mięsa. Nie było żadnego powodu, by przedłużać postój.

– Ten przewodnik... rzecz, którą nosisz na szyi – zwrócił się do dziewczyny. – Co teraz pokazuje?

Wskazała, jak zwykle, na północny zachód. Wędrówka w tamtym kierunku oznaczała jednak błądzenie wśród ruin miasta. Czuliby się o wiele swobodniej, gdyby ruszyli prosto na zachód, gdzie, jak miał nadzieję, mniej było pozostałości po budowlach Praludzi.

Choć zniecierpliwienie narastało w nich z każdą chwilą, pozostali w obozowisku jeszcze dwa dni, co pozwoliło im lepiej przygotować się do dalszej drogi. Dobra pogoda nadal się utrzymywała, ale z każdym dniem robiło się coraz chłodniej. Najważniejsze jednak, że burze i sztormy wyniosły się z tej okolicy na dobre. Wreszcie, po pięciu dniach spędzonych na starym wybrzeżu, ruszyli w dalszą drogę. Słońce świeciło jasno i było dość ciepło.

Jak zwykle, obie kuny wypuściły się do przodu i zniknęły im z oczu wśród pagórków i wzniesień. Tu i ówdzie natrafiali na ich ślady, mieli więc jakieś wyobrażenie, gdzie mniej więcej znajdowały się zwierzęta. Rhin za to nie opuścił Sanderą i dziewczyny ani na chwilę.

Fanyi przez cały czas trzymała w ręku medalion. Co chwila wskazywała drogę, a Sander, widząc jej pewność siebie, nie sprzeciwił się ani razu. Sam chciałby przyjrzeć się lepiej medalionowi i jego nieustannie migoczącym kamieniom. Nie miał wątpliwości, że Praludzie potrafili stworzyć przyrząd do wyznaczania kierunku. Wątpił jednak, czy sam zdołałby zgłębić tajemnicę jego działania. Mimo to zapytał w końcu:

– W jaki sposób ten przedmiot do ciebie przemawia, pokazując ci, że mamy iść w prawo lub w lewo?

– Wiem bardzo niewiele o tym, jak należy go używać. Widzisz? – kiwnęła na niego. – Popatrz, ale nie dotykaj, bo nie wiem, jak inna osobowość może wpłynąć na działanie medalionu.

Przedmiot był owalny i gruby na jakieś dwa centymetry. Wykonano go z jasnego metalu, na którym czas nie wycisnął swego piętna. Możliwe, że zrobiono go z tajemniczego stopu, który już od dawna zaskakiwał swoimi właściwościami ludzi Klanu. Pośrodku medalion był wysadzany okrągłymi, wypolerowanymi kamieniami, które tworzyły koło. Kamieni było dwanaście, każdy miał inną barwę. Świeciły jasno, uwagę Sanderą przykuło jednak coś innego. Wewnątrz metalu

poruszała się cienka strużka światła.

– Patrz uważnie – powiedziała dziewczyna, gwałtownie odwracając się w lewo. Promień światła na medalionie zatańczył i również się obrócił, cały czas jednak wskazywał ten sam kierunek, co wcześniej. Z tą różnicą, że teraz dotykał innego kamienia.

– Mój ojciec – odwróciła się z powrotem i promień przesunął się na dawne miejsce – wiedział wiele rzeczy. Niektóre z nich udało mu się przekazać mojej matce, a ona z kolei nauczyła mnie. Umarł, zanim przyszedłem na świat. To był jego największy skarb. Przysięgał na magię Praludzi, że tego, kto będzie go używał, medalion zaprowadzi do miejsca, w którym go wykonano. Im bliżej się jest tego miejsca, tym jaśniejszy staje się promień. I to się zgadza. Z każdym dniem płonie mocniejszym blaskiem. Wiem, że miejsce, którego szukamy, jest źródłem olbrzymiej wiedzy. Możliwe, że Praludzie w jakiś sposób przewidzieli nadchodzący kataklizm i wybudowali taki magazyn, którego nie zniszczyła nawet katastrofa Mrocznych Czasów.

Świetlisty promień zrobił na Sanderze ogromne wrażenie. Naprawdę reagował na ruchy dziewczyny i można było uwierzyć, że medalion pokazuje drogę. Kim tak naprawdę był jej ojciec? Kupcem, który przetrząsnął ruiny i znalazł w nich rzeczy, o których istnieniu Sander nie miał pojęcia? A może członkiem plemienia, w którym mieszkał Zapamiętywacz o wiedzy przewyższającej wszystkich ludzi jego Klanu?

– Twój ojciec... był jednym z Kupców?

– Nie, choć podróżował w ich towarzystwie. Właśnie z nimi przybył do Padford. Był poszukiwaczem, nie metalu jednak. Szukał ludzi, oczywiście nie po to, by ich zniewolić, jak to robią Morskie Rekiny. Chciał się od nich uczyć, chciał się dowiedzieć, jak wiele wiedząc Dawnych Czasach. Udało mu się zebrać mnóstwo informacji, ale... – jej twarz spochmurniała – gdy złożyli go już do grobu, matka włożyła tam również księgę, w której zapisywał wszystko, co zdołał ustalić. Swoje notatki sporządzał na wygładzonej korze lub wygarbowanej skórze. Matka wiedziała, że to był jego największy skarb i dlatego kazała pochować go z tą księgą. Dzięki temu w zaświatach będzie mógł używać jej tak, jak inni używają narzędzi i broni, z którymi zostali pochowani. Ojciec mówił, że zapisane słowa to największe ze wszystkich narzędzi...

Sander z politowaniem pokręcił głową. Brzmiało to bardzo głupio. W jaki sposób znaki, podobne do tych, które Fanyi niedawno nabazgrała na piasku, mogły być bardziej przydatne od narzędzi, za pomocą których można było zrobić coś konkretnego, lub od broni, która pozwalała uchronić się od śmierci i głodu?

– Tak uważał mój ojciec! – Uniosła dumnie głowę, jakby czytając w jego myślach. – Jego zapiski spoczywają teraz wraz z nim, ale mnie pozostało to. – Jej dłoń mocno zacisnęła się na medalionie. – I myślę, że gdzieś istnieje jeszcze więcej takich cudownych urządzeń.

W ciągu dnia udało mu się jeszcze kilka razy zajrzeć przez ramię dziewczyny, gdy czytała

wiadomości wysyłane przez medalion. Parokrotnie musieli nadkładać drogi, czasem nawet cofać się i omijać jakieś ruiny. Za każdym razem promień światła zmieniał swoje położenie, wciąż jednak wskazywał ten sam kierunek.

Sander pomału zaczynał odnosić wrażenie, że to miasto nie ma końca. Skąd wzięło się tu tyle ludzi, jak długo gromadzili materiały i wznosili te budowle? Coraz bardziej go to zastanawiało.

W czasie wędrówek ludzie Klanu niekiedy natykali się na jakieś ruiny, omijali je jednak dla zasady. Panowało bowiem przekonanie, że wśród murów mogła się czaić zaraza, choroba, która zawsze kończyła się śmiercią. Młodzi raz lub dwa wyprawili się tam po metal, znaleźli jednak tylko porzewiałe szczątki, które do niczego się nie nadawały. Bardziej opłacało się polegać na Kupcach, którzy dla zysku zawsze skorzy byli zaryzykować i dostarczyć Klanowi zamówiony towar.

Jednak żadne ruiny, które kował widział wcześniej, nie ciągnęły się w nieskończoność. Podejrzał też, że jeśli wśród zniszczonych budynków znajdował się nawet kiedyś dobrej jakości metal, z pewnością dawno go zabrano. W krzakach, które rosły dokoła bardziej stabilnych ścian, zagnieździły się ptaki. Wszędzie wokół widniały na murach białe plamy ptasich odchodów. Teraz jednak gniazda były puste. Widać je było przez odarte z liści gałęzie krzewów.

Sander dwukrotnie sięgał po procę i raz udało mu się ustrzelić dużego królika. Upekli go podczas postoju. Suszone mięso woleli zostawić na później.

Kuny włóczyły się gdzieś w okolicy. Rhin obwąchiwał kamienie i warczał niespokojnie, jakby wyczuwał zapach, który mu się nie podobał. Za każdym razem Sander przeszukiwał ziemię. Najbardziej obawiał się natknąć na potwora, który zaatakował ich na wyspie. Nie było jednak widać żadnych śladów.

Tropy, które odnajdywał kojot, albo musiały być bardzo stare, albo pochodziły od zwierzęcia, które nie poruszało się po ziemi w normalny sposób. Wokół nie było też drzew, na których mogłyby się ukryć stworzenia podobne do leśnych ludzi.

Szukając drewna na wieczorne ognisko, Sander dokonał odkrycia, które bardzo go poruszyło. W małej rozpadlinie znalazł szkielet. Nie były to ludzkie szczątki. Długa czaszka z ogromnymi szczękami leżała na gołej skale. Była prawie dwukrotnie większa od jego głowy. Z jednego z oczodołów coś sterczało. Była to strzałka z miotacza.

Ostrożnie wy dobył ją z czaszki. Nie różniła się kształtem od tych, których sam używał. Wykonano ją z nieźle obrobionego metalu. Musiała wyjść spod ręki bardzo dobrego kowala. Jednak nie miała żadnych znaków, które mógłby rozpoznać. Przykucnął, by lepiej przyjrzeć się szkieletowi.

Z pewnością były to szczątki jednego z człekokształtnych potworów. Stworzenie musiało zginąć co najmniej parę miesięcy temu. Sander zastanawiał się, dlaczego zabójca nie zabrał

strzałki. Nie należało ich marnować i każdy łowca po zabiciu ofiary myślał przede wszystkim o tym, jak odzyskać swoją broń. Możliwe, że strzelano z dalszej odległości i potwór, wciąż żywy, zdołał jeszcze uciec i dowlec się tutaj.

Kowal ostrożnie okrążył szkielet i po chwili dokonał kolejnego odkrycia. W jednej ze skał dostrzegł wejście. Choć ziemia częściowo je przysypała, wciąż było całkiem wyraźne. Niewykluczone, że potwór zaskoczył w tym miejscu Kupców, którzy akurat starali się wydobyć coś z ziemi. Wydawało się to bardzo prawdopodobne.

Możliwe, że Kupcy tak dotkliwie odczuli skutki ataku, że zabrali zabitych i rannych, i po prostu uciekli. Ślady tej potyczki, choć dość stare, stanowiły jednak wyraźne ostrzeżenie.

Sander uważniej przyjrzał się lotce. Na czubku nosiła ślady rdzy, ale z łatwością można było je usunąć, choćby piaskiem. Wiedział, że każda dodatkowa strzałka może być w ich sytuacji na wagę złota.

Nie zadowoliło go to jednak. Gwizdnął na Rhina, który gdy tylko wyczuł szkielet, wyszczerzył kły i warczał ostrzegawczo. Sander pokazał kojotowi wejście, ale zwierzę nie wydawało się specjalnie zainteresowane. Z pewnością wszystkie zapachy, które Rhin mógłby wywahać, dawno już wywietrzały. Teraz, za kupą gruzu, która częściowo zagradzała wejście, kowal zauważył coś innego – głębokie, wyżłobione w ziemi koleiny.

Z pewnością ciągnięto tędy jakiś wóz lub bryczkę, nieco mniejszą niż te, których używali w swoich wędrownkach ludzie Klanu. Pojazd musiał być wyładowany po brzegi, bo jego koła wbijały się w grunt nawet na kilka centymetrów. Wynikało z tego jasno, że poszukiwacze zabrali ze sobą to, co znaleźli pod ziemią.

Jeżeli jednak ta ziemia była miejscem, gdzie Kupcy zaopatrywali się w towary, to on i dziewczyna mogli znaleźć się w niemałym niebezpieczeństwie, nawet jeśli nie wyglądali na poszukiwaczy metalu, nie mieli ze sobą wozów, a towarzyszył im jedynie kojot i kuny. Kupcy znani byli z zawistnego usposobienia i bez żadnego ostrzeżenia mogli zaatakować intruzów na terytorium, które uważali za swoje. Wykopalisko musiało być bardzo stare. Świadczyły o tym wyschnięte kości potwora i stan, w jakim znajdowało się wejście do podziemi. Nie znaczyło to jednak, że ludzie, którzy czegoś tutaj szukali, całkiem porzucili ruiny miasta i wynieśli się na dobre gdzie indziej. Starodawne miasto było niewyczerpaną skarbnicą wszelkiego rodzaju towarów.

Teraz więc podróżnicy musieli wystrzegać się jeszcze jednego niebezpieczeństwa. Sander wiedział, że kojot zaatakuje każdego intruza, którego kowal nie zaakceptuje. Nawet Fanyi była kiedyś zagrożona; przy pierwszym spotkaniu Rhin nie zaatakował jej tylko ze względu na kuny. Musieli zatem polegać na kojocie, na jego sile i instynkcie. Sander nie miał zamiaru wchodzić w konflikt z Kupcami. Za bardzo potrzebował wiedzy i surowców, do których mieli dostęp. Ci, których spotkał na swej drodze, byli zawsze uprzejmi, choć, jeśli chodziło o sprawy handlowe,

wyjątkowo twardzi i nieustępliwi. Ostatecznie daleko im było do Morskich Rekinów, z którymi nie dało się żyć w pokoju. Sander miał więc nadzieję, że jeśli na ich drodze stanie grupa Kupców, Rhin ostrzeże uciekinierów na tyle wcześniej, że będą mogli przygotować się na spotkanie i udowodnić swoje pokojowe zamiary. Gdy opowiedział o znalezisku dziewczynie, nie wydała się zbyt poruszona.

– To mogli być nawet ludzie z klanu Gavaha. To oni przybywają do Padford... – poprawiła się szybko – przybywali wiosną do Padford wzdłuż wybrzeża. Nasz kowal, Ewold, zarzekał się, że Gavah sprzedawał najlepszy metal.

– Co proponowaliście im w zamian?

Jego Klan miał na wymianę skóry i tkaną wełnę. Wszystko to Kupcy chętnie nabywali. Zastanawiał się, co takiego mieli do zaoferowania ludzie Fanyi, że Kupcom opłacało się zaglądać do Padford. W jego mniemaniu w wiosce nie było rzeczy, które mogły przyciągnąć handlarzy.

– Handlowaliśmy solonymi rybami i samą solą – odparła szybko. – Nasi ludzie wyprawiali się po nią na słoną pustynię. Poza tym mieliśmy suszone owoce i, od czasu do czasu, nadwyżkę ziarna. Moja matka suszyła również zioła, których nie mieli znachorzy Kupców. Nie byliśmy tak biedni, jak ci się wydaje, kowalu!

– Przecież niczego takiego nie powiedziałem – obruszył się. – Każdy żyje, jak chce.

– Może nic nie mówisz, ale tak właśnie myślisz – powiedziała pewnym głosem. – Morskie Rekiny zabrały ze sobą dużo więcej niż tylko niewolników i dusze pomordowanych. Zastanawiam się, dlaczego to robią? Dlaczego polują na istoty do nich samych podobne i każą im pracować na swoich okrętach? – Wydawało się, że nie oczekuje odpowiedzi. – Słyszeliśmy o nich nie tylko od Kupców. Starsi w Klanie również o nich opowiadali. To oni właśnie polowali na nas na południu. Kiedyś mój Klan był liczniejszy. Wielu młodych mężczyzn i kobiet porwały Morskie Rekiny. To część naszej historii, kowalu, choć nie mamy Zapamiętywaczy, którzy mogliby nam o tym przypomnieć.

– Słyszałem o tych barbarzyńcach tylko od Kupców – wyznał. – Wiem, że trzymają się raczej wybrzeża i nie zapuszczają w głąb łądu. Chyba że Białoskórzy należą do ich klanu...

– Białoskórzy?

– Gdy byłem jeszcze bardzo młody, najechali nasz Klan. Bardzo dziwni ludzie. Od razu atakowali, jakby od naszej śmierci zależało ich przeżycie. Zupełnie nie można się było z nimi porozumieć, ustalić granic na pastwiskach, jak robiliśmy z innymi Klanami. Zabijali wszystkich... dzieci, kobiety, mężczyzn, nawet kojoty... jakby nosili w sobie strach przed wszystkim, co żywe. Przybyli z północy na wozach ciągniętych nie przez kojoty, ale przez duże, podobne do jeleni zwierzęta o długim i ciężkim porożu. Zachowywali się tak, jakby chcieli zagarnąć cały świat, zmieść z powierzchni ziemi inne klany. Gdy moi ludzie zorientowali się co

do ich zamiarów, połączyli siły z innymi klanami i spotkali się z Białoskórymi w miejscu, które stało się grobem najeźdźców. Gdy obcy zobaczyli swoją kłeskę, ich kobiety poderzwały gardła dzieciom, a potem w podobny sposób popełniły samobójstwo. Pozabijali nawet swoje zwierzęta. To była rzeź, której nikt na równinach nigdy nie zapomni.

– W ich wozach znaleźliśmy dziwne przedmioty – ciągnął kowal. – Starsi uznali jednak, że wszystko, co należało do Białoskórych, jest przeklęte, tak jak i oni sami byli przeklęci. Wszystkie znaleziska ułożyliśmy w stosy, na które rzuciliśmy też ciała najeźdźców i ich zwierząt. Pozostał po nich tylko popiół. Następnie przywódcy zwycięskich klanów zebrali się na radę, na której ustalono, że to miejsce jest odtąd przeklęte. Wszyscy Zapamiętywacze mieli o tym nauczać. Zakazano w ogóle powracać na to miejsce. Naszych zabitych pochowaliśmy jak bohaterów w grobowcach wzdłuż drogi prowadzącej na pole bitwy. Ich dusze miały nas strzec przed kolejnym kataklizmem. Choć niektórzy dalej wierzą – dodał – że ludzie nie mają duszy, tylko ciało, które pozostaje po człowieku jak zużyte ubranie. Jednak wierzących było tak wielu, że nasi bohaterowie spoczęli w specjalnych grobach. Odtąd zawsze, gdy Klan znajdzie się ze swoimi stadami na północy, Zapamiętywacze zabierają młodych, świeżo zaprzysiężonych wojowników i dziewczyny, które niedługo wybiorą sobie partnera, i jadą z nimi do miejsca, w którym zaczynają się pierwsze nagrobki. Tam młodzi poznają ich historię.

– Dlaczego nazwaliście ich Białoskórymi?

– To przez ich włosy, które nawet u młodych były białe. I przez skórę. Choć całe plemię przez długi czas musiało podróżować w słońcu, była blada i jasna, jakby wyblakła. Najdziwniejsze jednak mieli oczy: jednokolorowe, bez źrenic, przypominały kulki z oszlifowanego srebra. Z postury nie różnili się specjalnie od nas. Na pewno nie mieli nic wspólnego z leśnymi ludźmi lub z potworem, który zaatakował nas w opuszczonym budynku. Jednak podobieństwo fizyczne to chyba jedyna cecha, która łączyła nas z tymi przerażającymi, bladskórymi istotami.

– Rekiny Morskie – powiedziała stanowczo Fanyi – też wyglądem przypominają zwykłych ludzi, ale w ich sercach mieszkają demony zrodzone w największych ciemnościach nocy.

Umocowała w ziemi patyki, na które wcześniej nadziała kawałki zajęczego mięsa. Mrok był coraz gęstszy, a noc coraz bliżej. Rhin zniknął gdzieś w ciemnościach i choć Sander wiedział, jak wiele niebezpieczeństw się tam czaiło, pozwolił mu odejść. Kojot też musiał coś jeść. Nagle w ciemnościach dostrzegł jakiś ruch. Instynktownie chwycił miotacz. Fanyi złapała go za ramię.

– Zostaw. To Kai i Kayi – powiedziała. – Wiem, że nie możemy ufać niczemu, ale nie każdy cień stanowi dla nas zagrożenie.

Cichym okrzykiem powitała zwierzęta.

Fanyi objęła kuny i długo patrzyła im w oczy. W końcu odezwała się: – Nie znalazły żadnych śladów innych istot, więc chociaż pod tym względem mamy szczęście.

Może i tak, pomyślał Sander, z drugiej jednak strony w tym poszarpanym i nierównym terenie cały klan mógłby się przemknąć niepostrzeżenie. Cały czas musieli zachowywać ostrożność.

Znów na zmianę trzymali nocną wartę. Nad ranem kowal siedział przy ognisku. Dorzucał dREW, obserwował Rhina i wsłuchiwał się w szum rzeki i odgłosy dobiegające z rzednących ciemności.

Atak zaskoczył go zupełnie, po prostu między wdechem a wydechem. Nie nadszedł z cienia, pojawił się jakby w jego głowie. Sander nie zdążył nawet krzyknąć. Nie był w stanie się bronić. Czuł, że znajduje się w innym miejscu. Jego wzrok zasnuła mgła; nie widział dobrze istoty, która kontrolowała jego wolę z taką samą łatwością, z jaką dorosły mężczyzna może kierować wolą dziecka.

Nie potrafiłyby opisać tego uczucia. Ktoś zawładnął jego myślami, przerzucał je bezlitośnie, wysysał z niego informacje, które kowal wolałby ukryć. Wszystko mieszało mu się w głowie – zniszczone budowle, wędrówka między nimi. A gdy chciał im się przyjrzeć, znikwały. Nagle znów zobaczył ogień w ciemności i Rhina, który wpatrywał się w niego błyszczącymi oczami. Dalej, z tyłu, dwie kuny, teraz zwrócone w jego stronę, obserwowały go uważnie. Tylko Fanyi wciąż spała spokojnie na swoim miejscu.

Rhin warknął cicho. Zawtórowało mu syczenie kun. Kowal potarł ręką czoło. Czuł się słaby, zmęczony i przerażony. Nigdy nie słyszał o czymś podobnym, nawet w opowieściach Zapamiętywaczy. Nie wiedział, co myśleć o nieuchwytniej Mocy, której obecność wyczuwała dziewczyna – a może właśnie to nazwała „szukającym umysłem”? Kto go szukał i w jakim celu? Sander czuł się tak, jakby ktoś tym atakiem pogwałcił jego prywatność.

Kai syczał teraz głośniejsz, szczerząc w jego stronę kły. Kowal poczuł się odepchnięty tą jawną wrogością. A Rhin... Spojrzał na kojota. Zwierzę ani na chwilę nie przestało warczeć. Gdy jednak ich oczy się spotkały, kojot umilkł. Sander, który nigdy wcześniej nie próbował komunikować się z Rhinem tak, jak Fanyi porozumiewała się ze swoimi kunami, odniósł wrażenie, że kojot, zaniepokojony dziwnym atakiem, uspokoił się natychmiast, gdy zobaczył, że jego pan znów jest sobą.

W pierwszej chwili chciał obudzić dziewczynę i opowiedzieć jej o wszystkim; był pewien, że to miało związek z jej szamańskimi sztuczkami. Jednak gdy minął pierwszy strach i zdziwienie, poczuł narastający gniew. Nikt się nie dowie, w jaki sposób go wykorzystano. Wyczuł w obecności obcej istoty lekceważenie, jakby jego umysł nie stanowił dla niej żadnej przeszkody. Nie, nie powie dziewczynie ani słowa o tym, co się stało.

Zaczął grzebać w swojej torbie, powtarzając w myślach jedno z sekretnych zaklęć.

Przypomniawszy sobie, co powiedział mu kiedyś ojciec. Według niego na świecie można było znaleźć dziwne miejsca z Dawnych Czasów, gdzie człowieka opanowywała obca Moc i zmuszała do robienia różnych rzeczy. Jednak istniały sposoby, by się przed nią obronić. Była to jedna z tajemnic znanych tylko kowalom.

Sander natrafił wreszcie na metalowe przewody, które zabrał ze statku. Odmierzył je i uplótł z nich coś w rodzaju przepaski, którą zaraz włożył sobie na głowę, nisko, tuż nad oczami. Związał końce drutów i mocniej nasadził opaskę.

Chłód żelaza... słowa te miały swoje znaczenie już w Dawnych Czasach. Jeśli ten metal wykorzystano w odpowiedni sposób, mógł służyć jako ochrona. I choć Sander często wykonywał na zamówienie członków Klanu podobne amulety, nigdy nie sprawdził ich działania. W głębi ducha uważał to za przesadę. Jego zdaniem, amulety nie miały żadnej mocy. Poprawiały tylko samopoczucie tych, którzy je nosili.

A teraz... teraz sam miał przyznać, że gdzieś w pobliżu znajdowali się wrogowie... lub wróg, którego należało obawiać się znacznie bardziej niż człekokształtnego potwora, zawistnych Kupców i Białoskórych.

Gdy skończył przygotowywać diadem, zebrał mniejsze kawałki drutu i splótł z nich drugi amulet, dla Rhina. Nie miał pojęcia, czy umysł kojota również można było kontrolować tak jak jego, ale jeśli istniało jakiegokolwiek zabezpieczenie, należało go użyć.

Pozostała jeszcze dziewczyna i kuny. Wiedział, że zwierzęta nie dopuszczą go do siebie. Tolerowały obecność jego i kojota tylko dlatego, że wymagała tego Fanyi. A co do niej... gdy po raz pierwszy odebrała wiadomość od „poszukującego umysłu”, wyglądała na podekscytowaną i wyraźnie chciała spotkać tego, kto tę wiadomość wysłał. Wynikało to zapewne z faktu, że dziewczyna sama była Szamanką. Jeśli szamani widzieli w takiej formie kontaktu rzecz naturalną... Gdyby nie wspólny cel, opuściłyby ją natychmiast i zniknęły w ciemnościach.

Popychał go do tego gniew i strach, ale nie miał zamiaru poddawać się uczuciom. Będą podróżować razem do momentu, gdy Fanyi da mu do zrozumienia, że czuje się bardziej związana z tym, kto wysłał jej myślową wiadomość niż z nim i jemu podobnymi.

Metalowa opaska mocno uciskała głowę. W myślach wypowiadał przez cały czas tajemne zaklęcia, których wymagało wykonanie każdej nowej broni czy narzędzia. Po chwili wstał i dołożył do ognia. Kuny trochę się uspokoiły i znów przysiadły koło Fanyi. Siła, która go zaatakowała, musiała się już wycofać.

Związał z powrotem torbę i upchnął ją koło reszty bagażu. Po ścianie klifu, który otaczał rzekę, powoli i leniwie pełzną promień wschodzącego słońca. Kowal miał nadzieję, że dotrą dziś do skraju miasta albo przynajmniej uda im się osiągnąć cel, do którego zmierzała dziewczyna. Zaczynał mieć powoli dosyć tego labiryntu korytarzy i ruin. Jeśli duchy naprawdę istniały, to w tym przeklętym mieście na pewno aż się od nich roi. A skoro nikt ich właścicielom



nie wyprawił godziwego pogrzebu, nie było sposobu, by je powstrzymać.

Odgonił od siebie niedobre myśli. Nie wierzył w duchy błakające się po ziemi. Nie jest dzieckiem, które boi się ciemności tylko dlatego, że wyobraźnia zaludnia ją mnóstwem potworów i maszkar. Nie... do tego nie dopuści!

Fanyi poruszyła się i powoli otworzyła oczy. Jej twarz znów miała nieobecny wyraz, jak wtedy, gdy przyglądała się medalionowi i rozmyślała o czymś odległym. Nie lubił, gdy była w takim stanie.

– To... on tam jest... – Jej głos dochodził jakby z bardzo daleka. Mrugała raz po raz, jak gdyby zrzucała z powiek ostatnie obrazy wyjątkowo realistycznego snu. A kiedy w końcu usiadła, miała twarz rozpromienioną jak nigdy przedtem. Poruszenie, jakie wywołało w niej pierwsze odkrycie „poszukującej myśli”, nie dorównywało podnieceniu, które widział teraz w jej oczach.

– Sander... to tam jest! Słyszysz, co do ciebie mówię? – Złapała go za ramię i potrząsnęła gwałtownie. – Miałam widzenie! – Cała jej twarz promieniała. – Dojdziemy już wkrótce... do tajemnego miejsca. A tam będzie czekać ktoś, ktoś ważny.

– To znaczy? – spytał bez entuzjazmu.

Na jej twarzy pojawił się nagły cień. Zmieszała się.

– Nie... nie pamiętam. Ale... to była prawdziwa wizja. Znajdziemy to, czego szukamy!

Jej entuzjazm przeraził go. Okazuje się teraz, że przez cały ten czas, gdy kierowali się medalionem, miała wątpliwości. Czy nie była pewna, gdzie ją... gdzie ich zaprowadzi? Choć tak właśnie pomyślał, nie powiedział ani słowa. Teraz jednak wyraźnie było widać, że już nie wątpił w powodzenie ich wyprawy.

– Co masz na głowie? – spytała, uważnie przyglądając się amuletowi. – To z metalu. Po co to zrobiłeś?

– To jeden z moich sekretów.

Przyjęła to bez dalszych pytań. Nie odezwała się też, gdy zawiesił podobną opaskę na szyi Rhina. Cały czas jednak przyglądała się temu, co robi.

Kuny jak zwykle ruszyły przodem. Po skromnym posiłku Sander zarzucił bagaże na grzbiet kojota. Umocował je tak, by można było pakunek odpiąć jednym szarpnięciem sznura. Gdyby znów natknęli się na jakieś niebezpieczeństwo, mógł w każdej chwili uwolnić Rhina od ciężaru i zwiększyć ich szansę w ewentualnej walce.

Fanyi szła przodem, cały czas patrząc na medalion. Ruiny były teraz coraz rzadsze. Pojawiły się pierwsze krzewy, a potem drzewa, które gęstniały, im dalej szli. Cały czas poruszali się wzdłuż rzeki; teren stopniowo się obniżał. Urwiska nad brzegiem nie były już tak wysokie i strome.

Wkrótce po opuszczeniu obozu dotarli na otwartą przestrzeń. Ziemia była tu przeorana

koleinami przejeżdżających wozów. Rhin je obwąchał, ale nie warknął przy tym ostrzegawczo ani razu. Sander, doświadczony w rozpoznawaniu śladów, zorientował się natychmiast, że te są dosyć stare. Było ich jednak tyle, że dawniej musiał tędy przebiegać bardzo uczęszczany szlak. Głębokość kolein wskazywała, że przejeżdżały tutaj ciężko załadowane wozy.

Na ziemi nie znalazł żadnych śladów kojotów, wypatrzył za to inne. Pochodziły od łap ogromnych psów, których Kupcy używali jako zwierząt pociagowych. Po raz pierwszy od wyjścia z obozu przerwał milczenie, choć Fanyi – prawdopodobnie rozpamiętując jeszcze sen, który nazwała widzeniem – zdawała się tak zatopiona we własnych myślach, że mogła w ogóle nie usłyszeć, – Jeśli twój medalion wskazuje tę drogę – zauważył – możemy nie być jedynymi istotami, które odkryły to tajemne miejsce. Zdaje się, że przeszli tędy Kupcy, a w każdym razie ktoś, kto przeczesał miasto. Spora grupa.

Dziewczyna pokręciła przecząco głową.

– Nie wierzę, by Kupcy wiedzieli o miejscu, którego szukamy. Nie znaleźliby tam starego metalu, a tylko dawne idee, efekt wysiłku umysłów Praludzi. Nie sądzę, by którykolwiek kupiec interesował się takimi sprawami.

– Znasz wszystkie klany Kupców? – spytał. – Do nas przyjeżdżały cztery różne grupy, w sumie około trzydziestu ludzi. Nigdy nie było z nimi kobiet. Ilu przybywało do Padford?

– Około dwudziestu – odparła. – No i mój ojciec... ale on nie był Kupcem. Może gdzieś żyją jeszcze tacy jak on poszukiwacze wiedzy.

– A jednak podróżował z nimi, choć wiadomo, że nie pozwalają jeździć ze sobą nikomu spoza klanu.

– Matka mówiła, że traktowali go dosyć dziwnie, jakby z obawą, a przecież nie był awanturnikiem i nie chodził z bronią w rękę. Twierdziła również, że ich przywódca ucieszył się, gdy ojciec postanowił zostać u nas na zimę. Chciał jednak zabrać się z nimi, gdy będą wracać. Zależało mu, by dostać się jeszcze dalej na południe i poznać tamte krainy. Nie sprzeciwili się ani razu.

Sandera zaczęły powoli męczyć te opowieści o tajemniczym ojcu, który zmarł przed narodzeniem Fanyi. Wyglądało na to, że swego czasu zrobił na matce dziewczyny ogromne wrażenie. Przyjęła go w swoim domu i traktowała z szacunkiem i podziwem, co nie było jednak czymś niezwykłym wśród kobiet.

Kobiety klanu również same wybierały sobie partnerów. Pozbywały się ich jednak, jeśli nie byli dość zaradni. Jego ojciec był wybierany w ten sposób dwukrotnie, ale za drugim razem odrzucił propozycję. Miał już syna i postanowił poświęcić się jego wychowaniu. Nie chciał marnować sił i energii na coś innego, tym bardziej że nie był już wtedy najmłodszy. Sander wychowywał się w towarzystwie mężczyzn: ojca i stryja, który miał tak ostry język i jednocześnie tak tępy umysł, że nigdy nie spojrziała na niego żadna kobieta.

Każde domostwo z chęcią przyjąłoby pod swój dach kowala. Oferowano mu porządne ubranie, pieczone ciastka, utkane z wełny koce i pledy, w zamian żądając usług. W ich domu nigdy nie brakowało jedzenia i zawsze można było się ogrzać, mimo że nie mieszkała z nimi żadna kobieta. Nie wozili zatem ze sobą ani wrzecion, ani garnków.

Mężczyzna posiadał tylko broń i narzędzia. Reszta była z reguły własnością kobiety. Ona też dbała o posag córki i doradzała jej najmądrzejszy wybór, częściej wskazując starszych mężczyzn, a nie młokosów, po których nie było wiadomo, czego się spodziewać.

Czy te sprawy podobnie wyglądały wśród ludzi Fanyi? Jeśli tak – w co wierzył Sander – kobiety z Padford raczej unikałyby takiego mężczyzny jak ojciec Fanyi. Związek z nim nie dawał poczucia bezpieczeństwa i z pewnością nie mógł trwać zbyt długo. A jednak Szamanka wybrała go, darzyła ogromnym szacunkiem i opiekowała się nim aż do śmierci. Musiał naprawdę być niezwykłym człowiekiem.

– Rzadko się zdarza – ciągnęła Fanyi – by Szamanka brała ślub. Nie powinna osłabiać swoich mocy uczuciem do jakiegokolwiek mężczyzny. Z drugiej jednak strony musi mieć potomstwo, córkę, której mogłaby przekazać całą swoją wiedzę. Dlatego, gdy matka wybrała tego wędrowca, nikt w wiosce się nie sprzeciwił. Tylko że on okazał się kimś więcej, niż z początku myślała. A gdy zmarł, jej żałoba nie była tylko konwencjonalnym gestem. Naprawdę cierpiała.

Sander czuł się trochę niezręcznie, jakby bez wyraźnego zaproszenia ze strony gospodarza znalazł się w sekretnym pomieszczeniu.

– Mówisz, że Szamanka musi urodzić córkę. A co, jeśli urodzi się syn?

Fanyi uśmiechnęła się.

– Takie rzeczy się nie zdarzają. Mamy swoje tajne sposoby i w niektórych przypadkach potrafimy oszukać nawet naturę. Pierwsza Szamanka mojego klanu, ta, która przeżyła Mroczne Czasy, знаła ten sekret. Nawet wtedy był nowością. Potem przekazywano go z pokolenia na pokolenie. Szamanki nie rodzą synów, tylko córki... i każda ma tylko jedno dziecko. Tak chcemy. Można to zmienić według naszej woli, jednak żadna się na to nie decyduje. W domu Szamanki nie ma miejsca dla chłopca.

Wędrowali dalej. Przed nimi otwierał się szeroki krajobraz. Zobaczyli poszarpane szczyty i ostre jak brzytwa, sterczące skały. Sander widział coś takiego po raz pierwszy w życiu. Rzeka płynęła teraz szybciej. Jej wody pędziły z głośnym hukiem. Doszli do potężnych wodospadów. Opadająca woda wzbijała gęstą, wilgotną mgłę, która zakrywała dolną część kaskady.

Po drugiej stronie rzeki teren był łagodniejszy, a występy skalne mniej ostre. Sander aż przystanął na widok tego, co spotkali na swojej drodze. Jakaś potworna siła zniekształciła i zmieniła tę krainę. Fale lawy chwyciły w szpony skalne bloki i kawały metalu, które teraz kruszały od rdzy. Cały krajobraz był jedną wielką mieszaniną budowli wzniesionych przez

człowieka, które teraz uwięziła i opanowała natura. Wszystko to, na pierwszy rzut oka, stanowiło zaporę nie do przejścia.

A jednak ślady kół ciągnęły się w stronę krainy, której na pozór nie sposób było przebyć wozami. Fanyi ruszyła w kierunku masywnej przeszkody.

– Fala... ogromna fala z morza zalała ten kraj – wyszeptała. – Musiała być wysoka jak góra. Zabrała ze sobą większą część miasta. Wdarła się tutaj, pozostawiając cięższe i większe przedmioty, które niosła.

Podobno taka właśnie fala wyrzuciła w głąb łądu statek moich przodków. Ciekawe, jak udało im się przeżyć... może nie była aż tak potężna.

– Nie ma to teraz znaczenia – stwierdził. – Jeśli twój medalion wciąż wskazuje ten sam kierunek, musimy poszukać jakiegoś przejścia.

Spojrzała na medalion i kiwnęła głową.

– Powinniśmy cały czas iść przed siebie. A ślady – dodała – dowodzą, że ktoś musiał tutaj znaleźć drogę na tyle szeroką, że zmieściły się na niej wozy.

Sander wiedział, że podróż takim szlakiem niosła ze sobą groźbę zasadzki. Nie powiedział jednak ani słowa. Przez chwilę nie widział żadnych możliwości przedostania się przez skalną przeszkodę.

– Spójrz na tę budowlę! – pokazała Fanyi palcem.

Przez moment nie wiedział, o co jej chodzi. Potem dostrzegł częściowo zniszczony budynek: skalne bloki połączone metalowymi prętami, jakich budowniczowie w dawnych czasach używali do wiązania kamiennych brył. Część konstrukcji, mocno nabita na skalną wieżyczkę, wydawała się nienaruszona.

Dopiero teraz zdali sobie naprawdę sprawę z tego, jak potworna siła uderzyła na to miejsce. Sander nigdy nie wątpił w prawdziwość opowieści o rozmiarach kataklizmu, który wstrząsnął Dawnym Światem. Widział zniszczone miasta i słoną pustynię, ale dopiero teraz zrozumiał, jak ogromna musiała być siła, która wyrwała budynek z ziemi, uniosła go i porzuciła tutaj, gdy napór wody zelżał. Na własne oczy zobaczył, z jak potężnym przeciwnikiem musieli niegdyś zmierzyć się ludzie. Jak powiedziała dziewczyna, trudno było uwierzyć, że ktokolwiek mógł przeżyć coś takiego. Nawet stare opowieści Zapamiętywaczy nie mówiły nic o losie tych, którym udało się uciec tylko po to, by za chwilę pochłonęły ich fale lub pogrzebała ziemia, rozstępująca się pod stopami podczas licznych wstrząsów.

Fanyi ukryła twarz w dłoniach. Ani ona, ani Sander nie potrafili ubrać w słowa tego, co czuli.

Objął ją i przyciągnął do siebie. Stali tak, dwie kruche i drobne istoty przed pomnikiem zagłady świata.

Kowal z trudem odwrócił wzrok od olbrzymiego gruzowiska.

– Nie patrz – powiedział. – Obserwuj ślady. Może masz rację i znajdziemy dzięki nim jakąś drogę.

Uważnie przyglądał się koleinom. Wystawały z nich kamienie, na których musiały się blokować koła wozów. Ślady oddalały się od urwiska i wodospadów, którym wolał się zbytnio nie przypatrywać. Jeśli człowiek długo patrzy na spadającą wodę, rodzi się w nim jakaś niebezpieczna obsesja i sam nabiera ochoty, by skoczyć w kipiel. Huk katarakt odbijał się szerokim echem i dudnił w uszach. Z trudem szli dalej.

Rhin biegł teraz z łbem przy ziemi, jakby tropił zwierzynę. Zdawał się nie zauważać okropnego rumowiska. Choć był na swój sposób inteligentny, nie miało ono dla niego żadnego znaczenia. Nabierało wymowy tylko w oczach człowieka, który z całą jasnością widział, jak ogromną stratę poniosła cywilizacja i jak wiele rzeczy natura pogrzebała w przeszłości.

Szlak zwężał się. Szli po przeciwnej stronie wodospadów, a huk wody był tak donośny, że poza nim nie słyszeli nic. Nawet gdyby starali się teraz nawzajem pocieszać, nie miałyby to sensu. Ślad kolein był w tym miejscu pojedynczy i biegł niebezpiecznie blisko krawędzi. Sander przywarł plecami do wznoszącej się nad nimi ściany i pociągnął za sobą Fanyi. Choć starali się trzymać jak najdalej od urwiska, ich ubrania i włosy zmoczyła gęsta chmura wodnego pyłu unosząca się nad wodogrzmotami. Rhin biegł daleko z przodu. Poruszali się wolno, co jakiś czas przystając na chwilę. Sander zwalczył w sobie chęć porzucenia tego masywu skalnego i szczątków cywilizacji, na które się natknęli. Kręciło mu się w głowie. Wiedział, że jeśli podda się emocjom, zginie.

Dziewczyna tak kurczowo ścisnęła go za ramię, że kostki jej dłoni posiniały. W drugiej ręce trzymała medalion. Cały czas szeptała szamańskie zaklęcia mocy.

Przeprawa zdawała się nie mieć końca. Dwa razy musieli się czołgać, natrafiając na wystające, poszarpane i pokryte rdzą fragmenty metalu. Koleiny ciągnęły się dalej; Sander był pełen podziwu dla tych, którzy odważyli się przeprowadzać tędy wozy. Może robili to tak często, że nie przerażała ich ani kipiel wodospadów, ani bariera utworzona z gruzów dawnej cywilizacji.

Wreszcie minęli teren wodospadów. Na prawo rozciągały się wody jeziora. Tu i ówdzie wynurzały się małe wyspy z wypiętrzonych skał lub zastygłej lawy. Po przeciwnej stronie zobaczyli część jakiejś innej rzeki. Zatem jezioro miało dwa ujścia.

Między nimi a jeziorem wznosiła się kolejna zaporą, utworzona z wyrzuconych przez morze szczątków. Sander zauważył, że drogę poszerzono w tym miejscu. Na skałach i bryłach metalu wypatrzył rysy i zadrapania po użytych narzędziach. Trakt był tutaj niewiele szerszy od niedużego wozu. Kowal pomyślał, że nie bez powodu zadano sobie tyle trudu i że gdzieś dalej musiało znajdować się coś naprawdę cennego. Zostawili za sobą wodospady i ruszyli truchtem. Sander czuł pot spływający po całym ciele. Serce waliło mu jak młotem. Skoncentrował się na

drodze przed nimi i nie patrzył na boki. Szlak prowadził w dół.

Minęli już miejsce, w którym drogę poszerzyli ludzie. Dalej trakt rozszerzał się i schodził prawie do jeziora.

Po tej stronie rozlewiska nie dostrzegli żadnych śladów roślinności. Na suchej i jałowej ziemi nie rosło kompletnie nic. Za wodą widać było jednak pasmo drzew. Ich liście przybrały już kolory jesieni. Wzdłuż przeciwległego brzegu ciągnął się też pas tataraku.

W dole czekał na nich Rhin i obie kuny. Zwierzęta stały, blokując przejście, jakby czegoś się bały.

Rhin warknął przyzywająco i Sander zaczął biec. Cały czas uważał, by nie potknąć się i nie przewrócić na któreś z kolein. Kojot był wyraźnie podekscytowany i trochę zaniepokojony. Zwrócił łeb w stronę usypiska szczątków, które porzuciła tu powódź.

Gdy kuny ich zobaczyły, ruszyły do przodu i zniknęły wśród skalnych rozpadlin. Rhin warknął po raz ostami i podążył ich śladem.

Wśród powykrzywianych i poskręcanych kamieni, w rumowisku odłamków metalu zatopionych w zastygłej lawie, a nawet w labiryncie skalnych występów z pewnością można było znaleźć wiele dogodnych kryjówek. Podnóże wodospadów znajdowało się teraz za ich plecami, głośnym hukiem oznajmiając swoją obecność. I choć Sander wyteżał słuch, poza łomotem spadającej wody nie sposób było wychwycić jakikolwiek inny dźwięk. Wspiął się na niewielkie rumowisko kamieni i metalowych odłamów. Ostrożnie badał drogę przed sobą. Gdy był już na górze, odwrócił się i wyciągnął rękę, by pomóc Fanyi wspiąć się i stanąć koło siebie.

Razem doszli do miejsca, w którym ostro zakończona wieżyczka skalna oddzieliła się od dużego, skalnego masywu. Między skałą a występem nagromadziły się odpadki i kamienie. Całość nie wyglądała zbyt stabilnie. Wędrówka po takim podłożu niosła spore ryzyko, a jednak to tu właśnie przystanąły teraz zwierzęta. Kuny leżały płasko i mocno wbijały pazury w ziemię. Rhin przycupnął nieopodal z brzuchem przyciśniętym do skały i zastygł w bezruchu. Jego szarobrunatna sierść doskonale zlewała się ze skalnym tłem. Sander wiedział, że to jedna z łowieckich sztuczek kojota, który potrafił przez wiele godzin czyhać w ten sposób na swoją ofiarę, dzikiego królika lub jelenia wędrującego do wodopoju.

Obok Rhina było jeszcze trochę miejsca dla niego i Fanyi. Sander wyciągnął miotacz i przygotował do strzału. Rhin z postawionymi uszami patrzył na szlak, który przebyli. Kowal wyczuł, że kojot drży w napięciu. Nie wydał jednak najmniejszego dźwięku.

Kowal przysunął się do dziewczyny i nachylił do jej ucha. Zmierzwiłone włosy łaskotały go po twarzy.

– Czy twoje kuny wiedzą, jakie niebezpieczeństwo się zbliża? – Nie po raz pierwszy

żałował, że nie potrafi lepiej porozumiewać się z Rhinem. Wierzył, że dziewczyna czyta w myślach swoich zwierząt albo przynajmniej potrafi poznać przyczynę ich zachowania.

Odwróciła się i spojrzała przeciągle na Kai. Wyszczерzył kły. Nie wróżyło to nic dobrego.

– Coś się zbliża – powiedziała – i to nie tylko z jednej strony. Kaji obserwuje teren przed nami, Kai z tyłu. Obawiam się, że grożą nam dwa różne niebezpieczeństwa.

Uśmiechnął się ponuro. Tego jeszcze brakowało. Miał najwyżej dziesięć strzałek, myśliwski nóż i procę, która mogła zmienić się w niebezpieczną broń, gdyby strzał był w miarę celny. Ułożył lotki od miotacza pod ręką i rozkulbaczył Rhina. Jeśli trzeba będzie walczyć, lepiej nie obciążać go bagażem.

Przez dłuższą chwilę alarm wydawał się fałszywy. Sander wiedział jednak, że zwierzęta miały lepszy słuch i mogły wyczuć coś znajdującego się w sporej odległości. W chwilę później...

Ten dźwięk przywołał wspomnienia z dzieciństwa. Poczul gwałtowny przypływ strachu, tak realny, że sprawił mu prawie fizyczny ból. Podobny hałas zatruwał kiedyś do tego stopnia życie mieszkańców Klanu, że wkładali sobie do uszu kępkę trawy, by się od niego uwolnić.

Powietrze wypełnił ryk wojennych rogów, których używali Białoskórzy. Kto choć raz usłyszał ten dźwięk, pamiętał go przez całe życie. Ryk trąb z łatwością przebił się przez huk wodospadu.

Odpowiedziała mu seria dziwnych okrzyków, które przeraziły ich jeszcze bardziej, nie mogła ich bowiem wydać żadna ludzka istota.

Od strony jeziora w podskokach zbliżał się oddział płazowatych stworów, podobnych do tych, na które natknęli się nad rzeką. Ich ciała osłaniały takie same pancerze z muszli. Każdy stwór trzymał długą lancę. Hełmy całkowicie zasłaniały im głowy i Sander nie mógł dostrzec ani jednej twarzy.

Gdy podeszli nieco bliżej, rozproszyli się i pochowali w szczelinach i lejach. Tak jak Rhin, mieli naturalną zdolność kamuflażu. Ukryci w rozpadlinach, stali się niewidoczni. Sander był przekonany, że przygotowują zasadzkę.

Nad wszystkim znów wzbił się potężny dźwięk rogów. Równocześnie ukazała się jedna z tych potężnych, rogatych bestii, których używali Białoskórzy pokonani przez Klan Sandera. Tym razem jednak zwierzę nie ciągnęło wozu; niosło na grzbiecie jeźdźca, który trzymał się prowizorycznego siodła. Białoskóry jechał bardzo powoli i ostrożnie. Bestia zrobiła parę kroków na otwartej przestrzeni, po czym cofnęła się i zarżała donośnie.

Jeździec trzymał w dłoni metalowy miecz, dwukrotnie dłuższy od tego, który miał Sander. Ukryte pod kapturem oczy uważnie rozglądały się dookoła. Gdzieś z tyłu znów ryknęły wojenne rogi i dopiero na ten sygnał Białoskóry odważył się popędzić dalej swego wierzchowca. Fanyi położyła ręce na łapach kun, by je trochę uspokoić. Sander czuł dreszcze, które wstrząsały masywnym ciałem Rhina.

Ich oczom ukazał się następny olbrzymi jeleń – jeśli w ogóle można było tak nazwać te stworzenia. Obaj jeźdźcy poruszali się nadzwyczaj ostrożnie; najwyraźniej spodziewali się kłopotów. Żaden z płazowatych stworów się nie poruszył. Sander widział zaledwie dwa lub trzy z nich, i to tylko dlatego, że zapamiętał, gdzie się ukryły.

Albinosi uważnie przyglądali się drodze i skałom. Ostatni znalazł się już na biegnącym w dół szlaku. Oddział nie był zbyt liczny, zaledwie sześciu jeźdźców. Rozległ się znowu dźwięk rogu. Sanderowi przeszły ciarki po plecach. Możliwe, że była to tylko straż przednia, która badała teren przed najazdem.

Jeźdźcy mieli na sobie płaszcze z długich kudłatych futer, zniszczone i brudne. Zachlapane błotem ubranie przyklejało im się do ciała. Nie rozmawiali między sobą, ale przekazywali sobie rękami jakieś znaki.

Wyraźnie było widać, że nie podoba im się to, co znajduje się przed nimi. Musieli być jednak zdeterminowani, zupełnie jakby coś cały czas pchało ich do przodu. Przywódca grupy, z mieczem w rękę, spał wierzchowca. Włócznie płazopodobnych były dwa lub nawet trzy razy dłuższe od mieczy Albinosów. Gdyby doszło do potyczki, wodne stwory bez trudu ściągnęłyby na ziemię i pozabijały jeźdźców, zanim ci mogliby ich dosięgnąć.

Obserwując wodne stwory, Sander zauważył, że jedna z włóczni poruszyła się. Płazowaci najwyraźniej szykowali się do natarcia. W nagłym impulsie kowal chciał krzyknąć i ostrzec jeźdźców, ale cały czas pamiętał wydarzenia sprzed dziesięciu lat. Wiedział, że zachowaniem przypominali dzikie bestie i demony, że zabijali bez litości, a w końcu pozarzynali się nawzajem, by nie mieć żadnego kontaktu z ludźmi Klanu. Przekonanie o ich bezwzględny okrucieństwie tak mocno zakorzeniło się w tradycji jego Klanu, że nie miał zamiaru kiwnąć palcem w ich obronie. Z drugiej jednak strony przypominali ludzi bardziej niż oślizłe wodne istoty, które teraz na nich czyhały.

Fanyi położyła mu rękę na ramieniu i przycisnęła go do ziemi. Nie mógłby teraz swobodnie posłać strzałki w stronę płazowatych, co zresztą zdradziłoby zarówno im, jak i Białoskórym ich obecność.

Dziewczyna bez słowa dała mu do zrozumienia, żeby tego nie robił. Przeraziła go i zdenerwowała jednocześnie. Nie podobało mu się, że mogła czytać w jego myślach.

Przywódca Białoskórych ostrożnie posuwał się do przodu. Nagle jakby znikąd wystrzeliła włócznia. Tylko błyskawiczny unik, jaki wykonał wierzchowiec, uratował jeźdźca przed śmiercią. Płazowaci wyskoczyli z ukrycia i zasłaniając się ostrzami włóczni, zastawili jeźdźcom drogę. Jeśli Białoskórzy mieli tylko tę broń, którą wypatrzył u nich Sander, atak z ich strony nie miałby szans powodzenia.

Mężczyzna trzymający róg jechał trochę z tyłu, jednak to właśnie on wykonał teraz pierwszy ruch. Chwycił instrument, przyłożył go do ust, nabrał powietrza i mocno zadął.



Dźwięk wywołał piorunujący efekt. Sander zakrył uszy rękami. Czuł, jak muskularne ciało Rhina podrygiwało w nagłym dreszczu. Fanyi puściła ramię kowala i położyła dłonie na głowach kun, które wiły się i skręcały nerwowo.

Dźwięk rogu wywarł jednak o wiele większy wrażenie na grupie płazowatych istot. Dwie z nich wypuściły włócznie i runęły na ziemię. Zwijały się w konwulsjach, cierpiąc okropne katusze. Ich towarzysze wycofali się na bezpieczniejszą odległość. Odwrót zmienił się w ucieczkę. Białokórzy rzucili się w pościg. Przywódca jeźdźców zatrzymał się przy leżących na ziemi stworach; dwa krótkie cięcia i oba ciała zamarły w bezruchu. W chwilę później obydwa oddziały zniknęły w tumanach kurzu, jaki swoją szarżą wzbili jeźdźcy.

Sander nie zamierzał na razie wyprowadzać swojej grupki z kryjówki. Podejrzał, że mały oddział Białokórych był jedynie przednią strażą, za którą podążało całe plemię z wozami i ekwipunkiem.

Jednak Rhin uspokoił się wyraźnie, a kuny wyrwały się z objęć dziewczyny i cichymi pomrukami przynaglały ich do dalszego marszu. W końcu kowal zdecydował, że za zwiadowczym oddziałem nie podążała reszta grupy albo pozostali członkowie plemienia znajdowali się spory kawałek drogi stąd. Jeśli tak było rzeczywiście, powinni jak najszybciej opuścić niepewną kryjówkę.

Sander przystanął nad ciałem martwego wodnego stwora i zabrał mu włócznię. Nie miał ochoty przyglądać się zwłokom ani zaglądać pod pancerz, choć wcześniej ciekawiło go, jaką twarz miały te istoty.

Dzida była zbyt długa jak dla niego, ale wiedział, że można ją skrócić i dopasować do wzrostu. Liczne wypustki na ostrzu zrobione były tak zmyślnie, że, choć niechętnie, musiał w duchu pochwalić wykonawcę. Nie były z metalu, raczej ze zręcznie wyciętej i oszlifowanej kości. Musiały zostawiać straszliwe obrażenia. Nachylone pod kątem, przy wyjmowaniu włóczni z ciała, łamały się i zostawały w krwawiącej ranie.

Uwolnione spod wpływu Fanyi, kuny skoczyły do przodu. Pobiegly śladem znikających jeźdźców i ściganych przez nich wodnych istot. Sander nie bardzo wiedział, co robić w takiej sytuacji. Bał się iść dalej w obranym wcześniej kierunku. Jeśli się okaże, że za nimi jedzie drugi oddział Albinosów, znajdą się w potrzasku. Niestety, odwrót oznaczał w tym momencie dokładnie to samo.

Jeśli szczęście będzie im sprzyjać i pośród skał i rumowisk znajdą jakieś schronienie, może uda im się umknąć. Polegać jednak tylko na szczęściu było raczej ryzykowną strategią.

Nad nimi wciąż piętrzyły się masy gruzu naniesione przez sztormy i powódź. Nie słyszeli już dźwięku wojennego rogu, gdy jednak dotarli do skalnego załomu, za którym otwierał się widok na jezioro, zdążyli akurat na ostatnią odsłonę potyczki.

Albinosi pędzili na swoich rumakach tam i z powrotem wzdłuż brzegu. Widocznie bali się

zanurzyć w wodzie, gdzie przewagę mieliby jej naturalni mieszkańcy. Drobne spiczaste fale i czubki przybranych w hełmy głów zdradzały teraz miejsce, w którym ukryły się wodne stworzenia.

Teren przy jeziorze był płaski i rozszerzał się wyraźnie. Sander podjął szybką decyzję. Zeszli z drogi i ruszyli w stronę pnących się na lewo wzgórz. Gdyby zostali dostrzeżeni przez jeźdźców, mogła ich uratować wyłącznie szybka wspinaczka.

Poruszali się nachyleni, czasem wręcz pełzali. Także Rhin brnął przed siebie z podkurczonymi łapami i brzuchem przy samej ziemi. Ostre kamienie darły im ubranie i rozcinały skórę na dłoniach, nie miało to jednak żadnego znaczenia. Musieli dostać się na wzniesienie niezauważeni przez nikogo.

Na północy jeźdźcy zdawali się powoli rezygnować z ataku. Zbili się w gromadę i omawiali coś gorączkowo swoim bezgłośnym językiem gestów.

W końcu grupa się rozdzieliła. Odłączyło się od niej dwóch jeźdźców; popędzili swoje rogate bestie z powrotem na szlak, którym tu dotarli. Sander, Fanyi i Rhin przypadli do ziemi i leżeli bez ruchu za najbliższym załomem, gdy zwiadowcy mijali ich, pędząc pod górę. Po chwili kowal ostrożnie unióś głowę. Potwierdzały się jego najgorsze obawy. Z pewnością obaj jeźdźcy wracali do reszty oddziału, by złożyć raport lub prosić o posiłki. Tylko szybkie ominięcie tych, którzy pozostali nad brzegiem jeziora, mogło teraz ocalić kowala i jego drużynę.

Najrozsądniej było trzymać się wzgórz. Rumaki wroga były masywniejsze od Rhina i wśród skalnych występów nie mogły poruszać się tak szybko jak on.

Wędrówka po szczytach wzgórz przebiegała mniej sprawnie niż na otwartym terenie, ale poszarpane wzniesienia zapewniały przynajmniej mnóstwo dogodnych kryjówek.

Na szczęście pozostali na brzegu wojownicy nie przejawiali specjalnej chęci do badania otaczającego ich terenu. Może bali się ataku nie tylko ze strony wodnych istot. Okolica była wymarzoną miejscem na urządzenie zasadzki. Uzbrojony w miotacze oddział ludzi Klanu z łatwością uporałby się tutaj z całym plemieniem Albinosów. Sander nie zauważył, żeby przeciwnicy używali takiej broni. Gdyby mieli miotacze, z pewnością ostrzelaliby oddział płazowatych stworów.

Udało im się powoli ominąć czterech jeźdźców i zostawić ich za sobą. Mogli już wstać. Schowani za usypaną przez siły natury barykadą z kamieni, skalnych odłamków i fragmentów zardzewiałego metalu, szli teraz wyprostowani i poruszali się o wiele szybciej.

Sander dwukrotnie wspiął się na szczyt chroniącego ich wzniesienia. Ukryty wśród kamieni i kawałków metalu, które musiały spaść tutaj z wyższych partii ciągnącego się nad nimi urwiska, obserwował drogę.

Dostrzegł ślad kolein wzdłuż brzegu jeziora. Tym traktem podążała grupa wojowników. Było wyraźnie widać, że im się nie spieszy.

Kiedy przywódca małego oddziału zsiadł ze swojego wierzchowca, inni zrobili to samo. Zwierzęta podreptały ciężko w stronę jeziora. W tym miejscu na brzegu rosły nietknięte przez mróz rośliny. Bestie wrywały całe pędy i żuły łapczywie. Mężczyźni usadowili się dokoła wystającego głazu i sięgnęli po podręczne torby.

Dopiero teraz Sander zdał sobie sprawę z własnego głodu. Nie było jednak czasu na posiłek. Musieli się stąd jak najszybciej wynieść. Wiedział, że im dalej od tych ludzi się znajdą, tym pewniej będzie się czuł.

Jego drużyna znów podjęła marsz. Chociaż chroniły ich teraz ogromne skały i rozpadliny, zachowywali największą ostrożność. Kowala co jakiś czas nachodziła chęć, by przyjrzeć się bryłom metalu, które leżały dookoła. Skoro wszędzie było ich pełno, po co Kupcy szukali surowca wśród ruin zburzonego miasta? A może koleiny prowadziły właśnie gdzieś tutaj, do miejsca, w którym można było łatwo i wygodnie wydobywać metal?

A jednak w pobliżu nie było widać żadnych śladów wykopalisk. Jak stwierdził Sander, byłoby to w tym miejscu raczej ryzykowne przedsięwzięcie. Silny wiatr od strony miasta raz po raz porywał skruszałe kawałki metalu i skał i strącał je w dół. Sander cały czas obserwował urwisko w górze i starał się nie przechodzić pod niepewnie wyglądającymi nawisami.

Wkrótce, zbyt wyczerpani, by wędrować dalej, zrobili postój. Dzieląc mięso i wodę, Fanyi westchnęła ze zmęczenia. Rhin szybko połknął swoją porcję i leżał, ciężko dysząc. Sander przyglądał się swoim butom. Były bardzo zniszczone. Wyciągnął parę niewygarbowanych zajęczych skór i owinał je dokoła stóp, futrem do wewnątrz. Miał nadzieję, że ochroni to buty przed dalszym zniszczeniem.

Fanyi pomasowała swoje zgrabne brązowe łydki.

– Nigdy jeszcze nie szłam taką drogą – powiedziała. – Te koleiny nie były najlepsze, ale to tutaj... W górę i w dół, w górę i w dół. Długo to jeszcze potrwa?

Wiedział tyle, co i ona. Dokoła leżały pokruszone kamienie i zalane lawą skały dawnego morza. Niektóre masywy dorównywały wysokością szczytom górskim. Zapewne wykształciły się mniej więcej w tym samym czasie, w którym przetoczyła się tędy olbrzymia powódź. Krajobraz był naprawdę koszmarny. Sander czuł wdzięczność dla losu, że poza zadrapaniami i drobnymi siniakami nie ponieśli większego uszczerbku. Bez wątplenia jednak musieli rozbić obóz przed nastaniem nocy. Nawet cenne światło Fanyi nie pomoże im w ciemnościach na takim terenie.

Tafla jeziora, tak ogromnego, że przez cały ten czas nie dotarli nawet do jego zachodniego krańca, kusila go swoim blaskiem, gdy wspinał się na jakieś wybrzuszenie, by zbadać drogę przed nimi. Jednak doświadczenia Albinosów nauczyły go czegoś. Wiedział, czym mogło się skończyć zbliżenie do wody. Dla własnego bezpieczeństwa musieli trzymać się poszarpanych szczytów.

Krótko przed zachodem słońca dotarli do miejsca, które nadawało się na obóz. Pomiedzy dwoma stromo wznoszącymi się zboczami natrafili na małą rozpadlinę o w miarę równym i płaskim dnie. Nawet nie szukali drewna, bo i tak baliby się rozpalić ogień. Fanyi przywołała kuny i wcisnęła się między nie. Kto wie, może było jej teraz cieplej niż przy ognisku. Sander miał Rhina.

Zwierzęta leżały bez ruchu i nie zdradzały objawów niepokoju. Jadły szybko i z wyraźną ulgą. Sander rozdzielił porcje suszonego mięsa. Kuny szybko zaspokoili apetyt. Widocznie w czasie niedawnej wędrówki po opustoszałej krainie udało im się coś upolować. Na noc jednak wszystkie zwierzęta zostały w obozie. Gdy mrok zgęstniał, Sander wziął od dziewczyny lampę i zasłaniając ją ręką, zszedł nieco poniżej, na skraj urwiska stanowiącego podstawą szczytów, mię którymi rozbili obóz.

Kiedy doszedł na upatrzone miejsce, wyłączył lampę i pilnie wpatrywał się w ciemność na wschód od ich obozu. Jeśli Białoskórzy posuwali się dalej wzdłuż wyznaczonego przez koleiny szlaku, mogli się gdzieś tam zatrzymać i rozpalić ogień. Jednak nigdzie nie było widać blasku.

Gdy miał już wracać i zwrócił się bardziej na zachód, zobaczył światło. Mogło pochodzić tylko od palącego się ognia. Był pewny, że Albinosi nie minęli ich w czasie tego popołudnia, musiał to więc być ktoś inny. Jednocześnie kował zorientował się, że nie było to zwyczajne ognisko, lecz jakiś sygnał. Nawet z tej odległości widział, że płomienie sięgały wysoko, a gdy przyglądał się im dłużej, spostrzegł, że na zmianę to znikają, to znowu się pojawiają.

W podobny sposób dawali sobie znaki ludzie Klanu, jeśli stada znalazły się w niebezpieczeństwie. Te sygnały w niczym jednak nie przypominały kodu, który znał. Odwrócił się więc i ponownie spojrzął na wschód.

Tak, teraz był pewien. Tam również płonął ogień, i właśnie w tej chwili nadawano odpowiedź. Albinosi? Mało prawdopodobne. Oddział, który w dzień przegonił wodne istoty, zdawał się poruszać na nowym dla siebie i niezbadanym terenie. Kto inny jednak mógłby przysyłać sobie sygnały na tym pustkowiu?

Kupcy? Tak, to brzmiało bardziej sensownie. Wiedział, że pilnie strzegli swoich sekretów i swoich osad. Na wysoko położonych punktach wystawiali wartowników, którzy z pewnością zauważyliby zarówno nadejście oddziału Białoskórych, jak i jego nielicznej drużyny. Czy Kupcy równie mocno nienawidzili Albinosów, jak ludzie z jego Klanu?

Teraz bardzo chciał, żeby tak właśnie było. To znacznie poprawiłoby sytuację jego i dziewczyny. Niebezpieczeństwo mogło jednocyć ludzi, którzy zwykle odnosili się do siebie raczej z niechęcią.

Ogień błysnął po raz ostami i zgasł. Sander odwrócił głowę. Światło na zachodzie również zniknęło. Ostrożnie wrócił do obozu i ułożył się obok kojota. W ciemnościach słyszał równy i spokojny oddech dziewczyny. Spała.

On jednak nie mógł zasnąć. Coś zawisło nad nim, coś, co wypełzało z ciągnących się dookoła ruin starej cywilizacji. Znajdowali się na ogromnym cmentarzysku. Los pogrzebał tu nie tylko ludzi, ale i ich ambicje, marzenia, wszystko, co udało im się stworzyć. Jeśli po świecie naprawdę wędrowały dusze umarłych, to gdzież, jak nie tutaj właśnie można je było najłatwiej spotkać? W jakim innym miejscu można było wyraźniej usłyszeć ich szepty, błagania o życie, wyczuć ich strach przed śmiercią, która przybrała tak okropną postać, że do końca nie zdołali pojąć ogromu zniszczenia, jakie ze sobą niosła?

Opanowały go te same uczucia, ten sam strach i rozpacz, jakich doznał dziś rano, gdy po raz pierwszy spojrzeli na gigantyczne rumowisko. Lodowaty chłód, który go teraz ogarnął, nie był tylko chłodem nocy. Zdawało mu się, że słyszy przerażające krzyki i zawodzenia tych, którzy dawno już odeszli.

Otrząsnął się jednak i zmusił do trzeźwiejszego myślenia. Wargi mu drżały, gdy szeptał tajemne zaklęcia znane tylko kowalom. Człowiek wykonywał różne rodzaje broni i narzędzi... według planu sporządzanego przez jego umysł. Ci, którzy ich potem używali, z czasem umierali i chowano ich w kurhanach. To była naturalna kolej rzeczy. A umarli, którzy zginęli w Mrocznych Czasach... odeszli tak dawno temu. Sander nie znał i nie rozumiał zastosowania przedmiotów, których używali. Możliwe, że był z tymi ludźmi w jakiś sposób spokrewniony, ale nie należeli do jego Klanu, a więc nie mieli nad nim żadnej władzy.

Walczył z własną wyobraźnią i ze wszystkich sił starał się wyrzucić z pamięci obraz zniszczonego budynku, który widzieli dzisiaj rano. Praludzie mieli ogromną wiedzę, ale nie uchroniła ich ona od kataklizmu Mrocznych Czasów. Na co zdały im się zatem te wszystkie zdolności, gdy ziemia i morze zwróciły się przeciwko nim?

Zaczął zastanawiać się nad wyzwaniem, które doprowadziło go aż tutaj. Prowokujące i złośliwe słowa stryja legły pogrzebane gdzieś w przeszłości. Ich wspomnienie już nie wzbudzało w nim gniewu. W obliczu tych gór, wzniesionych z ludzkiego cierpienia, jego życie wydawało się małe i prawie nieistotne. A jednak to było jego życie. I jeśli gdzieś przed nimi leżał klucz do tajemnic, który obiecała mu dziewczyna, to życie nabierało znaczenia. Zacisnął palce, myśląc o rzeczach, które chciałby stworzyć, gdyby tylko wiedział, jak obchodzić się z nieznanymi metalami... To, czy wróci do swoich i udowodni im, że mylili się co do niego, nie miało już większego znaczenia. Tym, co naprawdę się liczyło, była wiedza... umiejętności, o których zawsze marzył, a których nigdy do tej pory nie posiadał.

Oparł głowę o bok Rhina, zrzucając z siebie piętno tych gór, piętno przeszłości. Teraz interesowała go tylko przyszłość.

Nad ranem zeszli do jeziora, by nabrać wody. Gdy Sander napełniał bukłak, dziewczyna

i kuny stały na straży. Woda miała tu dziwny, metaliczny smak, jednak Fanyi oznajmiła, że nie ma się czego bać. Bogata w minerały woda mogła działać regenerująco i Fanyi często sama leczyła nią chorych. Nigdzie nie zauważyli wodnych istot, ale na jednej ze skalistych wysepek daleko od brzegu Sander wypatrzył jaskinię obłożoną kamieniami. Mogła to być kryjówka wodnych stworów.

Opuścili wyznaczony koleinami trakt i wspięli się z powrotem na bardziej wyżynny teren. Otwarta przestrzeń stopniowo się zwężała. Prędzej czy później i tak będą musieli wrócić na niebezpieczny szlak. Kowal nasłuchiwał. Sami nie robili wielkiego hałasu; owinięte w zajęcze skóry buty nie powodowały żadnych odgłosów, a zwierzęta stąpały tak cicho, jak zawsze. Ale każdy kamień, który strącili, odbijał się tutaj dalekim echem.

Droga znów wiodła pod górę. W koleinach tkwiły kamienie, a po obu stronach szlaku piętrzyły się zwały gruzu i metalu. Musieli skierować się w stronę wąskiego przejścia. Dokoła wznosiły się strome skały i Sander nie chciał ryzykować wspinaczki. Łatwo było o wypadek.

Przyspieszył kroku. Chciał minąć odsłonięte miejsce najszybciej jak to możliwe. To właśnie gdzieś tu, wśród piętrzących się skał, widział wczoraj w nocy świetlne sygnały. Nie miał wątpliwości, że zostali już zauważeni. A jednak wciąż nic się nie działo.

Za przewężeniem znowu zobaczyli wznoszące się wzgórza. Ze szczytu, przez który biegła droga, rozciągał się rozległy widok. Przed nimi nie było już tak wysokich skał, jakie dotąd mijali. Krajobraz nie nosił też tylu śladów niszycielskiego działania wody.

W miejsce ruin i kamiennej pustyni zobaczyli porośniętą trawą pagórki. Gdźieniedzie widać było drzewa o złotych i czerwonych liściach. Dostrzegli też kilka ciemnozielonych sosen. Sander zatrzymał się zaskoczony.

Ich oczom ukazała się osada, która wyglądała jak połączenie przenośnego obozowiska Klanu i wzniesionej z kamienia i drewna wioski Padford. Zobaczyli głęboki i długi rów wypełniony wodą, która spływała tam z jeziora. Za fosą wzniesiono palisadę z ostro zakończonych, drewnianych bali. Kowal nigdy wcześniej nie widział tak masywnego ostrokołu.

Wewnątrz stał rząd mieszkalnych wozów, znacznie większych niż te, jakich używali ludzie Klanu. Wozy tworzyły koło, pośrodku którego ustawiono wysoką kamienną wieżę. Z palenisk przed domostwami unosiły się smugi czarnego dymu. W samej osadzie i poza jej ogrodzeniem kłębił się ludzki tłum, a po zwodzonym moście jakiś jeździec wyprowadzał właśnie swoje stado ogromnych psów.

A więc to musiała być wioska Kupców. W przeciwieństwie do ludzi Klanu, hodowali oni różne zwierzęta. Ich psy, podobne wielkością i wyglądem do Rhina, nie miały tak sterczących uszu jak on. Różniły się także umaszczeniem; ich sierść nie była jednokolorowa, ale ozdobiona plamami i pasami. Nogi miały pokryte czerwono – brązowymi kropkami. Ubarwienie każdego zwierzęcia układało się w inny wzór. Kupcy rzadko na nich jeździli, używali ich raczej do

przewozu towarów. Jednak nigdy wcześniej Sander nie widział tylu tych zwierząt naraz.

Psy otaczały kręgiem stado stworów przypominających jelenie, ale znacznie większych od tych, na które polował niegdyś Sander. Po wyjściu z wioski psy rozproszyły się na polanie, ciągle jednak pilnując stada. Biegały dookoła z nosami przy ziemi, węsząc jak kojot, gdy kowal puszczał go samopas. Pasterz, pędząc przed sobą stado, zbliżał się do przesmyku.

Kuny wściekle posykiwały, przyczajone za plecami dziewczyny. Położyła im dłoń na łbach. Było jasne, że trzyma je przy sobie tylko siłą woli. Rhin przyglądał się osadzie bez wyraźnych oznak zdenerwowania. Nie po raz pierwszy zetknął się z Kupcami i przyzwyczał się już do psów, które wszędzie ze sobą zabierali.

Pies, który niósł na grzbiecie pasterza, nagle wystawił jęzor i ruszył pędem w ich stronę. Sander usłyszał za plecami ostry, rozkazujący krzyk:

– Stać, głupcy! Albo gardła wam poderżnę!

Kowal nie miał żadnych wątpliwości – nie były to czcze pogróżki. Opuścił więc ręce, tak by było je widać. Broń miał schowaną za pasem. Czuł palący wstyd. Tak łatwo dali się podejść.

Pasterz zbliżał się do nich szybko, choć jego wierzchowiec musiał biec pod górę. Kuny szalały z wściekłości. Fanyi cały czas trzymała dłonie na ich łbach. Rhin zaskamlał, a pies pasterza odpowiedział mu donośnie.

Sander chciał się odwrócić i zobaczyć wartownika, który stał za ich plecami, wiedział jednak, że jakikolwiek nieprzemyślany ruch mógł wywołać fatalne następstwa.

Jeździec zatrzymał się tuż przed nimi. Ubrany był jak człowiek z równin, w skórzaną kurtkę i sięgające do kolan spodnie. Jego twarz okrywała gęsta, czarna, przystrzyżona w szpic broda. Włosy miał przycięte na wysokości uszu i schowane pod białozółtą, futrzaną czapą. W ręku trzymał załadowany miotacz. Wyraz twarzy jeźdźca nie wróżył nic dobrego.

– Coście za jedni? – zapytał gniewnym tonem. Przyglądał się Fanyi i Sanderowi, zerkając przy tym niepewnie na rozwścieczone kuny.

– Jestem Sander, kowal, a to Fanyi, Szamanka z Padford – odpowiedział pewnie Sander. Miał nadzieję, że uda mu się podtrzymać to wrażenie.

– Kowal i Szamanka – powtórzył jeździec. – Co tu robicie? Jesteście zwiadowcami innego Klanu? – pytał dalej niezbyt przyjaznym tonem.

– Ty jesteś Jon od Czerwonego Płaszcza – powiedziała dziewczyna. – Widziałam cię w Padford. Paręnaście miesięcy temu.

– Byłem tam, to prawda. Ale Kupiec odwiedza wiele miejsc. Co Szamanka z Padford robi aż tutaj? Czy nie trzyma cię przy twoich ludziach przysięga Wielkiej Mocy? Czy mieszkańcy Padford również wędrują?

– Niezupełnie. W większości leżą teraz martwi, Jonie. Ilu z nich uprowadziły Morskie Rekiny, nie wiem.

Kupiec nie wypuszczał miotacza z ręki. Nachylił się w jej stronę i wpatrywał w dziewczynę świdrującym wzrokiem.

– Rekiny, co? Mówisz, że napadli na Padford?

– Zabijali, palili i porywali – powiedziała dobitnie.

– A on... – Miotaczem wskazał na Sander. – To nie jest kowal z twojej wioski. Skąd się tu wziął i po co? Żaden klan bez wyraźnego powodu nie opuszcza swoich równin.

– Miałem swoje powody – wtrącił Sander. – Żaden klan nie potrzebuje dwóch kowali. Przybyłem tu, by się uczyć, by poznać tajemnice metalu.

Mężczyzna spojrział na niego z wściekłością.

– Odważny jesteś, kowalu, skoro przyznajesz wprost, że przybyłeś tutaj, żeby ukraść nam nasze sekrety!

– Nie interesuje mnie – odparł Sander – skąd bierzecie metal. Chcę poznać tajniki jego obróbki.

– Tak mówi każdy, kogo złapiemy w miejscu, gdzie nie powinien się znajdować.

– Więc to wszystko należy do was? – spytała dziewczyna, rozglądając się dookoła.

– To, co zawiera ta ziemia, należy do nas zgodnie z prawem odkrycia. Ty – wskazał na kowala, jakby chciał uciąć tę niewygodną dyskusję – zdejmij bagaż ze zwierzaka. Chcę zobaczyć, co ukradłeś do tej pory...

Choć Sander nadal nie orientował się, ilu przeciwników mieli za plecami, znudziło go potulne wypełnianie rozkazów. Wiedział dobrze, że w kontaktach z Kupcami należało twardo obstawać przy swoim. W przeciwnym razie nie miało się z nimi żadnych szans. Założył ręce na piersiach i powiedział:

– Ty tutaj dowodzisz? Nie jesteś z mojego Klanu. Nie wyglądasz nawet na jednego z Rady Plemienia, chyba że się mylę. Nie wykonuję niczyich rozkazów... Jestem kowalem i potrafię wyczarować z metalu prawie wszystko. Nikt nie będzie mi rozkazywał bez wyraźnej przyczyny. Nikt też – dodał – nie ma prawa zwracać się tak do Szamanki.

Jeździec popatrzył na niego zaskoczony i najwyraźniej poirytowany.

– Jeśli była Szamanka Padford, które, jak sama twierdzi, już nie istnieje, to niesłusznie rości sobie prawa do tego tytułu. A co do ciebie, kowalu – zmienił ton na ironiczny – to zobaczymy, co naprawdę jesteś wart.

Kuny głośno warczały. Wtórował im kojot. Psy w odpowiedzi najeżyły się i szczyrzyły kły.

– Panuj nad nimi – ostrzegł Kupiec – jeśli chcesz oglądać je żywe. Ruszajcie, tylko powoli. Zobaczymy, co w waszej sprawie postanowią Starsi.

Fanyi spojrziała na kowala. W jej oczach wyczytał ostrzeżenie. Kuny nie uspokoiły się nawet na chwilę, ale posłusznie wstały i ruszyły obok Fanyi w dół, w stronę osady.

Sander szedł za nimi. Niewiele więcej mógł teraz zrobić. Za sobą usłyszał jakieś trzaski.



Miał rację. Z tyłu nadciągali trzej jeźdźcy. Otoczyli go teraz i trzymali się tuż za nim.

Z pół zbiegły się psy, które wyły i warczały na wędrowców, zmierzających pooraną drogą w stronę drewnianej palisady. Rhin i kuny odpowiadały na te zaczepki na swój sposób. Nie doszło jednak do żadnego incydentu, bo jeźdźcy przegnali psy okrzykami, które bardziej przypominały szczekanie niż ludzką mowę.

Przed wejściem do osady czekała na nich grupa mężczyzn.

– Hej, Jon, kogo udało ci się złapać tym razem? – zagadnął jeden z nich dowódcę warty. – To nie włączę z Hordy.

– To intruzi. Nie ma znaczenia, jak wyglądają – odparł jeździec. – A jeżeli chcesz zmierzyć się z Hordą, będziesz miał okazję. Widzieliśmy sygnały.

Fanyi zatrzymała się przed mostem.

– Kupcze, moi podopieczni nie wejdą do środka. Wyprowadź tu Starszych.

– Martwe zwierzę nie będzie stawiać oporu...

Dziewczyna uniosła ręce i klasnęła głośno. Pochwyciła wzrokiem spojrzenie wartownika. Walczył ze sobą, próbując wydać kolejne polecenie, ale coś zatkało mu usta.

– Mówię tak z racji Mocy, którą posiadam. Czy nie znałam twego imienia, Jonie? Teraz nakazuję ci, byś przyprowadził jednego z Rady Starszych. Chcemy porozmawiać.

Strażnik miotał się między własną wolą a tym, co nakazywała mu dziewczyna. Jego twarz przybrała gniewny wyraz, po chwili zsunął się z grzbietu wierzchowca i ruszył ciężko przez most.

Sander zerknął na Fanyi. Była skoncentrowana, tak jak wtedy, gdy oglądała medalion. Choć trudno mu było uwierzyć w jej Moc, widział teraz na własne oczy, jak ten mężczyzna, tak im nieprzychylny, spełnił posłusznie jej wolę.

Ludzie, którzy ich otoczyli, przyglądali im się uważnie. Choć osada wyglądała na stałą siedzibę, zbudowaną dawno temu, wśród milczącego tłumu Sander nie zauważył kobiet ani dzieci. Nie podobało mu się zachowanie tych ludzi, wyraz ich twarzy i ta cisza. Znikła gdzieś serdeczność i sympatia, którą okazywali Kupcy, kiedy gościli w Klanie. Wszystkie ostrzeżenia przed ich wrogością, gdy byli u siebie, zdawały się teraz znajdować potwierdzenie w tym nieprzyjaznym powitaniu.

W świecie, gdzie wszyscy podróżnicy, poza klanem Białoskórych i Morskimi Rekinami, byli mile widziani, gdzie zawsze chętnie słuchano opowieści o odległych krainach i dziwnych przygodach, ta wrogość była czymś naprawdę zaskakującym. Z drugiej strony, Sander mógł udowodnić tym ludziom prawdziwość swoich słów. Był przecież kowalem, a takich jak on zawsze witano z otwartymi ramionami. Przyglądał się teraz twarzom zebranych. Szukał tatuażu na czole, który wyróżniałby kowala. Czy ta osada w ogóle nie miała takiego rzemieślnika? U niego mógłby szukać poparcia. Byli przecież przedstawicielami tej samej profesji.

Nigdzie jednak nie dostrzegł charakterystycznego znaku: emblematu młota na niebieskim tle. Jednocześnie przypominał sobie tajemne zaklęcia, którymi mógłby przekonać ewentualnego kowala co do swoich umiejętności.

Tłum rozstąpił się nagle i Sander ujrzał Jona z jakimś o wiele starszym mężczyzną, pochylonym, opartym na lasce. Głowę starał się trzymać prosto, co musiało być dosyć bolesne i niewygodne zarazem. Co dziwne, szedł bardzo żwawo, prawie dotrzymując kroku młodszemu Jonowi. Wkrótce stanął twarzą w twarz z przybyszami.

Jako jedyny z Kupców starzec miał na czole tatuaż. Przez chwilę Sander miał nadzieję, że to znak kowala, ale zdał sobie sprawę, że człowiek o takiej posturze i w tym wieku nie mógł już parać się tak wyczerpującym zajęciem. A tatuaż nie przedstawiał młota, ale coś innego, choć dziwnie znajomego. W pierwszej chwili Sander nie skojarzył, gdzie wcześniej widział kształt drapieżnej, ptasiej głowy. Szybko jednak przypomniał sobie fragment rzeźby, który znalazł na rzeką i który Fanyi określiła jako dawny symbol nieistniejącego, potężnego mocarstwa.

Starzec stał przed nimi i przyglądał się uważnie każdemu z osobna. Obejrzał również zwierzęta. Potem przemówił głosem tak głębokim i donośnym, że wydawał się zupełnie nie pasować do jego wątłej postury.

– Ty... – wskazał najpierw na Fanyi – ...posiadasz Moc. Ty zaś... – zwrócił się następnie do Sandera – jesteś kowalem z równin. A jednak podróżujecie razem, prowadząc ze sobą te zwierzęta. Dlaczego?

– Jestem z Padford – odparła dziewczyna. – Tylko że nie ma już Padford. Morskie Rekiny przybiły do naszych brzegów i... – zilustrowała swoje słowa wymownym gestem.

– Słyszałem – powiedział starzec – że Moc prawdziwej Szamanki może ochronić tych, którzy wierzą.

– To było w czasie Wielkiego Księżyca – odpowiedziała śmiało, choć twarz jej pociemniała. – Byłam poza wioską. Wtedy właśnie zaatakowali.

Starzec poruszył ustami, zupełnie jakby przeżuwał jej słowa i z ich smaku chciał wyczytać, czy mówi prawdę. Nie odrzekł nic, tylko znowu spojrzał na Sandera.

– A ciebie, który nazywasz się kowalem, co sprowadza na te ziemie, z dala od równin, Klanu i twoich bliskich?

– Mój ojciec nie żyje. – Sander nie widział żadnego powodu, by kłamać. – Byłem młody, zbyt młody, jak twierdził mój stryj, by zostać kowalem, choć ojciec przed śmiercią wyznaczył właśnie mnie. W moim Klanie nie ma miejsca dla dwóch kowali... dlatego odszedłem. Miałem takie prawo.

– Duma młodości, kowalu, bo cóż innego? Wolaleś wygnanie i samotność od upokorzenia. – Zabrzmiało to nieco ironicznie, ale Sander nie dał się sprowokować.

– Poza tym chciałem zdobyć wiedzę.

– Wiedzę! – przerwał mu ostro starzec. – Jaką wiedzę, kowalu? O skarbach, którymi mógłbyś z powrotem wkupić się w łaskę swego Klanu? Czy nie o to ci chodziło? O metal, który chciałeś zagarnąć dla siebie, tym samym pozbawiając Kupców ich źródła utrzymania?

Tłum zaszemrał gniewnie. Sander pomyślał, że ten pomruk przypomina mu dźwięki wydawane przez Rhina. Starzec ciągnął dalej.

– I jaki skarb splądrowałeś, kowalu? Pokaż mi swój bagaż.

Sander wiedział, że żaden sprzeciw nie polepszy ich sytuacji. Nie chciał prowokować kłótni, która mogła mieć opłakane skutki. Niechętnie podszedł do Rhina, odpiął torby, w których trzymał narzędzia i znalezione kawałki metalu. Gdy otworzył pakunki, Jon wysunął się do przodu i chwycił pozwijany drut.

– Widzicie, ma... – zaczął triumfalnie, po czym uważniej przyjrzał się znalezisku. Po chwili rzucił je na ziemię i zaczął przeglądać resztę rzeczy, które kowal znalazł na podwodnym okręcie.

– Zobacz, Czcigodny!

Chwycił garść metalowych odłamków i drutów i pokazał je starszemu mężczyźnie.

– Skąd to masz?

– Znaleźliśmy statek uwięziony na słonej pustyni. Zabrałem to z jego wnętrza – wyjaśnił Sander. Starzec albo sam był kiedyś kowalem, albo znał się dobrze na metalach. W przeciwnym razie nie zauważyłby, że metal był inny od tego, jaki wydobywali Kupcy w ruinach miasta.

– A sam statek też był z metalu? – chciał wiedzieć starzec.

– Cały z metalu. Wewnątrz odkryliśmy ciała. Ciała, nie kości... Ku zaskoczeniu Sandera, starzec przytaknął.

– W zeszłym roku taki sam okręt znalazł w górach Gaffred. Pływano nimi pod wodą, a nie na powierzchni.

Ta wiadomość, ku zdziwieniu Sandera, wywarła zaskakująco pozytywny wpływ na ostateczną decyzję starca. Fanyi powtórzyła znowu, że jej kuny nie wejdą do wioski, co na krótką chwilę wywołało pomruk niezadowolenia. W końcu jednak ustalono, że Sander zatrzyma się w domu kowala (który leczył teraz ranę i tym samym pozbawił Kupców swoich usług), a dziewczynie pozwolono zostać na zewnątrz palisady, w jednym z wystawionych tam o tej porze roku wozów.

Sander niechętnie się z nią rozstawał. Zostawiła tych ludzi w przeświadczeniu, że podróżowali razem, dwoje bezdomnych wygnańców; nie wspomniała jednak ani słowem o tajemnym miejscu, którego szukała. Szedł za nią tam, gdzie wskazywał jej medalion, relikw z Dawnych Czasów. Kupcy uważali jednak, że łączy ich coś więcej niż tylko wspólna droga, i traktowali jego obecność w wiosce jako gwarancję, że dziewczyna również nie odejdzie własnowolnie.

Wiedział, że w rzeczywistości było inaczej. Nic jej tutaj nie trzymało. Mogła odejść jeszcze

tej samej nocy. A jeśli tak zrobi, on nie będzie miał wśród tych ludzi łatwego życia. Pozostawała jeszcze kwestia włóczących się w pobliżu Białoskórych. Gdy jednak o tym wspomniał, Kupcy nie zwrócili na to specjalnej uwagi. Widocznie ufali własnej sile.

Kaboss, miejscowy kowal, przywitał go mało entuzjastycznie. Obejrzał zestaw narzędzi, ale nie zrobiły na nim większego wrażenia. Zachowywał się tak, jakby wcześniej wyrzucił już na śmietnik podobne lub nawet trochę lepiej utrzymane narzędzia. Jednak metal znaleziony na statku zaintrygował go. Szczegółowo wypytał Sander o wszystko, co tam widział.

Kaboss miał zabandażowaną rękę. Gdy zdarzyło mu się poruszyć nią gwałtownie, na jego twarzy pojawiał się grymas bólu. Dał Sanderowi coś do jedzenia – pełną michę dobrze przyprawionej i ugotowanej strawy. Sander nie jadł takiego posiłku od czasu, gdy opuścił swój Klan. Potem zaprowadził go do kuźni i pokazał stertę narzędzi do naprawy, która nazbierała się podczas jego choroby. Jak każdy Kupiec, długo i drobiazgowo negocjował warunki umowy, w końcu jednak Sanderowi udało się dojść z nim do korzystnego porozumienia. Mógł teraz zabrać się do pracy.

Rhina umieszczono w stajni i nakarmiono suszonym mięsem. Po posiłku kojot wylizał pokaleczone na górskich drogach łapy i zapadł w głęboki sen.

Sander starał się pracować najstaranniej, jak mógł, choć dzień szybko się kończył. Przybyli tu przecież późnym popołudniem. Zastanawiał się, co będzie dalej. Nie wierzył, że Fanyi po prostu przyłączy się do tego klanu, chociaż po utarcie swoich bliskich miała do tego prawo. Wiedział też, że i on tu nie zostanie.

Kaboss to dobry kowal i wróci do pracy, jak tylko wyleczy zranioną rękę. Sander opuścił swój Klan, by nie być przez następne lata tylko pomocnikiem, tylko uczniem. Tym bardziej nie miał zamiaru odgrywać takiej roli wśród obcych. I choć zdrowy rozsądek podpowiadał mu co innego, w głębi ducha wierzył, że Szamanka, mówiąc o tajemnym źródle wiedzy, miała rację. Medalion prawie przekonał go do tego, w co wierzyła. Nigdy wcześniej nie słyszał i nie widział czegoś podobnego.

Domostwo Kabossa nie było zbyt rozległe. Towarzyszką kowala była cicha kobieta. Wyglądała na starszą od mężczyzny, którego wybrała. Włosy przyprószyła jej już siwizna. Ubrana była tak, by wszyscy widzieli, z jakiego domu pochodzi. Nosiła grube naszyjniki z wypolerowanej miedzi, a na palcach miała cztery srebrne pierścienie. Zieloną szatę przytrzymywał pas ze srebrnymi łączeniami i sprzączkami. Nie mówiła zbyt wiele i zwracała się głównie do służącej, która krzątała się żwawo po obejściu. Twarz miała zasepioną, jakby była wiecznie niezadowolona.

Nigdzie nie było widać ucznia czy pomocnika. Kaboss wspomniał w którymś momencie, że miał takiego, młodszego syna swojego brata, ale chłopak przed paroma dniami wyjechał na północ szukać metalu.

Pytany, Sander opowiedział coś niecoś o ich podróży, o spotkaniu z wodnymi stworami, o ataku potwora w opuszczonym domu. Kabossa najbardziej zainteresowała ostatnia część opowieści.

– Więc one jeszcze żyją? – zdziwił się. – Kiedyś były tak niebezpieczne, że nie mogliśmy swobodnie polować. Wreszcie zebraliśmy się, wzywając na pomoc Klan Tajemnic i Klan Jeleni. Tego dnia ubiliśmy dwanaście takich bestii. Od tego czasu nie mieliśmy już z nimi żadnych kłopotów. Myśleliśmy, że zniknęły zupełnie. Teraz znowu zbliżają się ci, których nazywasz Białoskórymi. Kolejne zagrożenie. Ciągłe się tu pojawiają... jednak nie trzeba się nimi zbytnio przejmować. Można ich łatwo pokonać.

Kobieta nachyliła się nagle w stronę Sandera. Cały czas przypatrywała mu się uważnie. Zdawała się w ogóle nie słyszeć słów Kabossa albo puszczać je mimo uszu. Zwróciła się do gościa:

– Powiedz mi, przybyszu, dlaczego nosisz na głowie tę metalową opaskę?

Prawie zapomniał już o przepasce, którą włożył po dziwnej przygodzie z tym, co Fanyi nazwała „poszukującą myślą”.

– Szukasz ochrony w Chłodnym Metalu, mam rację? Przeżyłeś coś, czego nie możesz pojąć, coś, czego wystrzegają się wszyscy, prawda?

Kaboss patrzył to na kobietę, to na Sandera. Po chwili odsunął się nieznacznie od młodego kowala.

– Nawiedzony!

Kobieta uśmiechnęła się nieprzyjemnie.

– Wolałbyś chyba tego uniknąć, co, Kaboss? Tak, został nawiedzony. Nie chcę go trzymać pod swoim dachem. Jeszcze ściągnie na nas coś, czego możemy z początku nie wyczuć lub nie dostrzec. Wyprowadź go z osady i zostaw przy tej dziewczynie, która tak otwarcie mówi, że rozmawia z tym, co nie istnieje. Zrób to dla bezpieczeństwa nie tylko tego domu, ale całego klanu.

– Czcigodny Allbert go tu przysłał... – zaczął Kaboss.

– To nie jego dom. A jeśli ludzie dowiedzą się, kogo tu trzymamy, tylko narobimy sobie wrogów.

Kaboss niechętnie wstał i kiwnął na Sandera.

– To jej dom – powiedział. – Ona tu rządzi. Chodź, kowalu.

W ten sposób Sander znów znalazł się na wygnaniu. Udzielona szeptem informacja wystarczyła, by wartownicy przy bramie wypuścili go razem z Rhinem. Noc była już głęboka.

Wciąż zaskoczony nagłą zmianą sytuacji, ruszył w stronę wozu, gdzie obozowała Fanyi. Gdy jej tam nie zastał, nie był wcale zaskoczony. Bagaż dziewczyny również zniknął. Kowal umocował więc swoje torby na karku Rhina i usadowił się na jego grzbiecie. Kojot złapał trop.

Znów ruszyli w drogę.

To, że Kaboss pozbył się go bez uzgodnienia z Allbertem, zaniepokoiło i zastanowiło kowala. Kobieta zresztą wyraziła się dosyć jasno; widać Kupcy już wcześniej spotkali się z tym, czego doświadczył. Znali sekret Chłodnego Metalu, który przez wiele lat był legendą. Sander nie przypominał sobie, by kiedykolwiek zastosowano opaskę w jego Klanie. Może gdyby nosił ją wśród swoich, też wzbudziłaby ich zainteresowanie i staraliby się czegoś o niej dowiedzieć. Tak czy owak, kobieta Kupca od razu potrafiła ją nazwać i знаła jej działanie – obronę przed tym, co niewidzialne.

A jednak Czcigodny nalegał, by Sander zamieszkał właśnie u kowala. Czy nie za bardzo mu na tym zależało? Myśli Sandera pobiegły teraz innym torem. Zaczynał podejrzewać, że Kupcy sądzili, iż nie tylko przypadek połączył jego i Fanyi. Prawdopodobnie doszli do wniosku, że oboje mieli jakiś ukryty cel. W naturze Kupców leżało poszukiwanie skarbów. Łatwo mogli uwierzyć, że przybysze coś wiedzieli o kolejnym ich źródle. Wydobycie takich informacji siłą mogło nie przynieść oczekiwanych rezultatów. Rozsądniej było wypuścić oboje pod byle pretekstem, a potem pójść ich tropem.

Sander nie miał najmniejszych wątpliwości, że psy z wioski zdołałyby wytropić ich równie skutecznie, jak Rhin tropił zwierzynę. Może już ruszył za nim tajny oddział.

Pozostawał jednak problem Białoskórych. Czy w obliczu takiego niebezpieczeństwa Kupcy odważą się osłabić osadę, żeby śledzić dwoje przybyszów? Mógł tylko zgadywać, chociaż pościg w takiej sytuacji wydawał się mało prawdopodobny.

Sam nie widział potrzeby ukrywania się. Jeśli gdzieś znajdowało się źródło wiedzy, dlaczego nie mieliby z niego korzystać wszyscy, również Kupcy? A jeśli przyjadą za nimi barbarzyńscy Białoskórzy? Potrząsnął głową. Wolał nie ściągać wroga w miejsce, które pragnęła odkryć Fanyi.

Rhin najwyraźniej podążał świeżym tropem. Po raz pierwszy Sander zaczął zastanawiać się nad zachowaniem dziewczyny. Nawet na niego nie zaczekała. Czy jego pomoc we wspólnym przedsięwzięciu była dla niej tak bezwartościowa, że pozbyła się go przy pierwszej okazji? Rozgniewało go to. Potraktowała go jak kogoś gorszego, kogoś, kogo już nie potrzebowała. Może medalion wskazał jej, że jest blisko celu. Oznaczało to, że dalej może ruszyć sama. Odrzucał od siebie myśl, że wykorzystywała go, dopóki był jej przydatny, a potem po prostu porzuciła.

Zamyślony, nie popędzał Rhina. Trop był wyraźny i świeży. Co prawda kuny mogły stanowić spore zagrożenie. Szczególnie teraz, jeżeli rzeczywiście nie był już potrzebny Fanyi, mogła poszczuć go tymi bestiami. Nie łączyły go przecież z dziewczyną żadne więzy krwi.

Co jakiś czas spoglądał za siebie na majaczące w ciemnościach zarysy kupieckiej osady. Nie zauważył żadnych oznak poruszenia. Nici znaczyło to jednak, że go nie obserwowano. Może zanim zaczną iść jego śladem, czekają, aż odjedzie trochę dalej.

W tej części doliny nie było się gdzie schować. Wioskę wzniesiono w pobliżu wzgórz. Dalej, na północ, ciągnęła się rzeka. Rhin dreptał w kierunku wody, węsząc to tu, to tam. Powietrze było mroźnej rześkie i przejrzyste. Sander owinął się szczelnie opończą, naciągnął kaptur i mocno zacisnął rzemyki, by zatrzymać jak najwięcej ciepła.

Był zmęczony. Bolały go ramiona i plecy. Odwykł od pracy, a dziś starał się wyjątkowo, by nie zawieść Kabossa. Poza tym wyczerpała go podróż przez góry i ciągłe napięcie, które ze sobą niosła.

Wiedział, że długo nie wytrzyma bez snu. Nawet w czasie jazdy oczy same mu się zamykały i musiał otrząsać się co chwila. Jakim cudem dziewczyna zdołała pojechać jeszcze dalej? No, oczywiście... nie musiała pracować przez pół dnia w kuźni.

Rhin dotarł do brzegu rzeki i zatrzymał się, obwąchując piasek. Szczeknął cicho i Sander zrozumiał, że ci, których tropili, musieli wejść w tym miejscu do wody. Zastanowiła go lekkomyślność Fanyi. Wiedziała przecież, że w tych wodach mieszkają przerażające stworzenia.

Czy dalej ruszyła na wschód, czy na zachód? Próbował się skoncentrować, odpędzić zmęczenie i odpowiedzieć na to zasadnicze pytanie. Od czasu, gdy opuścili słońną pustynię, medalion niezmiennie wskazywał na zachód. Nie mógł uwierzyć, żeby kierunek zmienił się teraz tak gwałtownie.

Fanyi musiała wejść do wody, by zmylić tropiące ją psy. Jeśli więc ruszy w górę strumienia, może trafi na jej ślad. Tyle że miejsce, w którym wyszła z powrotem na brzeg, mogło znajdować się po drugiej stronie. Jeśli tak, będzie miał nikłe szanse na odnalezienie tropu.

Ścisnął Rhina kolanami i skierował zwierzę za zachód. Jechali teraz wzdłuż rzeki. Wysoko na niebie księżyc świecił słabym blaskiem.

Przedzierając się przez nadbrzeżne krzewy, nagle otrzeźwiał zupełnie. Zdał sobie sprawę, że przepaska na czole zaczęła się szybko rozgrzewać. Stawała się gorąca! Coraz bardziej gorąca! Wyciągnął ręce, by ją zerwać z głowy, i zawahał się. Może tego właśnie chciała nieznana siła? Chłód żelaza? Nie, palące, rozgrzane żelazo, które parzy skórę. Ból miał go zmusić do pozbycia się amuletu.

Metal zdawał się tak gorący, jakby podgrzano go na żywym ogniu. A noc była przecież chłodna. Zaczął wypowiadać kowalskie zaklęcia, obręcz dokoła głowy paliła jednak coraz bardziej. Ktoś najwyraźniej chciał, żeby Sander właśnie tak myślał! Jakoś to dotarło do niego. Żar był złudzeniem... snem, który wysłano, by pozbawić go ochrony. W rzeczywistości opaska wcale nie była rozpalona. Wolno opuścił ręce. Walczył z omamem. To nie działało się naprawdę!

Zaczął na głos wyśpiewywać magiczne zaklęcia. Nie wierzył w Moc Fanyi, ale musiał

uwierzyć w to, co czuł. A czuł palący żar. Cały czas jednak starał się wmówić sobie i swojej bolącej skórze, że to nie może być prawda. Nie ma ognia, nie ma żaru, więc opaska, którą nosił, nie może go parzyć. Chłód żelaza... chłód żelaza...

Te dwa słowa mieszały się z innymi, ale wciąż powracały. Chłód żelaza!

Nie potrafił dokładnie powiedzieć, kiedy wrażenie gorąca zaczęło ustępować. Był już zbyt wyczerpany i na wpół przytomny. Uczepił się kurczowo myśli, że wszystko to jest tylko majakiem i w końcu odkrył, że opaska naprawdę była chłodna.

Szorstka wełniana koszula pod opończą przylepiła mu się do ciała. Ze strachu spocił się niemiłosiernie. Chwiał się na grzbiecie Rhina i musiał obiema rękami wczepić się w sierść kojota. Opaska była naprawdę chłodna!

Rhin zatrzymał się... a może stanął już wcześniej, gdy Sander zmagął się z dziwnymi omamami? Trudno powiedzieć. W każdym razie kowal zsunął się z siodła i opadł na kolana. Oparł się o gałęzie sosny i podciągnął do góry. Zanurzył ręce w gąszczu zielonych igieł, po chwili jednak padł w cieniu rozłożystych konarów i usnął prawie natychmiast, wyczerpany przedziwną walką.

Nie pamiętał, co mu się śniło. Obudził się nad ranem. Przez plątaninę gałęzi zobaczył fragment rzeki. Jednocześnie przypomniał sobie nocny atak. Szybko zerwał z głowy opaskę i potarł skórę na czole, szukając śladów oparzenia. Nie znalazł nic. Przytomnie włożył opaskę z powrotem. Może gdyby uwierzył w zwidy, nosiłby teraz takie ślady. Sander w dalszym ciągu nie rozumiał, jak coś takiego mogło mu się przydarzyć.

Kto jednak może wiedzieć, co jeszcze potrafili kontrolować Praludzie? Medalion dziewczyny był jedną z tych rzeczy, które przekraczały jego wyobrażenie. Poza tym był też ojciec dziewczyny, dziwny podróżnik, którego nigdy nie poznała. Choć przybył do jej osady w towarzystwie Kupców, nie był jednym z nich. Błąkał się, szukając wiedzy o świecie. Sander nigdy wcześniej nie słyszał o kimś takim. Ludzie Klanu przemierzali równiny, pędząc stada, dzięki którym żyli. Kupcy podróżowali w odległe rejony dla zysku. A ten człowiek przemierzał świat tylko po to, by dowiedzieć się, co znajdzie za następnym wzgórzem lub doliną. Trudno to było zrozumieć.

Rhin! Sander rozejrzył się dookoła. Gdy wspólnie podróżowali,; kojot zawsze spał razem z nim. Teraz jednak było inaczej. Nigdzie na iglastym dywanie nie dostrzegł odcisków łap. A przecież zwierzę cały; czas miało na grzbiecie jego bagaż. Kowal wstał i ostrożnie zbliżył się do rzeki. Przystanął na kamienistym brzegu, odchylił kaptur, przyklęknął i obmył twarz zimną wodą. Od razu go otrzeźwiła.

Nie miał wyboru; musiał zdradzić swoją obecność i przywołać kojota. Gwizdnął przeciągle. Wiedział, że zwierzę, jeśli tylko go usłyszy, zareaguje. Choć jednak pilnie nasłuchiwał, nigdzie, nawet w oddali, nie usłyszał charakterystycznego skowytu. Jedyny ślad po Rhinie znalazł na



ziemi, nieopodal sosny. Leżała tam opaska z metalu, którą włożył kojotowi na głowę. Między splecionymi drutami odkrył kępkę wyrwanej sierści. Czyżby Rhin, nękany takim samym złudzeniem, jakie zeszłej nocy dręczyło jego pana, zdarł ją z siebie?

A może ratował się przed psami Kupców? Z jednym miałyby szansę, jeśli jednak było ich kilka, mógł uciec przed liczniejszym i silniejszym przeciwnikiem.

Chociaż z drugiej strony... gdyby właśnie tak było, to dlaczego pościg nie dopadł kowala w czasie snu? Przecież psy bez trudu znalazłyby go pod drzewem, które nie dawało żadnej ochrony.

Niewykluczone, że Rhin po prostu ruszył na polowanie, w głębi ducha jednak Sander nie wierzył w to za bardzo. Naciągnął z powrotem kaptur. Cały jego dobytek – przyodziewek, narzędzia i jedzenie – zniknął razem z Rhinem. Miał przy sobie nóż, miotacz, a z ubrania tylko to, co na sobie. W dodatku węch podpowiadał mu, że należało jak najszybciej zmienić je na coś świeższego.

Nie miał zamiaru wracać do wioski Kupców. Choć nie umiał tropić tak skutecznie jak Rhin, podświadomie czuł, że gdy ruszy na zachód, znajdzie odpowiedź na gnębiące go teraz pytania. Poza tym idąc w tamtym kierunku, oddali się od miejsc nawiedzanych przez Białoskórych i wodne stwory. Spojrzał na rzekę. Jej wód nie mącił żaden podejrzany ruch.

Napił się, w nadziei, że napełniony wodą brzuch przynajmniej na jakiś czas przestanie domagać się swoich praw, po czym ruszył w górę rzeki. Nie dostrzegł nigdzie żadnych śladów i dlatego wolał nie oddalać się zbyt od brzegu. W ten sposób wiedział, że idzie mniej więcej we właściwym kierunku. Co jakiś czas pogwizdywał na Rhina, choć nie wierzył, że kojot mu odpowie.

Słońce przypiekało coraz mocniej. Zdjął kaptur. Wychowany na równinach, nie czuł się zbyt pewnie na tym zalesionym terenie. Ze wstydem przypominał sobie, jak jeszcze w Padford wydawało mu się, że las stanowi dobrą ochronę.

Szedł dalej. W rękę niósł gotowy do strzału miotacz. Uważnie wsłuchiwał się nawet w najdrobniejszy szelest. Słaby wiatr poruszał liście na drzewach i co jakiś czas słychać było okrzyki leśnych ptaków. Okolica zdawała się całkiem bezludna, dopóki nie dotarł do miejsca, w którym ktoś wyrwał z podmokłej ziemi kępkę trawy.

W przybrzeżnym mule znalazł wyraźny odcisk małej, kształtnej dłoni. Potem odkrył jeszcze inne ślady, świadczące o tym, że dziewczyna wyszła tutaj na brzeg. Nie próbowała nawet zatrzeć tych śladów, co znaczyło, że nie bała się już pościgu z wioski. Albo, pomyślał, spieszyła się tak bardzo, że nie miała czasu ich zatrzeć.

Zdał sobie sprawę, że nie mogła odejść daleko, więc przeszukał dokładniej to miejsce i po chwili znalazł kolejne ślady – złamaną gałązkę i wyraźny odcisk na zaścielających ziemię liściach. Dziewczyna musiała oddalić się od koryta rzeki i ruszyć w stronę gęstego lasu, który

porastał wnoszące się na południu pagórki.

Kowal minął zagajnik młodych drzew i znalazł się na pradawnej drodze. Nie była tak zniszczona jak inne pozostałości dawnej cywilizacji. Widocznie ta okolica nie ucierpiała tak bardzo w czasie kataklizmu Mrocznych Czasów. Nawierzchnia drogi była oczywiście popękana i pokryta warstwą wyschniętych traw i liści, ale nic nie utrudniało dalszego marszu. Sander odkrył tu więcej śladów dziewczyny, a w dwóch miejscach znalazł też wyraźny odcisk łapy Rhina. Świadomość, że kojot porzucił go, by iść za Fanyi, nie była zbyt pocieszająca. Wiedział, że miała nad swoimi kunami kontrolę i porozumiewała się z nimi lepiej niż Sander z kojotem, ale nigdy nie przypuszczał, że jej Moc była tak duża, by odciągnąć od niego Rhina. Chyba że zrobiła to, by się przed czymś bronić.

Tak czy owak, czuł teraz, że koniecznie musi ją odnaleźć. Zdecydowanie parł naprzód. Nie miał zamiaru cofnąć się przed niczym.

Ci, których tropił, trzymali się drogi i po ich śladach widział, że w ogóle nie myśleli o ewentualnym pościgu. Szlak piął się w górę, wznosząc prawie na wysokość wzgórz, które Sander zostawił za sobą. Głód znów zaczął mu doskwierać. Teraz jednak nie miało to już żadnego znaczenia. Wkrótce znalazł miejsce, w którym leżało mnóstwo orzechów. Prawdopodobnie zebrały je buszujące gdzieś wiewiórki. Nappełnił kaptur i przystając co jakiś czas, rozłupywał twarde skorupy. Orzechy były smaczne, chociaż nie dorównywały posiłkowi, jakim poczęstował go Kaboss.

Droga wspięła się teraz na szczyt kolejnego wzgórze i Sander mógł zobaczyć, co znajduje się dalej. W powietrzu unosiła się jakby lekka mgła, choć nie czuł dymu i nigdzie nie widział śladów ognia. Nie miał już teraz żadnych wątpliwości, gdzie prowadzi droga. W oddali zobaczył ruiny, tym razem jednak nie była to tylko sterta luźno porzrzucanych kamieni, w której ledwo dało się rozpoznać kształty dawnej budowli. Widział wyraźne zarysy poszczególnych budynków, które w znacznie mniejszym stopniu niż zabudowania ogromnego miasta odczuły skutki kataklizmu. Gdy przyglądał się miastu, odniósł wrażenie, że dziwna mgiełka nad nim zaczyna gęstnieć i zasłania je coraz bardziej.

Był już niemal pewny, że to tego miejsca szukała dziewczyna. Przyspieszył kroku. Chciał jak najszybciej dotrzeć do miasta. Głodny i obolały, czuł, jak prędko opuszczają go siły.

Im bliżej ruin, tym więcej kamieni i głazów napotykał na swojej drodze. Nikt najwyraźniej nie martwił się o ich uprzątnięcie. Gdzieniegdzie wystawały z ziemi szczątki metalu. Zadziwiające, że Kupcy, których osada znajdowała się tak blisko, nie splądrowali jeszcze tego miejsca.

Wzbudziło to jego podejrzenia. Zawahał się, szukając na ziemi śladów swoich towarzyszy. Ruszył dalej, gdy znalazł odcisk łapy jednej z kun. Po wielkości ocenił, że to ślad Kai. Skierował się teraz bardziej na prawo i trafił na kolejną, nieco węższą drogę, która ostro zawracała na

północ, omijając największe zabudowania.

Trakt zarastały teraz krzewy i trawa, zmieniając go w wąską ścieżkę. W błocie widać było jednak wyraźnie ślady Fanyi i zwierząt. Sander nie umiałby powiedzieć, czy kojot szedł tu razem z dziewczyną, czy podążał tylko jej śladem.

Droga zakręcała dwukrotnie i kończyła się szerokim chodnikiem, który przypominał kowalowi wejście do domu Kupców, zbudowanego nad siecią podziemnych tuneli. Przed sobą miał teraz trzy budynki, a raczej to, co z nich pozostało – ściany z pustymi oczodołami okien. Za fasadami nie było nic. Nieco dalej zobaczył ścianę kolejnego budynku.

Sander stanął na chodniku, zachwiał się i osunął na kolana. Czuł, jak opaska zaciska mu się na czole. Ból był tak przytłaczający, że kowal nie mógł nawet myśleć. Instynktownie szarpnął się do tyłu, upadł na plecy i oddychał ciężko, przytłoczony bólem, który jednak zniknął równie nagle, jak się pojawił.

W chwilę później, zupełnie zdezorientowany, kucnął w miejscu, gdzie zaczynał się chodnik i starał się odgadnąć, co zagradza mu drogę. Przedarł się przez krzewy i zarośla, obchodząc to miejsce dookoła. Odkrył, że znajduje się tam jakaś niewidzialna bariera, wściekle i zniecka atakująca jego umysł, gdy tylko próbował iść dalej.

Żadna z historii opowiadanych przez Zapamiętywaczy czy Kupców nie wspominała nigdy o czymś takim. W obrębie obszaru chronionego przez barierę nie zauważył żadnego ruchu. A jednak Fanyi, kuny i Rhin jakoś tędy przeszli.

Dokładnie widział ich ślady; prowadziły przez teren, po którym nie mógł iść, odpychany przez nieznaną siłę. Dlaczego tak się działo? W jaki sposób udało im się wejść tam, gdzie on nie mógł zrobić nawet jednego kroku?...

Zdał sobie sprawę, że jeśli zdejmie opaskę, może uda mu się wejść na zakazany teren. Ale wiedział, że wtedy podda się całkowicie czyjejś woli, woli obcego umysłu.

Spróbował, tak jak wcześniej, zwalczyć strach i wmówić sobie złudność własnych odczuć, nie przyniosło to jednak żadnych rezultatów. Nieznana siła była tutaj o wiele potężniejsza, a jego wola wciąż osłabiona przez pierwszy atak.

Wiedział, że musi iść dalej, z opaską na czole było to jednak niemożliwe. Musiał wybierać. Zwyciężyła ciekawość. Chciał wiedzieć, kto lub co kryło się za tym wszystkim. Powoli, ze świadomością, że poddaje się dobrowolnie, zdjął opaskę i zawiesił ją na pasku, obok tej, którą porzucił Rhin.

Wstał i ostrożnie, jak zwiadowca na nieznanym terenie, ruszył w stronę niewidzialnej bariery. W ręce trzymał miotacz, chociaż miał wrażenie, że tego, kto czeka w ruinach, nie da się pokonać taką bronią.

Wszedł na kamienny chodnik. W pierwszej chwili nic się nie stało... zupełnie nic. Potem jednak...

Ciało kowala zeszywniało, zęby zacisnęły się kurczowo. Ta myśl... nie należała do niego! Teraz jednak nie było już odwrotu. Czyjaś wola krępowała go i trzymała w tym miejscu równie skutecznie jak lepka sieć leśnych istot. Wbrew własnej woli szedł przed siebie, wprost do budynku naprzeciwko.

Czy z tego powodu porzucił go Rhin? Czy dlatego podążył śladem Fanyi? I czy dziewczyna i zwierzęta w ten właśnie sposób dostali się do środka?

Szedł chwiejnym krokiem. Jego umysł walczył z obcą wolą. Kowal nigdy wcześniej nie przypuszczał, że coś takiego może mu się przytrafić. Czy to była próbka tej Mocy, o której tak często wspominała dziewczyna? Niemożliwe jednak, by to ona nią kierowała.

Nieznana siła pociągnęła go w kierunku wąskiego podziemnego przejścia, które otwierało się w chodniku. Budynek obok różnił się od pozostałych. Wyglądał na mocniejszy i solidniejszy. Wykonano go z masywnych bloków skalnych o szorstkiej powierzchni, dzięki czemu był w dużo lepszym stanie niż zrujnowane budowle dokoła.

Perspektywa wędrówki w podziemiach dodała Sanderowi nowych sił. Czuł, że jego umysł bardziej zdecydowanie walczy teraz z siłą, która nim zawładnęła. Nic to jednak nie dało. Nie mógł nawet własnowolnie poruszyć małym palcem u ręki, nie mówiąc o sięgnięciu po metalową opaskę.

Doszedł już do obskurnego wejścia. W dole zobaczył drabinę, a je go ciało, kontrolowane przez obcy umysł, pochyliło się i zaczęło powoli schodzić po szczeblach. Takie zejście musiało być sporym wyzwaniem dla Rhina, ale najwyraźniej kojot nie cofnął się, bo w tunelu czuć było intensywny zapach jego sierści.

Wewnątrz było dość widno; nie potrzebował pochodni. W ścianach po obu stronach tunelu zauważył regularnie rozmieszczane, wąskie wgłębienia, białe, choć przybrudzone. Pod ścianami ustawiono niezbyt grube rury, które paliły się jednolitym, przytłumionym światłem. Nie wszystkie działały. Część leżała pogięta i wygaszona, te jednak, które wciąż były sprawne, wystarczająco oświetlały wnętrze korytarza.

Poza tymi dziwnymi lampami tunel był pusty. Ciągnął się w nieskończoność, a w ścianach nie było widać żadnych drzwi. Korytarz schodził w dół i tam właśnie Sander znów zobaczył, charakterystyczną mgiełkę, która na gorze przysłoniła mu częściowo widok ruin. Teraz też nie mógł przeniknąć przez nią wzrokiem.

Nie dano mu czasu nawet na chwilowy odpoczynek, natychmiast bowiem jakaś siła popchnęła go w dół korytarza. Minał kilka podłużnych lamp i po chwili udało mu się nieznacznie odwrócić głowę. Gdy spojrzął za siebie, nie zobaczył już drabiny i otworu wejściowego. Tunel za jego plecami spowiła gęsta mgła.

Korytarz był wyjątkowo szeroki. Idąc obok siebie, mogło się tu zmieścić nawet sześciu roślących mężczyzn. Był również na tyle wysoki, że Rhin spokojnie mógł wędrować na

wyprostowanych łapach. Wilgotne ściany połyskiwały w łagodnym świetle lamp. Podłoga nie była jednak śliska. Wykonano ją ciasno ułożonej, czerwonej kostki.

Sander zauważył, że powietrze w tunelu nie jest stęchłe i nieświeże, jak w podziemiach dawnego miasta. Co jakiś czas czuł na twarzy delikatny, chłodny powiew.

W końcu dotarł do miejsca, w którym tunel przechodził przez szerokie pomieszczenie i rozdwajał się. Mgiełka była tu tak gęsta, że nie sposób było zobaczyć, dokąd prowadziły obie drogi.

Tutaj również podjęto za niego decyzję. Jak automat zwrócił się w stronę tunelu biegnącego na lewo i ruszył w jego głąb.

Nieznana siła cały czas prowadziła go głównym tunelem, chociaż co chwila mijał boczne korytarze po jednej i po drugiej stronie. Na koniec dotarł do schodów prowadzących w dół. Strop tunelu zarwał się tutaj częściowo, a metalowe żerdzie, które podtrzymywały sklepienie, z impetem wbiły się w ścianę. Część z nich wisiała jeszcze w górze, utrzymując ciężar kamiennego rumowiska.

Znów zmuszono go do zejścia niżej. Czyżby gdzieś głęboko pod ziemią mieszkali przedstawiciele Praludzi? Nie wydawało się to zbyt rozsądne, szczególnie gdy się pamiętało o trzęsieniach ziemi i ogromnych rozpadlinach, o których mówiły legendy. Wkrótce znalazł się w kolejnym tunelu. Paliło się tu mniej lamp i panował nieprzyjemny półmrok. Korytarz niewiele różnił się od poprzedniego. Oprócz niewielkich wyłomów, które widział na górze, Sander nie zauważył żadnych przejść ani drzwi.

Schodząc w dół, zaczął liczyć kroki... dwadzieścia. Mógł się tylko domyślać, jak głęboko pod ziemią się teraz znajdował. Masywne podpory nie pasowały swoim wyglądem do gładkich ścian i podłogi. Osadzono je w ziemi bardzo solidnie. Ktoś zadał sobie wiele trudu, by podziemne chodniki nie zawaliły się całkowicie.

Tylko kto? Kupcy? Wiedział, że wydobywali surowce głównie na powierzchni. Podpory wykonano z doskonale zachowanego i nienaruszonego przez rdzę metalu. Kupcy z pewnością nie marnowaliby cennego kruszcu na umacnianie jakichś podziemnych kanałów.

Mgiełka, która spowijała korytarz na wyższym piętrze, znikła. W świetle mijanych z rzadka lamp widział teraz wyraźnie jednostajną barwę ścian. Nieznana siła wciąż pchała go do przodu.

Pod ścianą zobaczył niewielki wózek – jeśli można nazwać wózkiem pojazd, do którego nie da się założyć uprzęży. Miał siedzenia dla dwóch osób i piąte koło, które nie dotykało ziemi, ale zamontowane było z przodu, tuż przed jednym z foteli. Pojazd był w całości wykonany z metalu.

Nigdzie nie zauważył śladów rdzy czy zniszczenia. Zdumiony swobodą i rozmachem, z jakim użyto tak cennego materiału, przez chwilę prawie zapomniał, że cały czas prowadzono

go jak więźnia.

Pierwszy strach ustąpił i Sander nie bronił się już tak gwałtownie jak na początku. Oszczędzał siły. Jego umysł pracował gorączkowo, stawiając coraz to nowe pytania, na które być może nie było odpowiedzi, ale które mogły zawierać pewne sugestie, mogące przydać się później. W żadnej z opowieści Zapamiętywaczy nie pojawiał się motyw zniewolenia jednego umysłu przez drugi; nigdy nie wspominali, żeby człowiek mógł zmusić w ten sposób innego człowieka do działania. Zapamiętywacze nie znali jednak wszystkiego, ich wiedza była bardzo wybiórcza.

W Dawnych Czasach ludzie z Klanu Sandera nie zamieszkiwali tych terenów, kowal nie miał więc pojęcia, jakich urządzeń używali Praludzie. Wydawało mu się, że prędzej czy później dałoby się uruchomić dawne maszyny, choćby takie jak pojazd, który przed chwilą minął. Każde urządzenie wykonane przez człowieka można było naprawić, jeśli rzemieślnik dysponował odpowiednią wiedzą, cierpliwością i niezbędnymi narzędziami. On sam przecież właśnie po to przybył tutaj aż z pomocy.

Ale grzebanie w czyichś myślach... to już zupełnie inna sprawa. Wydawało mu się to nie mniej obce i nieludzkie niż potwór atakujący ich na wyspie pośród wyschniętego morza. Zdecydował, że w obecnej sytuacji ma tylko jedno wyjście. Musi udać, że jest całkowicie bezwolny, poddać się i dotrzeć do źródła tajemniczej mocy.

W części korytarza, gdzie się teraz znajdował, nie było metalowych podpór. Widocznie minął już zagrożoną część tunelu. Paliły się wszystkie światła, a na ścianach nie dostrzegł żadnych zarysowań. Na końcu korytarza, w świetle lamp, zobaczył wejście. Biła stamtąd luna.

A potem usłyszał cichy szczek Rhina. Takim głosem kojot witał go po każdej rozłące. Co do tego nie mógł się mylić... zwierzę na niego czekało. Przeształ próg i zamrugał. Światło było tu o wiele silniejsze niż w korytarzu.

Znalazł się w niedużym, dziwnie zbudowanym pomieszczeniu: ściany kończyły się tuż nad jego głową, a z sufitem łączyły je wąskie kolumny. Komnata była pusta. Sander nie zauważył innych drzwi ani okien, a jednak cały czas miał wrażenie, że to tylko część większego pomieszczenia.

W momencie, w którym przeszedł próg komnaty, nieznośne działanie obcej woli zniknęło bez śladu. Wiedział jednak, że jeśli spróbuje się wycofać, nieznaną siłą nie pozwoli mu na to.

Gdzieś tu jednak musiało się znajdować jakieś ukryte przejście, wyraźnie bowiem słyszał szczekanie Rhina. Uważnie rozejrzał się dookoła. Nigdzie nie mógł wypatrzeć najmniejszego śladu drzwi, więc zaczął badać ściany rękami. Zaczynał od dołu i stopniowo przesuwiał w górę tak wysoko, jak tylko mógł dosięgnąć. Murów, idealnie gładkich, nie zbudowano z żadnego znanego mu materiału – kamienia czy skały. Były bardzo chłodne, choć tu i ówdzie wyczuwał bijące z nich ciepło. Niektóre z nagranych miejsc były nie większe od odcisku palca, inne

wielkością dorównywały otwartej dłoni.

Zauważył, że ciepłe punkty znajdowały się tylko na ścianie naprzeciw drzwi. Po zbadaniu pozostałych ścian wrócił do tej najcieplejszej i dokładnie przyjrzał się jej powierzchni.

Ciepłe miejsca układały się wyraźnie w kształt rozpostartych dłoni. Gdy przyłożyło się dłoń wewnętrzną stroną do największej plamy ciepła i wyprostowało palce, ich czubki dotykały pozostałych ciepłych miejsc. Jeden wzór wyraźnie odpowiadał prawej, drugi lewej dłoni. Były tak od siebie oddalone, że aby dotknąć ich obu, trzeba było stanąć tuż przy ścianie i rozłożyć ręce. Sander zrobił tak i mur pod jego dłońmi zaczął się gwałtownie nagrzewać. Kowal był jednak na tyle przytomny, by nie odrywać rąk. Po chwili zorientował się, że ciepło nie jest tak intensywne, jak wydało mu się w pierwszym momencie. Nagle, zdumiony, zamarł w bezruchu. Usłyszał tuż koło siebie przytłumiony głos... Jakby ktoś stał obok niego.

Niewiele zrozumiał, zaledwie parę słów; zdumiało go, że były częścią znanego mu, tajemnego zaklęcia kowali. Na chwilę zaległa cisza, po czym ktoś powtórzył te same słowa.

Sander zwilżył wargi. Jakiś kowal?... Ktoś taki jak on? Cóż, nie miał nic do stracenia. Wciąż trzymając ręce przy ścianie, donośnym głosem wyrecytował zaklęcie, które zawierało w sobie słyszane przed chwilą słowa. Odpowiedziało mu głucho echo.

I nagle ściana obróciła się, a wraz z nią część podłogi, na której stał. Przeniosło go na drugą stronę. Tak go to zaskoczyło, że przez chwilę nie mógł się ruszyć. Wreszcie odsunął się od przedziwnej ściany i rozejrzał po nowym miejscu.

Znajdował się teraz w innej sali, trochę większej niż poprzednia. Na środku stał stół o blacie z gładkiego szkła i nogach z metalowych rur. Sander nigdy wcześniej nie widział tak dużej szyby. Poza stołem w pokoju znajdowały się jeszcze dwa taborety, również o szklanych blatach i metalowych nogach.

Na stole leżało pudełko. Jego szerokość dorównywała ludzkiej dłoni, długość – przedramieniu. Wieko pudełka pokrywały małe, różnokolorowe guziki. W pokoju nie było drzwi. A kiedy Sander dotknął ściany, która tak bezceremonialnie go tutaj przerzuciła, nie mógł już wyczuć cieplejszych miejsc.

Zdezorientowany, powoli zbliżył się do stołu i zbadał pudełko. Na guzikach widniały jakieś znaki. Poznał „pismo”, którego powierzchnią znajomością chwaliła się Fanyi. Nie miał jednak pojęcia, do czego służyło samo pudełko. Bardzo ostrożnie pochylił się nad nim, by dokładniej obejrzieć przyciski. Może były kluczem otwierającym kolejne drzwi? Nie miał już wątpliwości, że Fanyi znalazła miejsce, którego szukała. Cuda, jakie tu zobaczył, nie mogły się zdarzyć nigdzie indziej.

Przyciski układały się w cztery kolorowe rzędy: czerwony – od ciemnego szkarłatu do jasnego różu – zielony, żółty i brązowy. Ostatni rząd kończył się białym guzikiem. Sander dotknął delikatnie wszystkich przycisków. Nie wyczuł ciepła. Był jednak przekonany, że ich

układ miał zasadnicze znaczenie i zastanawiał się, jak wiele różnokolorowych kombinacji można z nich utworzyć.

Gdy minęło pierwsze zaskoczenie, poczuł, jak bardzo jest zmęczony i głodny. Wiedział, że jeśli nie uda mu się odkryć sekretu pudełka, może stać się więźniem tego pokoju i w końcu umrzeć z głodu i wycieńczenia. Ile czasu wytrzyma bez wody i jedzenia?

Postanowił się nie poddawać. Jeśli tajemnica kolejnego przejścia znajdowała się w urządzeniu leżącym na stole, musi ją odkryć!

Zaczął od pierwszego rzędu... potem drugi... potem oba jednocześnie. Wcisnął guziki w kombinacjach, które akurat przychodziły mu do głowy. Następnie sprawdził trzeci i czwarty rząd. Dalej nic się nie działo, ale nie poddawał się. Liczył się z tym, że może spędzić nad urządzeniem długie godziny.

Usiadł na jednym ze stołków i nacisnął pierwszy guzik z czerwonego rzędu. Wcisnął go tylko do połowy i nieoczekiwanie wywołało to pewien efekt. Nie taki wprawdzie, jakiego najbardziej oczekiwał – żadna ze ścian nie obróciła się, nie odchyliła i nie zapadła w podłogę. Tyle że guzik, wciśnięty do końca, został już w tym położeniu.

Sander szybko rozejrzał się dookoła, ale po chwili pudełko znów przykuło jego wzrok. Usłyszał cichy trzask, z boku podniosła się mała klapka i wysunęły dwa niewielkie brązowe sześciiany. Przycisk natychmiast powrócił do dawnego położenia, Sander zaś ze zdziwieniem popatrzył na dwa przedmioty, które leżały przed nim na stole.

Najbardziej poruszył go zapach, który się z nich wydobywał. Zapach pieczonego mięsiwa przygotowanego wprawna ręką na wolnym ogniu. Ale jak, dlaczego... i skąd tutaj?

Podniósł kostkę, która leżała bliżej. Była ciepła... a jej powierzchnia przypominała świetnie wypieczoną skórkę. Nie mógł dłużej oprzeć się zapachowi i łapczywie ugryzł kawałek.

Było chrupkie, a smaku nie potrafił określić! Coś jak chleb... ale nie, raczej mięso. Pachniało też jak mięso, ale Sander instynktownie czuł, że nim nie było.

Już wiedział. Smakowało jak smażona ryba. Mogło być nafaszerowane szkodliwymi substancjami lub zatrutymi ziołami, ale nie mógł się opanować i dwoma kęsami pożarł to do końca. Szybko sięgnął po drugą kostkę. I o dziwo, mimo że porcje nie były duże, zaspokoiliły jego głód. Wzmogły jednak pragnienie. Przyjrzał się teraz pozostałym przyciskom. Czy pudełko mogłoby spełnić i takie życzenie?

Podszedł do sprawy metodycznie. Następny przycisk z czerwonego rzędu dał mu kolejne rybne ciastko, trochę ciemniejsze od poprzednich. Po wciśnięciu kilku zielonych przycisków dostał trzy wafle, które różniły się odcieniami. Odłożył je, razem z rybną kostką, na bok. W żółtym rzędzie udało mu się wcisnąć tylko jeden guzik; wtedy wyjechał na stół mały metalowy pojemnik, wypełniony po brzegi gęstą, jasnokremową substancją. Spróbował językiem. Była słodka. Ostatni rząd... przedostatni przycisk... z pudełka wysunął się trochę



większy pojemnik, zawierający podobną substancję, tylko z pianą na wierzchu. Odsunął zewnętrzną warstwę i wypił trochę aromatycznego, gęstego płynu. Nigdy jeszcze nie próbował czegoś takiego. Wychylił całą zawartość pojemnika, choć była ciepła. Smakowała jak śmietana. Była słodka, ale zaspokajała pragnienie.

Ostrożnie włożył rybne ciastko i wafle do kieszeni płaszcza. Nie miał łyżki, więc resztki słodkiej substancji musiał po prostu wylizać. Czy te same przyciski zadziałają znowu i dadzą mu więcej jedzenia? Po raz drugi ustawił guziki w tej samej kombinacji, tym razem jednak nic się nie stało. Czyżby działały tylko raz? Może przez lata zapasy maszyny stopniowo się kończyły, a teraz wyczerpały zupełnie?

Nie miał pojęcia, w jaki sposób działało to urządzenie. Było z pewnością zbyt małe, by zawierało w sobie wszystkie rzeczy, które znajdował na stole. Kucnął, by przyjrzeć się pudełku od spodu, ale przez przezroczysty blat stołu zobaczył ze zdziwieniem, że ze wszystkich stron wyglądało podobnie.

Choć nie czuł już głodu i pragnienia, nadal pozostawał więźniem. Gdyby udało mu się przesunąć jeden ze stołków pod ścianę, mógłby dosięgnąć miejsca, w którym ściana się kończyła i przechodziła w łączące ją ze sklepieniem kolumny.

Jednak gdy próbował przestawić taboret, okazało się, że tylko nieznacznie dawał się odsunąć od stołu.

Wzruszył ramionami. Cóż... to byłoby zbyt proste. Odkrycie tajemnicy pomieszczenia wymagało cierpliwości i całego sprytu, jakim dysponował. Rhin... gdyby mógł jakoś się z nim porozumieć, wiedziałby przynajmniej, na której ścianie należało się skoncentrować, która płaszczyzna kryła w sobie wyjście.

Gwizdnął, a dźwięk wydał mu się dziwnie donośny. Ale odpowiedzi nie było. Słyszał tylko przyspieszone bicie własnego serca. Nagle gdzieś z oddali dobiegło ciche szczekanie. Powtórzyło się wielokrotnym echem, tak że nie umiał stwierdzić, skąd dochodziło.

Znów uważnie przeszukał ściany. Teraz wiedział już, czego szukać. Poszukiwania nie przyniosły jednak żadnych rezultatów. Po dwukrotnym zbadaniu nigdzie nie wyczuł nagrzanego miejsca. W końcu usiadł na stołku i oparł się łokciami o stół. Starał się przemyśleć całą sprawę jeszcze raz. Kilkakrotnie sprawdził ściany i nie znalazł nic” nie mógł też wspiać się po nich do góry. Jak zatem miał się stąd wydostać?

Wiedział, że musi być jakieś wyjście, ukryte tak sprytnie jak poprzednie. Tylko dlaczego, po co te wszystkie zagadki? Wyglądało na to, że twórca tego miejsca (jeśli nie był istotą obcą lub wariatem) zbudował tajemne przejścia, by utrudnić innym dostęp. Wszystko to przypominało jakąś próbę.

Próba... podobało mu się takie rozwiązanie. Pasowało do tych kilku faktów, które zdążył do tej pory poznać. Nie znał jednak celu takiej próby, chyba że chodziło o poznanie inteligencji lub

wyobraźni pojmanego. Nie miało to zresztą teraz zbyt wielkiego znaczenia. Najważniejszą rzeczą było wydostać się stąd.

Jak dotąd, metoda prób i błędów oraz zdrowy rozsądek pozwoliły mu rozwikłać dwie zagadki. Po pierwsze znalazł wyjście z poprzedniego pokoju, po drugie – zdobył jedzenie i picie. Obie z tych zagadek wymagały wytrwałości i cierpliwości. Teraz jednak trzeba było dołączyć również element improwizacji.

Nie było sensu dalej trudzić się badaniem ścian. Co więc zostawało? Oczywiście!... podłoga.

Znów stwierdził, że lepiej polegać na dotyku niż na wzroku. Osunął się więc na kolana i na czworakach zaczął przeszukiwać centymetr po centymetrze podłogę w całym pomieszczeniu. Nie była tak gładka jak ściany, ale jej powierzchnia wszędzie była równa i nie znalazł nic szczególnego. Najpierw okrążył cały pokój, badając posadzkę przy ścianach. Potem obejrzał środek i zdał sobie sprawę, że przeszukał już całą powierzchnię. Usiadł, opierając się o ścianę, i znów zaczął analizować sytuację.

Dostał się tu przez ścianę, która teraz znajdowała się dokładnie naprzeciw niego. Jednak od tej strony nie można było otworzyć przejścia. Znowu przeszukał pozostałe ściany i całą podłogę. Nie znalazł nic.

Zniechęcony, oparł głowę o mur i jeszcze raz uważnie przyjrzał się pomieszczeniu. Cztery ściany, podłoga i wysoko w górze sufit, który nie łączył się ze ścianami. Poza tym stół, pudełko, które dało mu jedzenie, i dwa stołki, których nie dało się przesunąć pod ścianę.

Stół... taborety... pudełko... Przeszukał już wszystko. Czyżby tajemnica kryła się w sercu tego pomieszczenia? Wstał i podszedł do stołu. Taboretów nie można przesunąć. A przyciski... z pewnością miały tylko dostarczać pożywienie. Nie otwierało się z ich pomocą, jak przypuszczał na początku, żadnego tajnego przejścia. A stół...

Choć wyteżył wszystkie siły, nie mógł przesunąć go nawet o centymetr. Nogi zdawały się tylko oparte o posadzkę, ale nie chciały nawet drgnąć.

Stół, taborety, pudełko...

Znów pochylił się nad nim i obejrzał dokładnie. Kolorowe rzędy... czerwony, zielony, żółty, brązowy... Czerwień od zarania dziejów była symbolem władzy... ale i niebezpieczeństwa. Czerwony był ogień, który niszczył, i kolor ludzkiej skóry, kiedy człowiek wpadał w gniew.

Zieleń uspokajała wzrok. Barwa wszelkiej roślinności... barwa życia. Kolor żółty... złoto, skarby, słońce... również władza, choć nie tak niszczycielska jak czerwień. A brąz... barwa ziemi... czegoś, nad czym należało pracować, co wymagało trudu...

Po co marnował czas, zastanawiając się nad symboliką kolorów? Musiał się stąd wydostać... Musiał!

Brązowy... to żółte złoto ukryte w ziemi. Zieleń to to, co ją porasta... Czerwień... to ogień, który zabiera jej życie. W jakiś dziwny sposób, jakby poza świadomością, w jego głowie zaczął

układać się pewien wzór. Starał się odgonić od siebie absurdalne myśli, działać bardziej konstruktywnie. Ale czy te myśli naprawdę były aż tak głupie? Fanyi z pewnością by zaprzeczyła. Przekonana o niezwykłej mocy Szamanów, wierzyła w każde dziwactwo, które dotyczyło umysłu. Sander natomiast nigdy naprawdę nie wierzył w coś, czego nie mógł dotknąć, zobaczyć, spróbować czy usłyszeć.

A jednak w czasie swoich podróży niejednokrotnie napotykał dziwne zjawiska. Jako kowal, używał do pracy głównie rąk, choć musiał przyznać, że zanim zabierał się do roboty, w jego głowie tworzył się obraz rzeczy, którą chciał wykonać. Nikt inny nie mógł tego zobaczyć. Innymi słowy, on również miał do czynienia z czymś niewidzialnym i nieokreślonym.

Czy teraz, po tych wszystkich przeżyciach, wypadało całkiem odrzucić obrazy, które widział oczami wyobraźni, a które mogły stanowić jedyny klucz do rozwiązania zagadki? Głos, który słyszał w poprzednim pomieszczeniu, wypowiadał zaklęcia znane kowalom. Co prawda były w nich również słowa, których Sander zupełnie nie rozumiał, ale znaczenia zaklęć był pewien. Musi wziąć to za dobrą monetę i zaufać swej intuicji, niezależnie od tego, jak dziwne obrazy mu teraz podsuwała.

– Brązowy – powiedział na głos i mocno wcisnął najciemniejszy z brązowych przycisków. – Złoty... – Wyszukał najjaskrawszy guzik, ten, który najbardziej przypominał roztopione, wypełniające odlew złoto. – Zielony... – Nie najciemniejszy, ale ten ze środka, jasny niczym wiosenna roślinność. – Czerwony... – Ostami przycisk miał kolor szalejących płomieni.

Usłyszał stłumiony zgrzyt. Część jednej ze ścian rozstąpiła się, odsłaniając wąskie przejście. Nawet go to nie zdziwiło. Gdy naciskał kolejne guziki, czuł, że udało mu się ułożyć następny fragment tajemniczej układanki.

Szedł teraz pewnie, choć wiedział, że przechodząc do następnego pomieszczenia, stanie przed jeszcze inną zagadką.

Za drzwiami nie znalazł pokoju, tylko wąski, otoczony pustymi ścianami korytarz. Śmiało poszedł naprzód. Dzięki rozwiązaniu poprzedniej zagadki odzyskał pewność siebie. Nie zdziwił się też, gdy po kilkunastu krokach korytarz bez dalszych niespodzianek doprowadził go do kolejnego pomieszczenia; a gładka powierzchnia drzwi odsunęła się sama, bez żadnego szyfru.

Z wnętrza dobiegał hałas: cichy pomruk, jakieś tykanie i inne dźwięki. Sander przystanął. Zastanawiał się, co go tam czeka. Wiedział, że osoba kontrolująca ten dziwny labirynt nie będzie łatwym przeciwnikiem i że broń, którą dysponował, z pewnością nie wystarczy w bezpośredniej konfrontacji. Miotacza i noża nie dało się w żaden sposób porównać do dziwnych zjawisk, z jakimi zetknął się w tych podziemiach. Jego uzbrojenie zdawało się tu tak samo prymitywne, jak włócznie czy głązy, którymi ciskali przerażający mieszkańcy rzek. Po chwili namysłu

schował miotacz i wszedł do środka nieuzbrojony. Intensywne światło oślepiło go, aż musiał zmrużyć oczy. Zobaczył rzeczy, których natury nie potrafił w żaden sposób wyjaśnić: pajęczyny z metalu i szkła wyrastały z niskich postumentów, migając mnóstwem kolorowych światełek.

Wśród tych niezwykłości dostrzegł znajomą postać. Rhin podbiegł do niego, szczekając donośnie, jakby widok pana przyniósł mu niezmierną ulgę.

Kojot polizał go po policzku szorstkim jęzorem; Sander w zamian poklepał go po grzbiecie. W końcu Rhin był jedynym ogniwem, które łączyło go w tej zadziwiającej podziemnej krainie ze światem zewnętrznym.

Znów usłyszał ten przytłumiony i jakby mechaniczny głos. Tym razem nie udało mu się zrozumieć ani słowa. Maszyny, jeśli tę plątaninę kabli i lampek można było tak określić, ustawiono pod ścianami. Środek pomieszczenia był pusty. Sander przeszedł przez pokój z ręką na grzbiecie Rhina. Nie rozpoznawał żadnego z przedmiotów, jakie tu widział, a złożoność ich konstrukcji wprawiła go w zdumienie.

Do czego służyły te wszystkie urządzenia? Gdy przyjrzał się lepiej sieci przewodów, zauważył, że paliły się nie wszystkie lampki. Część konstrukcji leżała zniszczona i popękana. Z pozostałych maszyn dobywał się wysoki dźwięk, który drażnił Rhina. Pisk był tak przenikliwy, że Sander zadrzał.

Nigdzie jednak nie widział żywych istot. Zawołał Fanyi; odpowiedziały mu tylko trzask i brzęczenie maszyn.

– Kim jesteś? – Po raz pierwszy odważył się skierować pytanie do Głosu. Nie było odpowiedzi.

Z Rhinem u boku, w każdej chwili gotów do odparcia ataku, przeszedł przez pokój. I natrafił na kolejne wejście. Sala, do której wszedł, wyglądała zupełnie inaczej.

Na środku zobaczył owalne wgłębienie, na pierwszy rzut oka wypełnione wodą. Dookoła poustawiano miękkie fotele. Po chwili zorientował się, że otworu w posadzce nie wypełniała żadna ciecz. Był po prostu przykryty szkłem lub przezroczystym metalem.

Zostawił Rhina przy wejściu, a sam przeszedł między fotelami (one też były przymocowane na stałe do podłogi) i przyjrzał się uważnie ciemnoniebieskiej, szklanej powierzchni. Ta tafla z pewnością także, podobnie jak pudełko zjedzeniem, miała jakieś konkretne i ważne zastosowanie. Samo ustawienie foteli sugerowało, że niegdyś gromadzili się w tym pokoju ludzie, by przyglądać się gładkiej, połyskującej tafli.

Nie było to jednak lustro, bo choć nachylił się nisko, nie dostrzegł swojego odbicia. Nigdzie też nie zauważył przycisków. Podchodził po kolei do każdego fotela i oglądał go z bliska. Wreszcie znalazł się po przeciwnej stronie owalnego kręgu; zwrócił uwagę, że fotel, przy którym się zatrzymał, był inny. Miał szersze poręcze, a na nich rzędy przycisków z nadrukami, które Fanyi nazywała pismem.

Usiadł ostrożnie. Fotel był bardzo wygodny; Sanderowi wydawało się nawet, że oparcie dopasowało się do kształtu jego ciała. Przyjrzał się przyciskom. Był pewny, że coś je łączy ze szklaną powierzchnią, którą miał teraz prawie pod stopami. Tylko co?

Na każdej poręczy biegły dwa rzędy guzików, ułożonych tak, aby po oparciu rąk były łatwo dostępne. Istniał tylko jeden sposób, aby poznać ich zastosowanie. Palcem wskazującym prawej ręki wcisnął pierwszy guzik.

Nie stało się nic; Sander był nieco rozczarowany. Ale to dopiero jeden przycisk. Część z nich stała się zapewne z upływem lat całkiem bezużyteczna. Miał nadzieję, że uda mu się dowiedzieć, dlaczego zbierano się tu kiedyś, by oglądać jednolitą, nie dającą odbicia powierzchnię.

Wcisnął kolejny guzik. Znow bez rezultatu. Jednak trzeci przycisk wywołał zadziwiający efekt. Na gładkiej powierzchni zatańczyły kolorowe światełka. Tworzyły linie, a te z kolei układały się w nieregularne kształty. Sander, zaintrygowany, pochylił się do przodu. Próbował wyczytać coś z tej chaotycznej kombinacji drobnych świetlnych punktów.

Zobaczył cztery... nie, pięć wzorów. Dwa były połączone pojedynczą linią, dwa inne krzyżowały się. Dookoła dostrzegł też inne, mniejsze. Nie mógł pojąć, według jakiej kombinacji je ułożono.

Choć uważnie przyglądał się wzorom, nie mógł dopatrzeć się w nich żadnego znaczenia. Wcisnął kolejny guzik i wzór zniknął. Pojawiły się nowe linie, które utworzyły inną kombinację: wiele światełek pogasło, a linie stały się zamazane i słabo widoczne.

– To nasz świat...

Sander odwrócił się błyskawicznie, odruchowo chwytając za rękojeść noża. Nie usłyszał ostrzegawczego warknięcia Rhina i bardzo go to zdziwiło. Głos nie pochodził przecież znikąd, tak jak przedtem. Słowa te wypowiedział człowiek, który kuśtykał teraz w jego kierunku. Uważnie się nawzajem obserwowali.

Obcy nie prezentował się imponująco. Dawniej musiał być wysoki, teraz jednak garbił się i pochylał nieco na bok. Wydęty brzuch i obcisły, jednolicie szary ubiór podkreślały nienaturalną chudość ramion i nóg. Głowę porastała przyprószone siwizną szczecina, zupełnie jakby najpierw ogolono ją, a potem pozwolono włosom odrosnąć na parę centymetrów. Na pokrytej bruzdami twarzy nie było zarostu prócz cienkich wąsików. Skóra nieznanego miała tak blady odcień, że Sander w pierwszej chwili pomyślał o Białoskórych. Ich karnacja pozbawiona była jednak niezdrowego, szarego zabarwienia.

Obcy człowiek trzymał w obu drżących dłoniach jakąś rurkę. Sander uznał, że to broń. Przypomniawszy sobie wszystkie przedziwne przedmioty, z jakimi się tu zetknął. Mógł się spodziewać, że ta broń jest bardzo niebezpieczna.

– To nasz świat – powtórzyła zjawa, krztusząc się i kaszląc okropnie. Sander usłyszał

skomlenie kojota. Rhin, który nieraz wychodził zwycięsko z potyczki z ogromnymi bykami, który potrafił je powalić i przytrzymać do przybycia pasterzy, przywarł teraz do posadzki, pokonany. Kował czuł narastający gniew.

– Co z nim zrobiłeś?

Nieznajomy uśmiechnął się nieprzyjemnie.

– Musi się nauczyć, że nie wolno bezkarnie szczerzyć na mnie kłów... Jestem Maxim... Miej się na baczności, chłopcze! – Zrobił gest, którym obejmował coś więcej niż pomieszczenie, w którym się teraz znajdowali. – Mam Moc, o której nawet się nie śniło tym twoim biednym barbarzyńcom! Jestem Maxim, jeden z Wybrańców. To my przewidzieliśmy... przygotowaliśmy się na... To my ocaliliśmy wszystko, co było kiedyś znane ludziom! – Na dźwięk głosu Maxima Rhin zaskamlał jeszcze żałośniej. Sander pomyślał, że ten człowiek dawno już przekroczył cienką granicę między zdrowym rozsądkiem a obłędem.

– Tak, tak – ciągnął dalej szalenięc. – Zachowaliśmy... przeżyliśmy. To my jesteśmy jedyną inteligencją tej planety, jedyną na niej cywilizacją. Spójrz na mnie, prostaku... Jestem Maxim! Zgromadziłem tu... – uniósł guzowaty palec i dotknął swojego czoła – ...więcej informacji, niż ty zdołałbyś zebrać w ciągu całego życia. Myślisz, że uda ci się to teraz ukraść? Nie ma mowy. Twój umysł jest tak ograniczony... że nie rozumiesz nawet, ilu rzeczy nie wiesz. Nie masz nic wspólnego z Praludźmi. Nie jesteś nawet w połowie taki jak oni!

Jego chaotyczna wypowiedź stawała się coraz bardziej obelżywa. Widząc zachowanie Rhina, Sander szybko się zorientował, że ten szalenięc dysponuje niebezpieczną bronią i że użyje ją bez wahania. A co z Fanyi i kunami? Teraz był już absolutnie pewien, że to właśnie tego miejsca szukała dziewczyna. Tylko czy spotkała Maxima? I jak skończyło się dla niej to spotkanie? Widział przerażenie Rhina i ogarniała go coraz większa wściekłość. Wyobrażnia podsuwała mu różne obrazy. Czy ten opętaniec zabił Fanyi?

– Czego chcesz? – spytał starzec. – O co pragniesz zapytać Maxima? Chcesz poznać techniki zabijania? Mogę pokazać ci takie, od których włosy zjeżą ci się na głowie. Tak, znaleźliśmy, znaleźliśmy je wszystkie! Znamy choroby, które powalają nieświadomych jak muchy. Potrafimy obedrzeć człowieka z jego własnej woli, odebrać mu rozum, by nam służył. Możemy, wciskając tylko jeden guzik, zetrzeć z powierzchni ziemi całe miasto. To my rządymy światem. To my zbudowaliśmy to miejsce, bo wiemy, że nasza cywilizacja musi trwać. Udało nam się ją zachować. Przeżyliśmy...

Zamilkł gwałtownie, a z jego twarzy zniknęło ożywienie. Przez chwilę sprawiał wrażenie zagubionego i wypalonego, jakby sam stał się ofiarą niszczącej umysł broni, o której opowiadał.

– Żyjemy – powtórzył – żyjemy dłużej niż ktokolwiek przed nami. A po nas będą żyły nasze dzieci... Jak myślisz, prostaku, ile mam lat?

Sander bał się odezwać. Wolał nie drażnić tego szaleńca jakąś błędną odpowiedzią.

– Wszyscy ludzie – powiedział w końcu, starannie dobierając słowa – umierają w określonym czasie. Nie wiem, jak długo wy żyjecie.

– Pewnie, że nie wiesz! – Mężczyzna pokiwał głową. – Jestem jednym z Dzieci. Mam już, według waszych obliczeń, prawie dwieście lat.

Sander pomyślał, że to niewykluczone. Ciekawe, ilu tu jeszcze było potomków Praludzi, którzy otrzymali w spadku (jeśli właściwiej zrozumiał słowa Maxima) najgorszą część tej wiedzy, jaką zgromadzili przedstawiciele zaginionej cywilizacji?

– Prawie dwieście lat – powtórzył Maxim. – Byłem mądrzejszy, rozumiesz? Nie chciałem ryzykować życiem, wędrować po martwym świecie i wiązać się z barbarzyńcami. Mówiłem im, że źle robią. Powiedziałem Langowi, co będzie – zaśmiał się – i miałem rację. Prostaku, wiesz, jak umarł Lang? Gwałtowny ból brzucha... Coś, co można było wyleczyć prostą operacją. Ona mi to powiedziała... Twierdziła, że jest jego córką. Kłamała, oczywiście. Nikt z nas nie związałby się w ten sposób z żadnym z tych barbarzyńców. Kłamała, ale nie mogłem jej za to ukarać. Miała przy sobie jego nadajnik. Od początku wszystko było zorganizowane tak, by uniknąć kłótni. Było nas tak niewielu... Mogliśmy siedzieć tu zamknięci przez wiele lat. Nie należało pozwalać sobie na spory i kłótnie. Wszyscy mieliśmy takie nadajniki, dla własnego bezpieczeństwa. Widzisz, prostaku, jak dobrze byliśmy zorganizowani? Nie było problemu, z którym byśmy sobie nie poradzili. Dzieci, takie jak Lang, też miały nadajniki. Dostawały je tuż po urodzeniu. Wszystko zostało dokładnie przemyślane. Wielki Mózg, zamknięty w szczelnym pomieszczeniu, pomyślał o wszystkim. On wie wszystko. Od jakiegoś czasu nie kontaktował się z nami w ogóle. Oczywiście, nie było takiej potrzeby. Ja, Maxim, wiem wszystko, co potrzeba.

– A dziewczyna, która powiedziała ci o śmierci Langa... – nie było wątpliwości, że szalenciec mówił o Fanyi – gdzie teraz jest?

Maxim zaśmiał się szyderczo.

– Okłamała mnie, wiesz? Nikt nie powinien tego robić. Potrafię czytać w myślach, jeśli chcę. Widzę, co myślisz, prostaku! Gdy się zjawiała, wiedziałem, że przyjdą i inni. Użyłem... – Przerwał i uważnie przyjrzał się Sanderowi. – Sprowadziłem cię tu, prostaku. To było zabawne, bardzo zabawne. Te stare pokoje-zagadki. Obserwowałem twoje zmagania. Ona nie musiała tamtędy iść. Miała nadajnik. Jesteś bystry, nie tak jak ludzie oczywiście, ale to było naprawdę zabawne. Inni, tacy jak ty... Chcieliby zawładnąć moimi skarbami, ale mam sposoby, by ich powstrzymać. Skoro udało ci się przejść przez pokoje-zagadki, wiedziałem, że muszę cię tutaj ściągnąć... dla własnego bezpieczeństwa.

– Jestem tu – powiedział Sander. – Ale dziewczyna... Co z nią zrobiłeś?

– Co z nią zrobiłem? – zachichotał stary człowiek. – Nic. Nic nie zrobiłem. Nie było potrzeby. Wielki Mózg potrafi bronić się sam. Wysłuchiłem jej, wskazałem drogę i pozwoliłem odejść. Nie musiałem się nią wcale przejmować. Nawet była mi za to wdzięczna. Ja... – Jego

obwisła, zwiotczała twarz przybrała wyraz zakłopotania. – Miała w sobie coś. Ale to, niemożliwe, żeby taka prostaczka posiadała cechy, których Maxim nie potrafiłby okiełznać! Panować nad zwierzętami... to też nie problem! Zobacz, jak twoje nędzne bydło się mnie boi. Teraz mam inny problem... Co z tobą zrobić? Nie masz nadajnika, więc można tobą kierować.

– Ależ mam! – Sander nie wiedział, ile prawdy było w słowach tego dziwaka, ale musiał coś zrobić, wykonać jakiś ruch. Wiedział, że trzeba przeciwstawić się tej nędznej karykaturze człowieka.

– Nie możesz go mieć! – Maxim mówił jak uparte i rozzłoszczone dziecko. – Lang dostał ostatni. Zostawił mnie tu, choć próbowałem go zatrzymać! Był naprawdę głupi! Najmłodszy ze wszystkich dzieci, nie wiedział wystarczająco wiele. Zabrał ostatni nadajnik. Nie działają długo, najwyżej pięćdziesiąt lat. Potem trzeba je naładować. Nawet jeśli masz któryś, i tak już nie działa. To mógłby być ten zabrany przez Robara... a on wyruszył na długo przed Langiem. Nie nabierzesz mnie, prostaku! Pamiętaj, jestem Maxim, a wiedza Dawnych Czasów należy do mnie!

– Pokażę ci. – Sander powoli sięgnął do kieszeni płaszcza. Widział, że Maxim celuje dziwną rurą prosto w niego, ale musiał spróbować. Wyciągnął metalową przepaskę.

– To nie nadajnik, prostaku! – zaskrzeczał Maxim. – Jesteś głupszy od tego bydłęcia. Nadajnik! Nawet nie wiesz, co znaczy to słowo. Ona też nie wiedziała. Myślała, że to magia... magia, w którą wierzą przesądni głupcy! A teraz ty pokazujesz mi kawałek plecionego drutu i nazywasz to nadajnikiem!

Prowokując Maxima do działania, Sander włożył opaskę. Miał nadzieję, że uda mu się jakoś wykorzystać fakt, że ta kreatura uznała go za przesadnego głupca.

– To Chłód Metalu – powiedział poważnie. – Służy mi, bo jestem jednym z tych, którzy na co dzień wykuwają metal. – Zaczął wypowiadać kowalskie zaklęcia.

Maxim ożywił się.

– To... to formuła – powiedział. – Ale przekręciłeś słowa. Powinna brzmieć tak... – Starzec powiedział coś, co przypominało niezrozumiały bełkot Zapamiętywaczy. – Tak powinna brzmieć. Jednak wiesz trochę o Dawnych Czasach, prostaku. Ale co to takiego ten Chłód Metalu? To dla mnie nic nie znaczy! Poza tym... dość już czasu na ciebie zmarnowałem. Chodź tu!

Nacisnął przycisk na rurce, którą trzymał w dłoni. Sander poczuł nagły dreszcz. Coś ciągnęło go do przodu, ta sama siła, która przywiodła go tutaj. Kurczowo zacisnął ręce na poręczach fotela.

Metal... Chłód Metalu. Wiara w Pradawną Mądrość, teraz nadszarpięta przez tego człowieka, była jego jedyną bronią.

Skoncentrował wszystkie swoje siły w rękach, żeby tylko nie oderwać ich od fotela. Zacisnął zęby. Opaska znów zdawała się nagrzewać. Nie... tym razem nie ustąpi!



Twarz Maxima napięła się i poczerwieniała. Starzec otworzył usta, pokazując biały język i żółte, połamane zęby.

– Pójdiesz! – krzyknął piskliwie.

Sander zapał się w fotelu. Szybko zbliżał się do punktu, w którym ból stanie się nie do wytrzymania i będzie musiał się poddać. Wiedział, że jeśli tak się stanie, to już po nim. Był tego pewien, choć nie wiedział, skąd.

Między nim a Maximem pokazała się świetlista luna. Zaciśnięte na poręczach fotela palce zdrewniały zupełnie. Czuł, że głowa pali mu się żywym ogniem. Musiał...

Brunatny kształt przemknął w powietrzu i rzucił się na Maxima. Rhin przewrócił szaleńca, przygwoździł do podłogi i próbował zacisnąć kły na jego szyi.

Mężczyzna wypuścił z ręki rurkę i w tej samej chwili napór na głowę Sanderza zelżał. Kowal zdążył jeszcze krzyknąć na Rhina, by nie zabijał Maxima. Nie mógł pozwolić kojotowi zagryźć tamtego z zimną krwią. To przecież tylko stary, obłąkany człowiek. Najważniejsze teraz to jak najszybciej odnaleźć Fanyi i ostrzec ją. Sander nie wiedział wprawdzie, na czym polegała pułapka, którą zastawił na nią Maxim, ale był pewien, że dziewczyna nie wyszłaby z niej żywa.

Skrępował Maxima i przywiązał go do jednego z foteli.

Gdy skończył, krzyknął na Rhina:

– Fanyi, znajdź Fanyi!

Kojot cały czas obserwował związanego, szczyrzył zęby i warczał. Wyraźnie chciał skończyć z szalonym starcem. Sander podszedł do Rhina, poklepał go po grzbiecie, nachylił się i powtórzył:

– Fanyi.

Nawet tutaj zapach dziewczyny musiał być bardzo wyraźny, a Rhin to przecież doskonały tropiciel. Kojot spojrzał na kowala, szczechnął cicho i szturchnął go w ramię. Wyglądał na zdziwionego faktem, że Sander chce zostawić Maxima przy życiu. Kowal wiedział, że zdumienie Rhina było całkiem uzasadnione, ale nie potrafił po prostu zabić bezbronного teraz starca ani pozwolić na to kojotowi.

Zabicie kogoś we własnej obronie lub w obronie bliskich było uzasadnione. Nie zawahałby się w potyczce z wodnymi stworami lub bladokórymi barbarzyńcami, leśnymi dziwadłami czy człekokształtnym potworem na wyspie. Wszystkie te stworzenia przerażały go i napawały obrzydzeniem. Nie potrafił jednak zamordować z zimną krwią, wychudzonego starca.

Schylił się i podniósł z ziemi broń, którą upuścił Maxim. Nie miał pojęcia, jaka moc w niej drzemała i jak należało jej używać. Teraz liczył się przede wszystkim czas. Trzeba było odnaleźć Fanyi, zanim spotka ją jakieś nieszczęście.

– Fanyi! – powtórzył po raz trzeci, odganiając Rhina od jeńca. Kojot znów szczechnął, tym razem głośniejsze, i ruszył do przodu. Okrążyli rząd foteli i pobiegli dalej. Sander z trudem nadązał

za Rhinem, który sunął tak pewnie, jakby dokładnie wiedział, dokąd iść. Może zresztą zauważył, w którą stronę Maxim posłał dziewczynę.

Kowal nie wierzył, że staruch był jedyną osobą, która zamieszkiwała to miejsce. Wspominał wprawdzie tylko o dwóch nieżyjących już towarzyszach, ale nie musiało to wcale znaczyć, że kolonia, której udało się przetrwać kataklizm Mrocznych Czasów, wyginęła doszczętnie. Poza tym Sander bał się, że kojot nie ostrzeże go przed kolejnym niebezpieczeństwem, tak jak nie uprzedził go o pojawieniu się Maxima. Wiedział, że Rhin mógł zbuntować się przeciwko woli szaleńca tylko dlatego, że ten całą uwagę poświęcił kowalowi.

Przemierzali kolejne pomieszczenia i korytarze. W niektórych stały jakieś urządzenia; inne, zastawione kanapami i dziwnymi meblami, musiały kiedyś służyć za pokoje mieszkalne.

W końcu dotarli do pomieszczenia, w którym ustawiono maszynę z jedzeniem, większą od tej, którą widział wcześniej. Urządzenie miało też więcej różnokolorowych przycisków. Sander wcisnął różne kombinacje guzików, a maszyna wyrzuciła rozmaite ciastka i kubki z wodą. Najedli się obaj i jeszcze wystarczyło, żeby zrobić solidny zapas. Wodę Sander przelał do bukłaka, a żywność upchnął w jednej z toreb. Nie wiedział, jak to było możliwe, że to urządzenie produkowało takie ilości jedzenia; zresztą, nie interesowało go to teraz specjalnie. Ważne, że posiłek smakował im obu. Nie przyszli tu przecież, by zgłębiać tajemnicę tej maszyny.

Wreszcie minęli labirynt pokoi i dostali się do ogromnej sali. Jej ściany wykonano z gładkiego tworzywa; po obu stronach paliły się podłużne lampy. Powietrze było tu rześkie i świeże. Sander cały czas podziwiał konstrukcję podziemnej bazy i zastanawiał się, jak ogromną wiedzą musieli dysponować jej budowniczowie.

Miał nadzieję, że będzie mu jeszcze dane wrócić do sali, w której zostawił Maxima, i przestudiować uważniej szklaną, wypełnioną świetlistymi wzorami powierzchnię. Jeśli zwariowany starzec miał rację i układ świateł i linii odwzorowywał obecny świat, to maszyna musiała także pokazywać dawny wygląd planety.

Przypominał sobie teraz, jak bardzo pierwsze kontury różniły się od tych, które maszyna wyświetliła później. Jeśli rzeczywiście od czasów kataklizmu zaszły tu tak ogromne zmiany, jakim cudem sieć tych podziemnych tuneli ocalała niemal nienaruszona? Wiedział, że mieszkańcy podziemnej osady potrafili chronić się przed ingerencją intruzów z zewnątrz, ale nie mógł zrozumieć, w jaki sposób obronili się przed furią szalejących żywiołów – trzęsień ziemi, erupcji wulkanów, powodzi...

Długie pomieszczenie zdawało się nie mieć końca. Rhin co chwila opuszczał pysk, węszył i skomlał cicho. Byli na właściwym tropie... na dobrej drodze... Tylko dokąd miała ich zaprowadzić?

Na końcu sali była rampa, która zaprowadziła ich w dół. Lampy rozmieszczono tu znacznie rzadziej; między nimi panował cień. Początkowo droga łagodnie zbiegała w dół, później jednak zrobiła się bardziej stroma. Cokolwiek Praludzie chcieli ukryć w tym miejscu, schowali to tak głęboko, by nie mogły tutaj wtargnąć wrogie siły natury.

Powietrze w korytarzu nie było już takie świeże i rześkie jak wyżej. Miało cierpki i gryzący zapach. Sander zaczął pokasływać. Maxim ostrzegwał go, że miejsce, do którego wysłał dziewczynę, ma własny system obrony. Nie można było tego lekceważyć. Jakiego to określenia użył starzec... Wielki Mózg? Sander żałował, że gdy była po temu okazja, nie słuchał uważniej opowieści Zapamiętywaczy. Teraz nie pamiętał, czy któraś z nich wspominała o czymś takim.

Pomyślał, że będą tak wędrować w nieskończoność, aż do środka ziemi, ale w pewnej chwili korytarz wyrównał się i biegł teraz płasko. Światło lamp było tu przytłumione przez kurz i pajęczyny. Podłogi również nie sprzątano od wielu lat, ale nawet w tym słabym świetle kowal dostrzegł ślady stóp i łap. Mogła je zostawić tylko dziewczyna, wędrując razem z kunami.

Było coraz zimniej. Sander naciągnął kaptur. Przy każdym oddechu para leciała mu z ust. Rhin poczekał na swojego pana i szli teraz obok siebie. Kojot co jakiś czas popiskiwał cicho.

W cieniu przed nimi coś się poruszyło. Sander zatrzymał się, wsadził za pasek broń, którą zabrał Maximowi, i wyciągnął miotacz. Rhin warknął ostrzegawczo. W odpowiedzi kowal usłyszał przedziwny dźwięk, przypominający odgłos młota uderzającego o metal.

Coś toczyło się teraz w ich kierunku. Nie była to, o ile w słabym świetle mógł się zorientować, żywa istota. Bardziej niż do zwierzęcia podobne to było do blaszanego czajnika, jakich ludzie Klanu używali podczas jesiennego święta. Obiekt wolno, lecz nieubłaganie zbliżał się w stronę Sandera i Rhina. Poruszał się na kółkach, ale najbardziej zdziwiły i przeraziły kowala metalowe ramiona różnej długości, którymi dziwna maszyna wymachiwała. Każde ramię uzbrojone było w potężne szczęki, które co chwila zamykały się i rozwierały. Były w nieustannym ruchu, szorując po podłodze i ścianach. Wypełniały sobą cały korytarz. Z całą pewnością nie udałoby się tego dziwadła pokonać za pomocą miotacza, niezależnie od tego, jak celny byłby strzał. Rhin, warcząc, minął kowala i rzucił się na przeciwnika. Nie mógł się jednak przedrzeć przez gęstą sieć ramion, które zwróciły się teraz przeciwko niemu. Trzask metalowych szczęk nasilił się.

Kojot tańczył między nimi i próbował ugryźć maszynę. Cały czas musiał jednak uważać na ostre szczęki i wycofywać się, by uniknąć ciosu. Sander sięgnął po broń Maxima. Jeśli miała jakąkolwiek moc, teraz właśnie należało ją wykorzystać. To była ich ostatnia szansa w walce z mechanicznym przeciwnikiem.

Trzymając w lewej ręce rurkę, która kształtem po trosze przypominała miotacz, kowal przyjrzał się jej i mocno nacisnął kciukiem prawej ręki dolną część. Przedtem jednak przywołał do siebie Rhina. Nie wiedział, jaki efekt wywoła użycie nowej broni.

Z rurki wystrzelił świetlisty promień, który przemknął obok kojota i trafił w sam środek blaszanego urządzenia. W pierwszej chwili nie przyniosło to żadnego efektu. Sander zaczął się wycofywać. Rhin znów był przy nim, a wirujące w powietrzu szczęki zbliżały się coraz bardziej.

Po chwili jednak w miejscu, gdzie padł promień, pojawiła się czerwona plama i zwiększała się z każdą chwilą. Promień jakby wnikał w metalowe cielsko i palił je od środka. Maszyna zdawała się tego w ogóle nie zauważać. Przeciwnie, przyspieszyła i parła w ich kierunku jeszcze bardziej zawzięcie. Jedno z ramion chwyciło stojącą z boku lampę i szybkim ruchem przecięło ją na pół, jak nóż tnie masło.

Sander gwizdnął na kojota, nakazując odwrót. Chciał rzucić się do ucieczki, ale wiedział, że aby powstrzymać to metalowe monstrum, rozsądniej będzie cofać się powoli, cały czas rażąc promieniami już naruszone miejsce.

Ślad po strzale ściemniał teraz. Widocznie promienie przedostały się już przez zewnętrzny pancerz. Kowal starał się, by cały czas padały w to samo miejsce. Próbował cofać się z taką samą prędkością, z jaką maszyna zbliżała się do nich.

Nagle pomieszczenie rozjarzyło się oślepiającym blaskiem. Sander wrzasnął i oparł się na Rhinie. Nie widział kompletnie nic. Czuł tylko, że nadal się cofają. W końcu dotarli do miejsca, w którym rampa łączyła się z długim, przestronnym pomieszczeniem. Dopiero tam zorientował się, że od paru chwil nie słyhać już brzęku i trzasków, jakie wydawała maszyna. Promień musiał ją w końcu uszkodzić i zatrzymać.

Kowal cofnął się jeszcze kawałek, wciąż mrugając. Przez moment przemknęła mu przez głowę przerażająca myśl. Co będzie, jeśli wybuch okaleczył go na trwałe i nigdy już nie odzyska wzroku?...

Rhin uwolnił się i gdzieś pobiegł, nie reagując na wezwanie. Po chwili wrócił. Niósł coś w pysku i warczał.

Sander poczuł ciepło rozgrzanego metalu. Schował za pas broń Maxima i po omacku przesunął się do przodu. Jego dłonie natrafiły na zgięty metalowy pręt. Na końcu pręta wymacał nieruchome metalowe szczęki.

Udało mu się unieszkodliwić maszyną! Jednak radość nie była pełna. Wybuch go oślepił może nawet trwale. Co teraz robi?

Odpędził od siebie tę myśl. Najważniejsze, że skutecznie powstrzymał dziwną maszynę. Nie musieli już teraz uciekać. Nie był zresztą sam... Wiedział, że Rhin ostrzeże go przed kolejnym niebezpieczeństwem. Uważał, że lepiej iść do przodu, niż cofać się w labirynt pokoi, gdzie zostawił Maxima. Jeśli starzec dowie się o jego niemocy, spróbuje uwolnić się i zemścić.

Złapał mocno za uprząż Rhina i ruszyli. Po chwili poczuł się znacznie lepiej. Musieli mijać właśnie jedną z lamp, bo zauważył słaby blask. Wyraźnie odzyskiwał wzrok.

Kojot szedł bardzo powoli i niebawem zatrzymał się, poszczekując z cicha. Sander, cały czas

trzymając się upręży, chwycił żelazne ramię, które przyniósł Rhin, i sprawdzał nim drogę przed sobą. Metal uderzył o metal. Zorientował się, że stoją nad rozbitą maszyną.

Przykleknął i obmacał ją. Metal, gorący i powyginany. Z trudem usunął na bok zniszczone żelastwo. Łzawiły mu oczy, gęste łzy płynęły po zakurzonych policzkach. Widział już jednak trochę lepiej, na tyle, że mógł uprzętać przejście.

Wznowili marsz. Kował cały czas trzymał się Rhina i ostukiwał metalowym ramieniem drogę przed sobą. Nie chciał się potknąć o jakiś leżący w przejściu przedmiot. Oczy szczypały go, ale wiedział, że nie powinien ich trzeć brudnymi rękami. Czy przed nimi było więcej takich maszyn? Nie musiał się teraz o to martwić. Wiedział już, jak się przed nimi bronić. Przypomniawsobie jednak, co Fanyi mówiła o lampie i o tym, że czas jej działania jest ograniczony. Tak jak inne wynalazki Praludzi, i ta broń mogła wkrótce przestać działać. Może nawet już wyczerpałcały zasób jej energii.

Kichał i krztusił się. Dym, jaki wydobywał się z rozbitego blaszanego urządzenia, dławził w gardle i drażnił nos. Rhin również dyszał ciężko. Na szczęście kował odróżniał już poszczególne kształty i widział blask lamp porozstawianych wzdłuż ścian. Maxim powiedział mu, że to, czego szukała dziewczyna, jest dobrze chronione. Czyżby ta przedziwna maszyna była jednym z zabezpieczeń?

Przesunął dłonią po metalowym ramieniu i uważnie zbadał szczęki. Już same w sobie były niebezpieczną bronią. Przypomniały mu się również inne wynalazki... choroby, o których wspomniawsobie starzec. Jakimi ludźmi byli jego krewni i towarzysze? Bładokórzy i Morskie Rekiny mordowali i wycinali w pień całe osady, ale nie zabijali z daleka i zawsze narażali przy tym własne życie. Przypomniał sobie teraz leśną samicę i potwora z wyspy. Wszystkie to były istoty z krwi i kości, a motywy ich działania dawało się tak czy inaczej wyjaśnić. Ale to metalowe monstrum i inne rodzaje broni, o których Maxim opowiadał z takim zachwytem...

Zemdliło go, a nie był to tylko efekt działania kurzu i dymu. Podziemny labirynt napawał go coraz większą odrazą. Może ludzie, którzy go zbudowali, z natury byli po prostu szaleni? Może Maxim odziedziczył swoje szaleństwo po przodkach?

Korytarz skręcał gwałtownie. Powietrze było tu czystsze, choć światło nadal pozostawało przytłumione. Sander badał metalowym ramieniem drogę i czujnie nasłuchiwał nawet najdrobniejszych szmerów. W pewnym momencie zdał sobie sprawę, że wychwytuje wokół siebie jakieś dudnienie, coraz wyraźniejsze w nieruchomym powietrzu. Gdzieś już słyszał ten dźwięk. W puszczy! – przypomniał sobie. Gdy napadli ich leśni ludzie!

Ale tu nie było żadnych drzew, tylko sufit wysoko nad nimi. – Rhin – powiedział głośno. Brzmienie znajomego imienia dało mu poczucie, że nie jest sam w tym obcym świecie.

Kojot nie wydał głosu, musnął tylko pyskiem policzek Sanderę. Kował wyczuł w tym napięciu, zupełnie jakby Rhin oczekiwał na zbliżające się niebezpieczeństwo. Sygnał był

silniejszy i bardziej wyraźny, niż zdarzało się to wcześniej. Jednocześnie kojot cały czas zachowywał się wyjątkowo cicho. Nie warknął ostrzegawczo ani razu. Sander wyciągnął z kieszeni drugą opaskę i założył ją zwierzęciu na szyję.

Ruszyli dalej. Cały czas mieli wrażenie, że towarzyszy im bicie ogromnego serca, które pracowało w trochę innym rytmie niż serce Sandera. Kował raz po raz mrugał podrażnionymi przez kurz oczami. W końcu nie wytrzymał i wyjął bukłak z wodą. Zmoczył kawałek koszuli i przyłożył wilgotny kompres do spuchniętych powiek. Powtórzył tę operację trzy razy i po chwili mógł już wyraźnie zobaczyć miejsce, w którym się znajdowali.

Przed sobą miał szczelnie zamknięte drzwi. Nigdzie nie dostrzegł zamka ani klamki, tylko na ścianie obok wejścia, na wysokości głowy, widział niewielki otwór. Sądził, że jeśli włoży tam palec, drzwi otworzą się lub odsuną na bok. Nic takiego się jednak nie stało.

Czyżby więc i tu należało wykorzystać broń, którą odebrał Maximowi?

Wyciągnął rurkę zza paska. Nie wiedział, jaki efekt przyniesie teraz jej użycie – mogła równie dobrze zaszkodzić, jak pomóc. Nie mógł jednak po prostu poddać się i odejść.

Przecież Fanyi też musiała dostać się tutaj. W jaki sposób ominęła blaszanego wartownika? Czy medalion, który dostała w spadku po ojcu, otworzył jej drogę? Uważnie zbadał otwór w ścianie. Zgadywał, że wielkością odpowiada niemal dokładnie medalionowi dziewczyny.

Sam nie miał czegoś takiego, wciąż jednak mógł użyć narzędzia, które zabrał Maximowi. Podeszedł do jednej z lamp, by bliżej przyjrzeć się broni. Oprócz przycisku, którego użył do zniszczenia metalowego strażnika, znalazł jeszcze cztery inne.

Był tylko jeden sposób, by poznać ich działanie. Odpędził Rhina, by zwierzę nie ucierpiało w razie jakiegoś nieprzewidzianego wypadku, i umieścił koniec urządzenia w otworze przy drzwiach. Wcisnął pierwszy guzik.

Nic się nie stało. Tylko Rhin zawył cicho i pochylił łeb, zasłaniając go przednimi łapami. Sander szybko zdjął palec z przycisku. Czy tego właśnie użył Maxim, by podporządkować sobie zwierzę?

Kojot gwałtownie potrzęsnał głową. Warczał głucho, patrzył na kowala i szczyrzył kły.

Reakcja zwierzęcia o mało nie odwróciła Sandera od sprawdzenia reszty przycisków. Nie miał ochoty wywoływać wściekłości kojota. Nie wiedział, w jaki sposób mu wytłumaczyć, że to, co zrobił przed chwilą, było nieumyślne.

Nie miał czasu na eksperymenty. Zdecydował się od razu użyć promieni, które zniszczyły metalową maszynę. Przedtem jednak musiał się zabezpieczyć. Nie chciał, by blask znowu go oślepił. Owinął sobie głowę mokrą koszulą, a Rhina wysłał z powrotem w głąb korytarza. Wtedy dopiero włożył koniec przyrządu w otwór przy drzwiach i wcisnął guzik wyzwalający promienie.

Nawet przez owinięty wokół głowy materiał widział błysk jasnego ognia. Rozgrzany metal

trzasnął, a strumień ciepłego, przesyconego dymem powietrza uderzył Sanderę prosto w twarz.

Od razu usłyszał głośny syk. Nie było mowy o pomyłce. Kuny! Słyszał je tak wyraźnie, że musiały stać tuż przed nim.

Zdarł koszulę z głowy. Drzwi otworzyły się na tyle, by obaj z Rhinem mogli przepchnąć się do środka. Część wejścia wciąż pozostawała zablokowana. Na mroczny korytarz wylało się oślepiająco jasne światło. Po obu stronach drzwi stały kuny, gotowe do skoku. Za nimi zobaczył jakieś urządzenia, ale światło w pomieszczeniu tak go raziło w oczy, że widział zaledwie ich zarysy.

Nie chciał robić kunom krzywdy. Zachrypniętym głosem zawołał:

– Fanyi!

Okrzyk rozszedł się echem i przez chwilę dźwięczał w powietrzu. Odpowiedział mu tylko głośniejszy syk kun. Dziewczyna – jeśli w ogóle była w środku – milczała.

Może była ranna lub wpadła w jedną z pułapek, o których mówił starzec? To mogło spowodować wściekłość zwierząt. Niewykluczone też, że celowo zostawiła je na straży, by nikt nie przeszkadzał jej w tym, co teraz robiła. Żadnej z tych ewentualności nie można było wykluczyć. Nie zmieniało to jednak faktu, że bestie zagradzały mu teraz drogę.

Musiały pamiętać jego zapach. Na pewno wiedziały też, że Fanyi zaakceptowała go i że podróżowali razem. Czy jednak w tym momencie coś mu to pomoże? Usłyszał za sobą kroki Rhina. Za wszelką cenę należało uniknąć potyczki między zwierzętami.

Nie spuszczać oczu z kun, Sander cofnął się o parę kroków. Kuny nie ruszyły za nim. Cały czas pilnowały wejścia. Pogrzebał w torbie z jedzeniem i wyjął pieczone ciastka o smaku świeżego mięsa, które tak bardzo smakowały Rhinowi. Każdej z kun rzucił po trzy.

Kayi pierwsza obwąchała pożywienie; zaraz chwyciła jedno z ciastek i połknęła je łączywie. Drugie zniknęło równie szybko, zanim jeszcze Kai zdążył się zbliżyć i zabrać za swoją porcję. Zwierzęta cały czas obserwowały kowala i nie przestawały posykiwać, ale jadły łączywie i dokładnie wylizwały podłogę w miejscu, gdzie upadły ciastka. Musiały być bardzo wygłodzone.

Sander wiedział, że nie pozwolą się dotknąć. To mogła robić tylko Fanyi. Przykucnął tuż przed nimi, wyciągnął jeszcze dwa ciastka i rzucił każdej z kun po jednym. Gdy pochwyciły zdobycz, powiedział łagodnym głosem:

– Fanyi?

Pewnie, jak twierdził Maxim, był na tyle głupi, by podjąć próbę porozumienia się z tymi bestiami. Nie wiedział, czy imię dziewczyny w ogóle coś dla nich znaczyło. Wpatrywały się w niego tak uporczywie, że poczuł na plecach nieprzyjemny dreszcz. Mimo to po raz kolejny powtórzył imię dziewczyny:

– Fanyi?

Kai przysiadł na tylnych łapach. Głowa zwierzęcia górowała, nad kowalem. Kuna mogła w każdej chwili skoczyć i zaatakować. Kayi wpatrywała się w Sandera uważnie, ale nie przybrała takiej samej pozycji.

– Fanyi... Kai... Kayi... – spróbował połączyć te trzy imiona. To, co działo się w głowach zwierząt, było dla niego zagadką.

Kayi ucichła. Opuściła łeb i zaczęła oblizywać przednie łapy. Samiec wciąż trwał w swojej, jak się Sanderowi wydawało, wyzywającej pozycji.

– Fanyi... Kai... – wypowiedział teraz tylko dwa imiona, zwracając się do większej kuny. Cały czas jednak obserwował kątem oka, co robi Kayi.

Kai wstał na cztery łapy i chociaż Sander nie mógł nic wyczytać z jego zachowania, w jakiś sposób wyczuł, że zwierzę jest zdezorientowane. Wyczuł też coś jeszcze. Strach? Nie był pewien.

W końcu zdecydował się wykonać następny ruch. Powoli wstał i zbliżył się o krok.

– Fanyi! – powiedział znowu, tym razem pewnym i zdecydowanym głosem, choć nie wiedział, na jak długo starczy mu tej pewności.

Kayi wycofała się, obrzuciła spojrzeniem swego towarzysza, a potem przyjrzała się uważnie Sanderowi. Wydała z siebie dźwięk, który nie brzmiał jak groźba Kai znów zaczął posykiwać i wyszczerzył kły. Ale Sander, ośmielony zachowaniem samicy, znów postąpił o krok do przodu.

Samiec przykucnął i wycofał się kawałek, wciąż sycząc. Kayi odwróciła się i odeszła na bok. W końcu również Kai zrezygnował z ataku, wciąż jednak podejrzliwie patrzył na Sandera.

Rhin z trudem przecisnął się przez otwór w drzwiach tuż za kowalem. Kuny nie zrobiły nic, by im przeszkodzić. Odwróciły się i odeszły, klucząc wśród poniewierających się w pomieszczeniu odłamków szkła i metalu.

Światło było tu tak jasne, że podrażnione oczy znów zaczęły Sanderowi dokuczać. Pokój zdawał się żyć własnym życiem, kowal nie natknął się tu jednak na żadną żywą istotę. Znalazł za to mnóstwo rozmaitych urządzeń, rur i instalacji, które migotały i połyskiwały tysiącami kolorowych światełek. Było tutaj tak wilgotno i gorąco, że Sander rozpiął płaszcz i zdjął kaptur.

Nie miał nawet ochoty rozglądać się dookoła. Rój świateł i duchota odrzucały go. Chciał jak najszybciej odnaleźć dziewczynę i wydostać się stąd. Na całym ciele czuł dreszcze, jakby wokół niego owinęła się jakaś niewidzialna siła.

Miał wrażenie, że z metalowej opaski na głowie lecą iskry. Zaczęła się znowu nagrzewać. Nie miał jednak zamiaru jej zdejmować. Stary przesąd nie zawiódł go już dwukrotnie; teraz, w tym miejscu, którego nie rozumiał i nie chciał, a może bał się zrozumieć, wierzył w moc przepaski. Ruszył za kunami, które zaprowadziły go do niedużego pokoiku o przezroczystych ścianach. Przyciskając do piersi medalion, siedziała tam dziewczyna.

Oczy miała otwarte i wpatrywała się w Sandera, szybko jednak zdał sobie sprawę, że



w ogóle go nie widzi. Na co patrzyła? Jakie obrazy przesuwały się przed jej oczami? Mimo upału, jaki panował w pokoju, poczuł na plecach zimny dreszcz. Twarz Fanyi co chwila przybierała inny wyraz – strachu, skrajnego przerażenia i obrzydzenia...

Włosy sztywno sterczały jej nad głową, jak gdyby przebiegał przez nie impuls niewidzialnej energii. Twarz miała obficie zlaną potem, który wyglądał prawie jak łzy. Ciało dziewczyny było napięte do granic wytrzymałości.

Kayi podeszła bliżej, ale Fanyi jej nie poznała. Była jak uwięziona w jakimś koszmarze, od którego nie ma ucieczki.

W pewnym momencie dostała strasznych drgawek. Otworzyła usta jakby do krzyku, do uszu Sander nie doszedł jednak żaden dźwięk. Podbiegł do drzwi szklanej kabiny, złapał za coś, co przypominało klamkę i nacisnął z całej siły. Drzwi nawet nie drgnęły.

Wyglądało na to, że dziewczynę zamknięto tu bez możliwości ucieczki. Widział, że głowa jej podryguje, a rozbiegane spojrzenie biegnie we wszystkich kierunkach. Chwycił jedną ze strzałek do miotacza i zaczął nią manipulować przy zamku.

Ciało Fanyi podskakiwało teraz jeszcze gwałtowniej, jakby dziewczyna całkiem straciła nad nim kontrolę. Twarz przybrała tępy i martwy wyraz, wargi opadły, z ust ciekła ślina.

Sander mocował się z drzwiami. Strzałka pękła mu w rękę, ale zamek trochę ustąpił. Kowal wyciągnął następną i znów spróbował wetknąć ją w otwór pod klamką. Weszła dalej niż poprzednia. Obracał nią w zamku, wpychając coraz głębiej. Wreszcie z całej siły naparł na drzwi. Zamek ustąpił z trzaskiem, drzwi otworzyły się gwałtownie i Sander prawie wpadł do środka. Fanyi zaczęła osuwać się na ziemię. W ostatniej chwili zdążył złapać jej wiotkie ciało i ułożyć delikatnie na podłodze.

Przez chwilę myślał, że dziewczyna nie żyje. Oczy miała wywrócone, pod przymkniętymi powiekami widział tylko białka. Przestraszył się, jak nigdy dotąd. Zaraz jednak wyczuł w szczupłej brązowej ręce słaby puls i zobaczył, że pierś unosi się w płytkim i urywanym oddechu.

Nie wstając, wyciągnął dziewczynę ze szklanego pokoiku, który stał się jej więzieniem. Rozejrzał się i znalazł puste miejsce w rogu pomieszczenia, jak najdalej od oszklonej kabiny i dziwnych maszyn. Położył tam Fanyi, opierając jej głowę na swoim zwiniętym płaszczu. W dłoniach wciąż trzymała medalion; delikatnie, ale stanowczo, wyprostował jej kurczowo zaciśnięte palce, aby zwolnić uścisk. Był pewny, że właśnie medalion częściowo przyczynił się do tego, co ją spotkało, i że nadal mógł stanowić zagrożenie.

Dziewczyna cały czas oddychała nierówno i szybko, jak po długim i wyczerpującym biegu. Ciało miała mokre od potu i wychłodzone, choć przecież w szklanej klatce było bardzo gorąco. Kuny podeszły do niej i położyły się po obu stronach, jakby chciały ją rozgrzać ciepłem swoich futer.

Wciąż nieprzytomna, Fanyi mamrotała coś i kręciła głową na wszystkie strony. Sander nie wiedział, o co jej chodzi, ale słyszał te same słowa, którymi wcześniej zwracał się do niego metaliczny głos.

Zdjął z siebie drugi, krótszy płaszcz i okrył nim dygoczące ciało dziewczyny. Przytrzymał jej głowę i wlał do ust kilka kropel wody. Fanyi zakrztusiła się, zakasłała i nagle otworzyła oczy.

Śmierć!... – krzyczała. – Śmierć!...

Choć patrzyła prosto na Sandera, wiedział, że nie widzi ani jego, ani nawet tego pokoju. Wpatrywała się w coś innego.

– Nie... chcę!... – Każde słowo poprzedzał głęboki oddech. W jej głosie wyczuł determinację. – Nie... chcę!...

Próbowała usiąść; w końcu złapał ją delikatnie i położył z powrotem na ziemi. Bał się. Widział, że go nie poznawała. Czyżby to, co przeżyła w oszklonej kabinie, zmieniło ją w podobnego Maximowi szaleńca?

– Nie musisz już nic robić... – tłumaczył jej spokojnie. – Nic, na co nie masz ochoty...

Poruszała ustami, jakby mówienie sprawiało jej jednak ogromną trudność.

– Nie... chcę... – powtórzyła, po czym dodała niespodziewanie: – Kim jesteś? Jedną z maszyn... tamtych maszyn?... – Była znowu bardzo niespokojna. – Nie chcę! Nie zmusisz mnie... nie wolno ci!

– Fanyi... – powiedział łagodnie, tak jak wtedy, kiedy próbował uspokoić kuny. Starał się zwrócić uwagę dziewczyny, by choć przez moment go posłuchała. – Jestem Sander, a ty nazywasz się Fanyi... Fanyi!

– Fanyi? – powtórzyła. Przeraziło go to jeszcze bardziej. Jeśli nie pamiętała nawet własnego imienia... Co to piekielne miejsce z nią zrobiło? Poczul nagły przyływ złości. Miał ochotę zniszczyć i porozbijać wszystko, co znajdowało się w zasięgu wzroku.

– Nazywasz się Fanyi – mówił teraz do niej pozbawionym nacisku głosem, jak do małego dziecka. – Ja jestem Sander.

Leżała spokojnie, wpatrując się w jego twarz. Zauważył, że powoli przytomnieje. W jej oczach dostrzegł powracającą świadomość. Zaczynała chyba znów widzieć to, co znajdowało się dokoła. Zwilżyła wargi językiem.

– Nazywam... się... Fanyi... – powiedziała powoli, dysząc przy tym ciężko. Widział, że zaczyna się uspokajać. W końcu oparła głowę o miękki płaszcz i zamknęła oczy. Usnęła.

Muszą się stąd jak najszybciej wydostać! Może uda mu się wywieźć Fanyi na grzbiecie Rhina... Dziwne uczucie mrowienia, którego doznał, gdy tylko znalazł się w tym pokoju, zaczęło gwałtownie narastać. Pojawiło się jeszcze inne, przerażające uczucie, którego Sander nie potrafił

opisać. To było zupełnie tak, jakby coś wgrzyzało mu się w umysł i pożerało go po kawałku. Obiema rękami chwycił metalową opaskę. Była ciepła... rozgrzewała się... coraz szybciej... lepiej ją... zdjąć...

Odsunął dłonie. Zdjąć?! To, czego obecność wyczuwał teraz w pokoju, właśnie tego chciało! Obejrzał się przez ramię. Był tak pewien czyjejś obecności, że spodziewał się zobaczyć za sobą Maxima albo kogoś podobnego, skradającego się między rzędami świecących maszyn.

Chłód metalu...

Szybko przywołał kojota i posadził dziewczynę na jego grzbiecie. Kaya syknęła, gdy zaczął podnosić Fanyi z ziemi, ale widząc, że nie chce zrobić dziewczynie krzywdy, uspokoiła się. Przywiązał wiotkie ciało Fanyi do siodła; jej ręce bezwładnie zwiisały po obu stronach wierzchowca.

Gdy upewnił się, że dziewczyna nie spadnie, popędził Rhina w stronę wyjścia. Chciał jak najprędzej wydostać się z tego przerażającego pomieszczenia. Cały czas czuł działanie obcej, niewidzialnej siły. Czy mogła kontrolować umysły zwierząt i zwrócić je przeciwko niemu?

Zwierzęta również wyczuwały w powietrzu coś dziwnego. Warczały bez przerwy. Kuny kręciły łbami, wypatrując niewidzialnego wroga. Rhin także wydawał się niespokojny, nie sprzeciwił się jednak, gdy kowal pociągnął go za sobą.

Kiedy minęli kabinę, w której znalazł Fanyi, Sander odetchnął z ulgą. Nie miał pojęcia, jakie niebezpieczeństwo mogła w sobie kryć. Zaczynał wierzyć, że nie można było w tym miejscu polegać na własnych zmysłach.

Po chwili znaleźli się przed drzwiami wyjściowymi. Kuny bez wahania wybiegły na zewnątrz. Szpara w drzwiach była jednak zbyt wąska, by Rhin, teraz z Fanyi na grzbiecie, mógł się precyzyjnie przesuwać. Sander rozwiązał torbę z narzędziami i tak jak w podziemnym tunelu pod miastem, wyjął największy młot.

Uderzył raz w jedno, raz w drugie skrzydło. Drzwi ustąpiły z głośnym skrzypieniem i Rhin mógł swobodnie przejść. Kowal nie odłożył jednak młota. Trzymał go w ręku, gdy wychodził. Z tym dobrze znanym przedmiotem czuł się o wiele pewniej niż z miotaczem czy dziwnym wynalazkiem, który zabrał Maximowi. Do takich narzędzi był przyzwyczajony od dziecka; w tym obcym świecie dawały mu one poczucie bezpieczeństwa, którego bardzo teraz potrzebował.

Kuny nie oddaliły się, jak zwykły to robić przedtem. Szły równo z Sanderem wzdłuż korytarza. Co jakiś czas syczały cicho, nie ostrzegały jednak o niebezpieczeństwie, tylko porozumiewały się między sobą.

Fanyi cały czas była nieprzytomna. Nie był to zwyczajny sen, tego Sander był pewien. Chciał wywieźć ją jak najdalej od tego miejsca.

Minęli już zniszczonego blaszanego wartownika. Przy innej okazji Sander chętnie by

obejrzał wrak, zrobiony w całości z metalu. Teraz jednak miał wrażenie, że im mniej będzie go łączyć z tym obcym miejscem, tym lepiej.

Rhin wspinał się już po rampie. Sander przytrzymał dziewczynę jedną ręką, w drugiej niósł młot. Zdawało mu się, że poruszają się dwa razy wolniej niż wówczas, gdy zagłębiali się w mroczne korytarze. Jak dobrze było znów odetchnąć świeżym powietrzem, tak innym od duchoty panującej w podziemiu.

Gdy wyszli na górę, zdecydował się pójść prosto do salki, w której znalazł większą maszynę z jedzeniem. Choć kuny zjadły po kilka ciastek, wiedział, że wciąż były głodne. Miał też nadzieję, że uda mu się tu znaleźć coś, co postawi Fanyi na nogi.

Kojot pewnie zmierzał przed siebie. Sander wiedział, że Rhin pamięta drogę, którą tutaj przyszli. Im dalej byli od podziemnej komnaty, tym mniejsze napięcie czuł kowal. Przedziwne uczucie, jakiego doznał na dole, powoli ustępowało. Prawdopodobnie źródło tych doznań miało określony zasięg, który kończył się gdzieś tutaj. Choć z drugiej strony... to właśnie ta niewidzialna, wgryzająca się w jego mózg siła ciągnęła go wcześniej tą samą drogą. Sander nie miał jednak zamiaru zdejmować teraz opaski i sprawdzać, czy obca siła wciąż jeszcze mogła kontrolować jego umysł.

Dotarli do pokoju, którego szukał. Odwiązał Fanyi, ściągnął ją z siodła, rozłożył na posadzce swój obszerny płaszcz i położył na nim dziewczynę. Pod głowę podetknął jej drugi płaszcz, zwinięty w rulon. Wciąż była mocno wyziębiona i pozostawała w dziwnym letargu. Miała dreszcze.

Bez zastanowienia zaczął wciskać guziki na panelu maszyny, która natychmiast wyrzuciła z siebie mięsne ciastka. Zwierzęta rzuciły się na nie łapczywie. W końcu udało mu się wydobyć z urządzenia niewielki pojemnik z gorącym płynem, który zapachem i konsystencją przypominał gęstą zupę.

Delikatnie potrząsnął dziewczyną, wymawiając przy tym jej imię. Próbował ją zmusić, by trochę się podniosła. Starła się uwolnić od jego uścisku, jednocześnie mamrocąc coś pod nosem. Wreszcie zdołał przystawić jej pojemnik do ust i wypila trochę.

Płyn musiał jej smakować, bo otworzyła oczy, jakby prosiła o więcej. Pospieszenie przyniósł drugą porcję, którą równie szybko wypila. – Dobrze – szepnęła – takie dobre. Zimno mi... Cały czas się trzęsła. Jej ciało co chwila przeszywał silny dreszcz. Sander owinał ją szczelnie płaszczem, na którym leżała, rozkulbaczył kojota i otulił dziewczynę ciepłą derką, która służyła jako siodło.

Otuliwszy ją najlepiej, jak potrafił, przywołał kuny, które położyły się obok Fanyi, rozgrzewając ją własnymi ciałami. Wtedy dopiero sam podszedł do maszyny, żeby coś zjeść.

Był zmęczony. Nie pamiętał już, kiedy ostatnio spał. Przeżycia w podziemiach wysały z niego resztkę sił. Czy mogli zaryzykować tu krótki postój? Jeśli Rhin i kuny będą czuwać...

W labiryncie pokoi nie spotkał żadnych żywych istot, oprócz Maxima. Pomieszczenia mieszkalne musiały stać opustoszałe już od dłuższego czasu. Wciąż jednak trudno mu było uwierzyć, że Maxim był jedynym mieszkańcem labiryntu. Możliwe, że żyli tu również inni i że dysponowali podobną bronią i zasobami, a to oznaczało kolejne niebezpieczeństwo. Im szybciej wydostaną się z podziemnego świata, tym lepiej. Próbował o tym myśleć, ale głowa sama opadała mu na piersi i musiał walczyć z ogarniającą go sennością. Z drugiej strony wiedział, że w tym stanie nie będzie zdolny stawić czoła żadnemu niebezpieczeństwu. Musiał odpocząć.

Zrobił ostatni wysiłek i dał kojotowi znak. Rhin podniósł się, podreptał w stronę drzwi i z głową wspartą na łapach ułożył się w przejściu. Sander wiedział, że jeśli nawet się zdrzemnie, lada szelest wyrwie go ze snu.

Podłożył sobie młot pod głowę i wyciągnął się obok Kayi. Silny zapach jej sierści był czymś znajomym, co pochodziło z jego świata, a nie częścią tej zupełnie mu obcej rzeczywistości.

– Sander...

Odwrócił głowę. W tym wezwaniu było coś tak naglącego, że otrzeźwiał natychmiast i zapomniał już, co mu się śniło. Fanyi siedziała wyprostowana; płaszcz kowala zsunął jej się z ramion. Twarz miała bladą i zapadniętą. Wyglądała jak ktoś, kto nie otrząsnął się jeszcze z przerażającej, osłabiającej organizm choroby.

– Sander! – Wyciągnęła rękę i chwyciła go za ramię. Kayi nie leżała już między nimi.

Wciąż jeszcze trochę zaspany, usiadł i potrząsnął głową.

– Co?... – zaczął.

– Musimy uciekać! – Spojrzała na niego przerażonym wzrokiem. – Musimy ich ostrzec...

– Kogo? – spytał. Jej strach szybko postawił go na nogi.

– Kupców... całą resztę... wszystkich, Sander, wszystkich. Twój Klan... wszystkich! – Mówiła tak szybko, że z trudem ją zrozumiał. Podszedł bliżej, położył jej ręce na ramionach i spojrzał dziewczynie prosto w oczy.

– Fanyi... przed czym mamy ich ostrzec?

– Przed... myślicielem! – wybuchnęła. – Och, myliłam się... tak bardzo się myliłam! – Zaciśnęła dłonie na jego ramionach tak kurczowo, że poczuł ból. – Myśliciel... on... to coś... zapanuje nad światem... uczyni z niego, co zechce. Zmieni nas wszystkich w przedmioty, w maszyny, które będą wykonywać jego polecenia. To on wzywa do siebie Białoskórych... Pokazuje im... pokazuje im przerażające rzeczy. Jak niszczyć i zabijać...

Znów drżała.

– Stworzyli go Praludzie, by zgromadził całą ich wiedzę. Przewidzieli nadchodzący kataklizm. I on zebrał wszystko... wszystko! Gdy jednak był już gotów, coś go odmieniło... może Mroczne Czasy uczyniły go innym, niż chcieli Praludzie. Oni... oni nie mogli być tak źli i okrutni! Nie mogli! Gdybym... – potrząsnęła głową – Sander, gdybym wiedziała, że drzemie

we mnie takie dziedzictwo, sama przebiłabym sobie serce nożem. To... to coś pamięta same najgorsze rzeczy. Chciało, bym mu służyła. Zaczęło mnie wciągać... zmieniać na własne podobieństwo. Wtedy pojawiłeś się ty. Musimy stąd uciekać! Wiem, że to panuje nad tym miejscem i...

Nagle przerwała i spojrzała na niego badawczo.

– Ale ciebie nie pochwyliło. Może dlatego, że nie miałeś jednej z tych rzeczy? – Wskazała na medalion. Sander nie odebrał go jej, bo przypuszczał, że to urządzenie chroniło dziewczynę. Tak przynajmniej wynikało ze słów Maxima.

– To, co jest tam na dole, może kontrolować umysł każdego człowieka, jego wolę. Obiecało mi... obiecało mi – jej wargi zdrzały – wszystko, czego pragnęłam, czego szukałam. Musiałabym tylko otworzyć dla niego swój umysł i wejść do pomieszczenia, w którym można się było z nim połączyć. Ale jedyna rzecz, jaką mnie obdarowało, to... nienawiść. Sander... Myślałam, że nienawidzę Morskich Rekinów, ale nie znałam wtedy najgłębszej i najstraszliwszej nienawiści. Ono pokazało mi ją w najczystszej formie. Chce, byśmy wszyscy mu służyli. Niektórych może sobie podporządkować bardzo szybko. Służą mu już szamani Białoskórych. Rozumiesz, to coś ściąga ich tu i uczy... nienawiści. To coś wie o rzeczach, których łatwo można się nauczyć. A wreszcie uwolni śmierć, która pochłonie wszystko. Zniszczy wszelkie życie na tej planecie. To coś chce, żebym była martwa!

– Cały czas mówisz „to coś” – powiedział. – Co to jest tak naprawdę?

– Myślę – opuściła ręce i zakryła nimi usta, jakby bała się głośno mówić o tym, co przyszło jej do głowy – że to coś było kiedyś w jakiejś części człowiekiem, ale z biegiem lat stawało się coraz bardziej obce, coraz bardziej monstrualne. Ludzie, którzy tu mieszkali i dbali o to coś, nie wykorzystywali go do celów, do jakich było przeznaczone. Im jednak słabsi i mniej liczni się stawali, tym to monstrum bardziej rosło w siłę i w końcu zerwało wszystkie więzi z tymi, którzy pozostali. Niektórzy... jak mój ojciec... odeszli stąd, by zobaczyć, co stało się ze światem. Na tamtych nie miało takiego wpływu. Ale ci, którzy pozostali... Czy spotkałeś człowieka, który nazywa siebie Maximem?

Sander przytaknął.

– Nie zdaje sobie sprawy, że nie jest już człowiekiem, tylko narzędziem, maszyną. Na razie jest uszami i oczami tego monstrum. To coś potrzebuje ludzi, połączenia ze światem zewnętrznym, kogoś, kto będzie mu dostarczał świeże umysły... Sander, ono żeruje na ludzkich umysłach! Wysysa z nich całą wiedzę, całego ducha i wypełnia ich głowy tym, co zechce... nienawiścią, żądzą krwi, śmierci!

– To samo próbowało zrobić z tobą. Jakim cudem ocalałaś? – zapytał.

– Jestem Szamanką. Nie taką, jak szamani Białoskórych, którzy dla podtrzymania władzy potrzebują strachu i krwi. Ja ratuję życie, nie odbieram. To monstrum nie mogło dotrzeć do tej

części mego umysłu, na której najbardziej mu zależało, do źródła mojej Mocy. Prawdopodobnie gdyby nie ty, w końcu dostałoby się tam. Ale dlaczego niej chciało pochwycić i ciebie?

– Chłód Metalu... to jedno z kowalskich zaklęć. – Nie wiedział czy to właśnie metalowa opaska go ocaliła, ale chciał w to wierzyć.

– Chłód Metalu? – powtórzyła. – Nie rozumiem... – Na jej twarzy znów zobaczył przerażenie.– Musimy... Sander... musimy jak najszybciej stąd uciekać! To nie pozwoli nam odejść tak po prostu. Nie wiem, jak dużą posiada Moc...

Kowal przywołał Rhina, szybko spakował ich rzeczy i znów posadził dziewczynę na grzbiecie kojota.

– Czy to coś potrafi kontrolować zwierzęta? – Bał się, że ich towarzysze okażą się słabym punktem.

– Nie – pokręciła przecząco głową. – Ich umysły są zbyt obce, poza jego zasięgiem. Kai i Kayi próbowały mnie powstrzymać, żebym tam nie szła. Ja... sama odesłałam je siłą woli. – Spojrzała na zwierzęta i przez jej twarz przebiegł bolesny skurcz.

– Maxim użył tego przeciwko Rhinowi. – Sander pokazał jej małe urządzenie. – Jeśli wciśniesz ten guzik, zwierzę zaczyna wariować. – Pokazał jej, o który przycisk chodzi.

– Jak to zdobyłeś?

– Od Maxima – powiedział z dumą. – Zostawiłem go związanego. Poświęcił mi zbyt wiele uwagi, Rhin wykorzystał ten moment i pokonał go. To Rhin cię odnalazł – uczciwie przyznał.

– Musimy uciekać... szybko!

Zgadzał się z nią w zupełności. Nie wiedział, co myśleć o jej słowach. O tej historii z opróżnianiem i napełnianiem ludzkich umysłów... Od dawna już przypuszczał, że Praludzie byli potężniejsi, niż twierdzili Zapamiętywacze. Teraz się to potwierdziło. Powinni wynosić się stąd jak najprędzej. Nie miał już ochoty na zgłębianie następnych tajemnic. Strach i rozpacz dziewczyny przekonały go, że za taką naukę można zapłacić bardzo wysoką cenę. Teraz chciał już tylko wydostać się stąd jak najprędzej.

Nie bardzo wiedział, którędy powinni iść, ale wierzył w instynkt kojota. Miał nadzieję, że zwierzę odnajdzie drogę powrotną. Fanyi zaczynała powoli odzyskiwać panowanie nad sobą, a Sander, gdy mijali kolejne pokoje, wypatrywał parę rzeczy, którym, gdyby nie okoliczności, chętnie by się przyjrzał.

Fanyi jednak nie zwracała na nic uwagi. Patrzyła przed siebie, gnana pragnieniem, by jak najszybciej wydostać się z tych podziemi.

– Ilu ludzi tu pozostało? – spytał po chwili milczenia.

– Nie wiem. Z pewnością niewielu. To monstrum wciąż potrzebuje nowych sług. Myślę, że trzeba mu pomagać w czymś, czego nie może zrobić samo i dzięki czemu nadal żyje. Musi więc mieć więcej opustoszałych umysłów, które mogłoby kontrolować. Całą resztę... zniszczy. Jest

pełne nienawiści... – Łzy ciekły jej po twarzy i nawet nie próbowała ich otrzeć. – Jest chore z nienawiści, wypełnione nienawiścią, jak zanieczyszczona brudem rana. Trudno uwierzyć, że można być tak złym!

Mijali coraz to inne pomieszczenia. Sander, który cały czas czujnie się rozglądał, miał pewność, że od dawna nie były zamieszkane. Może Maxim był ostatnim sługą tego monstrum? Sam jednak nie uważał się za takiego... Mówił coś o „Wielkim Mózgu”, który dawno już zerwał kontakt z ludźmi.

Teraz jednak Sander zaczął martwić się o coś innego. Za łatwo im szło. Spodziewał się już wcześniej natrafić na jakiś opór. Fanyi mówiła, że monstrum miało ogromną Moc. Jeśli kontrolowało podziemia, to zapewne szykowało się do ich zatrzymania.

A że nic się nie działo, nabrał podejrzeń. Fanyi ciągle jechała na kojocie. Kowal przyjrzał się mu uważniej, a potem zerknął na kuny. Szły coraz szybciej, choć wcale ich nie popędzał. Były najwyraźniej poruszone. Wiedział, że mają swoje sposoby na sprawdzenie drogi, na razie jednak nie wysłały żadnego ostrzeżenia.

Dotarli wreszcie do pomieszczenia z krzesłami i szklaną taflą w podłodze. Sander wszedł pierwszy, gotów na spotkanie z Maranem, ale starca nie było już tam, gdzie go zostawił. Fotel był pusty. Nie zostało nawet śladu przeciętych więzów. Kowal podniósł młot i zważył go w dłoni.

– Uciekł. Tu go zostawiłem.

Po raz pierwszy od momentu, kiedy wyruszyli, Fanyi odwróciła głowę i spojrzała na towarzysza.

– Musimy znaleźć wyjście! – W jej głosie znów wyczuł histeryczną nutę. – To wyjście... można je ukryć.

Jej ręka powędrowała do medalionu, po czym cofnęła się.

– Mogę go użyć. Ale on należy do tego miejsca i chyba nie zdołam go kontrolować.

– Nawet nie próbuj! – powiedział ostro. – Niech zwierzęta znajdą wyjście. Polegam na ich zmysłach bardziej niż na własnych.

Zwierzęta przeszły teraz do pomieszczenia pełnego światełek i rozmaitych maszyn. Te, które nie uległy uszkodzeniu, świeciły jasno.

Rhin uniósł łeb i wydał z siebie dźwięk, który Sander słyszał wcześniej tylko raz – wtedy, gdy nieopatrznie nacisnął niewłaściwy guzik na urządzeniu Maxima. Kuny również warczały dziwnym głosem. Cała trójka zakryła łapami łby, z pysków zwierząt ciekła piana. Sander poczuł w głowie ból. Fanyi złapała się za skronie. Jej twarz wykrzywił grymas cierpienia.

Kowal dobrze wiedział, co to oznacza. Choć czuł się ciężki i trudno mu było skoordynować ruchy, podszedł do jednego z pajęczynowatych, świetlistych urządzeń. Mięśnie drżały mu i drętwiały, zdołał jednak spuścić młot prosto na maszynę.



Poleciały iskry. Z rozbitej instalacji rozszedł się zatykający gardło i nos smród. Sander zatoczył się w stronę kolejnej maszyny i znów uderzył. Demolował je tak jedna po drugiej.

Jego świat ograniczył się teraz do tego jednego pomieszczenia. Musiał zniszczyć wszystkie urządzenia, jakie się tutaj znajdowały. Czasem pudłował i zmuszony był uderzać po kilka razy. Chwiał się i za każdym razem zbierał siły, by wznieść młot i zadać cios. Zniszczył już cały pierwszy rząd i zbliżał się właśnie do drugiego. Opaska wokół głowy płonęła żywym ogniem. Nie mógł normalnie myśleć. Tylko instynkt pchał go dalej i dalej. Trzeci... i następny...

Potem zewnętrzne napięcie jakby zelżało. Kowal osunął się na kolana, dysząc ciężko. Głowę miał teraz lżejszą, ale był całkiem zamroczony. Na szczęście światło, która razilo go w oczy, przygasło.

– Sander!

Przeraźliwy krzyk obudził na wpół przytomny umysł i targnął ciałem kowala.

Zobaczył Maxima. Starzec trzymał w ręku groźną broń. Jego twarz jakby skurczyła się jeszcze bardziej, a w wylupiastych oczach nie pozostało już nic ludzkiego. Chciał...

Sander nigdy wcześniej nie dokonał tak heroicznego wysiłku, jak w tym momencie. Uniósł młot... ale Maxim był zbyt daleko, by go uderzyć. Nie było czasu na użycie miotacza czy broni, którą wcześniej zabrał starcowi. Zakręcił więc młotem nad głową i w desperackim geście, prawie pewien, że za chwilę stanie się kolejną ofiarą starucha, cisnął nim w Maxima.

W tym momencie koło Sandera przemknęła włochata błyskawica. To Kai w skoku trącił go w ramię. Choć uderzenie nie było mocne, kowal zachwiał się i przewrócił. Upadając, zdążył jeszcze zobaczyć, że młot wprawdzie nie obuchem, lecz trzonem, odbił się od piersi starca. Mężczyzna zachwiał się. Sander czuł w ramieniu palący ból. Kai dopadł Maxima i przewrócił na posadzkę, wytrącając mu broń. Stary człowiek krzyknął, ale krzyk nagle się urwał. Kowal spróbował wstać. Podciągnął się i oparł na tym samym urządzeniu, które przed chwilą przygniótł własnym ciałem.

W powietrzu coś zawisło. Coś, co nie pozwalało się kowalowi ruszyć. Nie potrafił opisać tego słowami. Przypominało falę nienawiści... wściekłości... jakby ściany wokół nich zmieniły się w tkankę wielkiego organizmu i nagle ożyły. Kuna wycofała się. Jej pysk ociekał krwią. Warczała i syczała, kłapiąc zębami, choć dookoła nie było widać żadnego przeciwnika.

Sander zachwiał się i gdyby nie to, że mocno się trzymał zniszczonego urządzenia, z pewnością runąłby na ziemię. Nieznana moc wysyłała w jego kierunku impulsy, które siłą dorównywały uderzeniom pięści. Opaska na głowie paliła żywym ogniem, kowal próbował jednak walczyć z bólem. Wyszczrzył zęby; przypominał teraz rozwścieczone zwierzę. Ochryplym, łamiącym się głosem wyrecytował kowalskie zaklęcie.

Był człowiekiem, a nie czyjąś marionetką! Nie da się zmienić w bezwolny przedmiot! Chwiejnym krokiem, trzymając się zniszczonych instalacji, szedł przed siebie. Całą uwagę skupił na młocie, który leżał obok rozszarpanego ciała. Nie chciał przyglądać się zabitemu. Wiedział, że choć to Kai ostatecznie powalił przeciwnika, on sam również przyczynił się do śmierci Maxima.

Schylił się i zacisnął dłoń na rękojeści młota. Z tym znajomym kształtem od razu poczuł się pewniej. Był człowiekiem, panem własnej woli!

Odwrócił się powoli i ostrożnie. Rhin i kuny zbiły się w gromadkę, szczerząc zęby. Kojot usiłował ugryźć powietrze, a na jego pysku pojawiła się biała piana. Kuny przeżyły się, gotowe do walki z przeciwnikiem, którego nie było nigdzie widać.

Fanyi, wyprostowana, siedziała w siodle. Na jej wychudzonej twarzy malowało się przerażenie i ogromny wysiłek. Z głową odrzuconą do tyłu szeptała jakieś zaklęcia. Nie rozumiał ich. Powoli zaczął iść w stronę dziewczyny, choć zdawało mu się, że przeszkadza temu wrogi, odciągający go do tyłu podmuch. Gdy wreszcie stanął przed Fanyi, spojrzała na niego.

– To coś nie pozwoli nam odejść – powiedziała po prostu.

– Wiem, gdzie są drzwi...

– Teraz nie będzie już żadnych drzwi, dopóki to coś nie zechce. Nie potrafił zrozumieć, skąd ta jej pewność. Zanim zdążył powiedzieć cokolwiek, już trzymała w rękach medalion.

– Pozwoli mi zbliżyć się do siebie... jeśli będę trzymała to w ręku.

Kiedy to powiedziała, napięcie jakby zelżało, a wyczuwalna w powietrzu wściekłość, której gęsta chmura prawie przyciskała ich do ścian, nieznacznie się rozproszyła.

– Nie! – Sander uniósł młot.

– Jeśli pójde, może uda mi się wynegocjować jakieś warunki... Wyczytał w jej oczach prawdę. Wiedziała, że jeśli tam pójdzie, zginie, podobnie jak starzec, którego Kai zagryzł, by ich ratować.

– Pochodzę od ludzi, którzy służyli mu od dawna. Wysłucha mnie...

– Nie będzie słuchał nikogo – przerwał jej Sander. – To coś oszalało. Sama to wyczytałaś w jego myślach. Nie ocalisz nas i nie zyskasz nic.

– Pójdzie na układy, żeby mnie dostać – nie zgodziła się z nim. – Może uda mi się przekonać to coś, żeby wypuściło ciebie... i zwierzęta. Jeśli będziesz wolny, możesz ostrzec innych. Nie wolno dopuścić tu Białoskórych, a Kupcy muszą przygotować się do walki.

– Jeśli to coś widzi i wie wszystko – upierał się przy swoim – to nigdy nikogo nie wypuści z taką wiadomością. Czemu miałoby to zrobić?

– To nie to samo – odparła. – Jeśli poddam mu się dobrowolnie, zyska więcej niż gdyby musiało przełamać mój opór siłą. Nie chce, bym była w jakiś sposób wypaczona. Ty nie przedstawiasz dla niego żadnej wartości. Tylko zakłóciłeś jego spokój. Wypuści cię

w przekonaniu, że gdy zgromadzi tych, których do siebie wezwało, i tak wkrótce wpadniesz w jego ręce. Nie rozumiesz, że chcę zyskać dla ciebie trochę czasu?

Sander potrząsnął głową.

– Nie można ufać żadnym układom. Posłuchaj... – Jego umysł pracował teraz o wiele szybciej, jak biegacz, który odzyskał siły. – Możesz wskazać miejsce, w którym znajduje się ta rzecz?

Od razu zrozumiała, o co mu chodzi.

– Nie uda ci się! Jego system obronny jest doskonały. Nie podejdziesz, jeśli nie będzie tego chciało.

– Ale ty możesz podejść...

– Tak, jeśli poddam się jego woli. Ono odniosłoby wtedy zwycięstwo, a ty mógłbyś to wykorzystać.

– Ale nie tak, jak myślisz. – Sander potrząsnął młotem. – Czy ono może nas podsłuchiwać? – Spoglądał na rzędy stojących maszyn.

– Nie wydaje mi się. Może kontrolować nasze umysły i narzucać nam swoją wolę, ale uważa siebie za niepokonanego.

Sander znowu potrząsnął młotem. Trzymając go w rękę, jakoś mniej bał się rzeczy, której nie widział i nie mógł dotknąć. Ta rzecz uważała siebie za niezniszczalną, nie potrafiła jednak bronić tej części podziemi bez pomocy Maxima. A starzec zginął w sposób, w jaki nie zabito prawdopodobnie nikogo z Praludzi od wielu pokoleń. Po prostu zagryzło go dzikie zwierzę.

Kowal nie miał określonego planu, tylko determinację i zawziętość. Pomysł dziewczyny, by się poddać, mógł być jeszcze rezultatem presji, jakiej ją poddano w szklanym pomieszczeniu. Wiedział jedno: z takim przeciwnikiem nie wolno wchodzić w jakiegokolwiek układy. Każda próba skazana była na niepowodzenie, bo ten, kto kontrolował podziemne tunele, uznałby ją za oznakę słabości. Taki przeciwnik mógł obiecać wszystko, a potem nie dotrzymać słowa.

Ale Sander wierzył, że dzięki Fanyi można dostać się do tego czegoś. Uniósł rękę i potarł kciukiem metalową opaskę. Choć nie było na to aż do tej pory żadnych dowodów, stary przesąd okazał się prawdziwy. Jeśli uda mu się wytrzymać atak, jaki przecież zniósł już wcześniej, to mieli szansę. Nikłą, ale zawsze.

– Masz plan. – Nie brzmiało to jak pytanie, raczej jak stwierdzenie faktu. Fanyi pochyliła się w siodle i uważnie patrzyła na Sandera.

– Nie – potrząsnął głową – nie wiemy na tyle dużo, by cokolwiek planować. Możemy tylko iść przed siebie... i liczyć, że szczęście nas nie opuści.

– My? Ty nie pójdziesz! Nie pozwolę ci! Znowu dotknął dłonią opaski.

– Nie przekonamy się, dopóki nie spróbujemy. Twierdzisz, że ono nie może kontrolować zwierząt.

– Nie mogło poradzić sobie z kunami. Chciały powstrzymać mnie przed wejściem. Oczywiście, nie wiem, co wyśle przeciwko nam, gdy już do niego dotrzemy.

Sanderowi stanął przed oczami obraz metalowego wartownika. Tylko kowal wiedział teraz, jak radzić sobie z takimi maszynami. Mógł użyć urządzenia, które zabrał Maximowi wcześniej, a także tego, którym starzec próbował pokonać go przed chwilą. Podeszedł do zabitego, by przeszukać ciało.

Wrócił po chwili i wręczył dziewczynie jeden z przyrządów. Pokrótce wyjaśnił jej, do czego służy.

– Naprawdę jesteś gotów to zrobić? – zapytała, gdy skończył.

– A czy widzisz inne rozwiązanie? Każdy trzyma się życia, dopóki może. Myślę, że pokonanie tego czegoś to nasza jedyna szansa.

– Wydaje mi się... że jeśli poddam się dobrowolnie, masz szansę podejść do niego ze mną.

– To, czy udasz się tam dobrowolnie, zależy tylko od ciebie – zapewnił. – Ja pójdę za tobą, tak czy inaczej. Może ono zorientuje się, że nie jesteś sama... ale jeśli pójdziemy w pewnej odległości od siebie, może pomyśleć, że mnie zostawiłaś albo że cię tropię. Jednocześnie pamiętaj, że nie możemy trzymać się zbyt daleko od siebie, żeby to nie zdążyło nas rozdzielić na dobre.

Fanyi milczała przez chwilę. Wreszcie ześliznęła się z grzbietu Rhina.

– To zaprowadzi cię wprost w objęcia śmierci, kowalu. Jednego możesz być pewien: nawet jeśli udam, że poddam się jego woli, nigdy nie pozwolę, by użyło mnie do własnych celów. Mam przecież to – obróciła w rękę broń Maxima. – Można tego użyć obosiecznie... a martwe ciało na nic nie przyda się tej maszynie. Co z naszymi towarzyszami?

– Idą z nami – powiedział, ściągając bagaż z grzbietu Rhina. – Ale to zostawimy. – Nie dodał, że może nigdy więcej nie będą już potrzebowali tych zapasów. Zostawił też swój miotacz, choć długi nóż wziął ze sobą. Nosił go już tak dawno, że nie przeszkadzał mu, a przyzwyczajenie, nawet w takiej chwili, okazało się silniejsze.

Jedyną bronią, jaka mu teraz pozostała, był młot, symbol jego dziedzictwa, który dodawał mu siły i wiary, a pochodził z tak dobrze znanego świata, oraz przyrząd zabrany Maximowi. Nie chciał jednak myśleć o nich jak o broni. Wolał traktować je jak narzędzia, które nie posłużą mu do walki, lecz do naprawy uszkodzonego urządzenia.

– Jesteś pewien, że tego chcesz? – zapytała Fanyi. Zachowywała się, jakby miał jej złożyć przysięgę krwi.

– Tak – odparł.

Odwróciła się i spojrzała na zwierzęta. Kuny podeszły bliżej, a dziewczyna położyła ręce na ich łbach. Stali tak przez chwilę, a zwierzęta uniosły łby i zaczęły lizać ją po policzkach. Rhin przyglądał się uważnie tej scenie. Teraz i on podeszedł do Sander'a i trącił go pyskiem w ramię –

zwykły sygnał, że czas ruszać w drogę.

– Pójdą z nami – stwierdziła dziewczyna.

Sander zaproponował, by teraz ona szła przodem. Kiedy odeszła kilkanaście metrów, ruszył za nią. Rhin szedł obok niego. Fanyi cały czas ścisnęła w rękę medalion. Nie udała się jednak w stronę drzwi, którymi weszli. Poszła na prawo, w stronę przejścia, które wyznaczały rozbite przez Sanderę maszyny.

Stanąła przed ścianą, na pozór gładką i nieprzebytą, ułożyła medalion w zagłębieniu dłoni i przytknęła do muru. W ścianie otworzyło się wąskie przejście.

Korytarz, którym musieli pójść, był tak ciasny, że Rhin ledwie się mógł do niego wcisnąć. Nie paliła się tu żadna lampa. Za nimi z nieprzyjaznym szcękaniem zamknęły się tajne drzwi. Sander znalazł się w całkowitych ciemnościach. Tylko słaby odgłos kroków mówił mu, że dziewczyna z kunami była w pobliżu.

Tunel wił się niemal spiralnie. Na jednym z zakrętów kowal boleśnie zderzył się ze ścianą, której nie sposób było zauważyć w tych ciemnościach. Jednak cały czas posuwali się wzdłuż tego samego korytarza; nigdzie nie było żadnych odnóg. Kowal szedł pewnie do przodu, mając nadzieję, że dziewczyna znajduje się tuż przed nim.

Nagle oślepił go blask. Zrozumiał, że musiała znaleźć kolejne drzwi – wyjście z tunelu. Pędem ruszył przed siebie. Bał się, że nie zdąży, że drzwi zatrzasną się przed nim i przed Rhinem, więżąc ich w ciemnościach. Pomieszczenie, w którym się teraz znaleźli, nie przypominało żadnego z tych, które Sander widział do tej pory.

Zobaczył przed sobą szklaną powierzchnię, bardzo podobną do tej, którą widział w pokoju z fotelami, a która, według słów Maxima, była mapą dzisiejszego oraz dawnego świata. Tu jednak stał tylko jeden fotel, zwrócony dokładnie w stronę szklanej powierzchni. Siedziała teraz na nim Fanyi, a po bokach, warcząc, przykucnęły kuny.

Ręce dziewczyny spoczywały na poręczach fotela, pozbawionych jakichkolwiek przycisków. Gdy zbliżył się, by spojrzeć jej w twarz, sięgnęła do szyi, zdjęła medalion i odrzuciła go, jakby pozbywając się ostatniej ochrony przed opanowującą jej umysł siłą.

Chwytał medalion w powietrzu i choć wiedział, że nie powinna go nosić, miał nadzieję, że zdoła go jakoś wykorzystać. Dziewczyna wyciągnęła zza pasa broń Maxima i rzuciła ją na ziemię. Siedziała teraz w fotelu całkiem bezbronna i samotna. I nagle Sander zorientował się, że zaszła w niej jakaś zmiana... to już nie Fanyi siedziała w tym fotelu.

Jej twarz zniekształcił dziwny grymas, zupełnie nie przypominała dawnej Fanyi.

– Chodź do mnie!

To nie była prośba. Słowa zabrzmiały jak rozkaz wypowiedziany przez kogoś, kto nie znosi sprzeciwu. Dźwięczała w nich taka siła, że Sander zrobił krok w stronę Fanyi, która nie była już sobą.

Rhin natychmiast znalazł się obok kowala i zacisnął szczęki na jego ramieniu.– Ostry ból otrzeźwił Sandera.

Fanyi uśmiechnęła się, ale w jej uśmiechu nie było nic ludzkiego.

– Barbarzyńco – zaśmiała się. – Twoja walka... ty... twoi ludzie... – Jej głos zmienił się, był teraz zimny i daleki. – Zatrzuwacie ziemię. Jesteście niczym, nie macie prawa wędrować ścieżkami, którymi wędrowali kiedyś prawdziwi ludzie.

Sander słuchał w milczeniu; nie zamierzał dyskutować z tym, co opanowało dziewczynę. Wejście do kryjówki, w której znajdowało się to coś, z pewnością było gdzieś tutaj. Musi się tam dostać jak najszybciej. Tylko czy wystarczy mu czasu?

– Oddaj swoją broń, barbarzyńco – powiedziała Fanyi z zimną pogardą. – Czy myślisz, że możesz użyć jej przeciwko mnie? Głupcze, mogę w każdej chwili zetrzeć cię w proch. Pozwalam ci żyć tylko dlatego, że choć mam teraz tę dziewczynę, wciąż możesz mi się przydać... przynajmniej na razie.

Rhin wysunął się przed Sandera, jakby chciał odgrodzić go od Fanyi. Łeb miał jednak zwrócony w stronę ściany, tuż za jej fotelem. Kowal spostrzegł, że kojot strzyże uszami w tym kierunku. Widział wyraźnie, że zwierzę całą swoją uwagę skupiło właśnie na tym punkcie, a nie na siedzącej przed nimi dziewczynie.

Mocniej chwycił młot.

– Należysz do mnie, prostaku...

Głos był donośny i dźwięczał mu echem w głowie. Czy to oczy go zawodziły, czy fotel zaczęła spowijać delikatna mgiełka? Opaska na czole zaczynała się rozgrzewać. Z trudem łapał oddech.

Nie jest niczyją własnością! Sam jest sobie panem. Na chłód żelaza, które tylko kowale potrafią wykuwać... sam jest sobie panem!

– Barbarzyńco, mogę wyssać z ciebie życie, używając do tego wyłącznie własnej woli. A więc...

Sander oddychał z trudem. Teraz musiał wykonać jakiś ruch... nie miał innego wyjścia.

Chłód Metalu. Walczył z siłą, która dławiła go i przyciskała do ziemi, która chciała, by upadł i pełzał, by się poniżył.

– Chłód Metalu! – krzyknął.

Napór zelżał nieco, jakby zachowanie kowala zaskoczyło tajemniczą istotę.

Sander zrobił krok, ale nie w stronę Fanyi, czego zapewne oczekiwał przeciwnik, lecz w kierunku, który wskazywał Rhin. Wyteżył siły, bardziej nawet niż w czasie potyczki z Maximem – choć wtedy wydawało mu się, że dał z siebie wszystko – i uderzył młotem w gładką ścianę.

W miejscu, w którym obuch dosięgnął powierzchni, zobaczył rozwidlające się pęknięcie.

Wokół niego, w jego umyśle zbierała się jakaś siła, gotowa go zmiażdżyć.

Nie! Nic go teraz nie powstrzyma. Zachwiał się. Rhin, kuny... czuł ich obecność. Wspierały go. Uderzył drugi raz, dokładnie w to samo miejsce.

Usłyszał trzask i brzęk, jakby tłukącego się szkła. W ścianie zobaczył dziurę o średnicy ludzkiej pięści. Jakby w odpowiedzi uderzyła w niego fala siły, której nie potrafiłby opisać słowami. Osunął się na kolana.

Podpełznął jednak bliżej, walcząc z niewidzialnym przeciwnikiem. Wiedział, że jeśli teraz się podda, wszystko będzie stracone. Stał tuż przy ścianie.

Powoli wypuścił młot z ręki. Wsadził palce w otwór, choć ostre brzegi wbijały mu się w ciało. Mocno chwycił gładką powierzchnię i szarpnął, wykorzystując cały ciężar ciała.

Przez chwilę, obolały i przerażony, nie wiedział, czy przyniosło to jakiś efekt. Potem szkło, jeśli ta materia była szkłem, pękło i zasypało go ostrymi odłamkami. Poczł na twarzy powiew niezdrowego powietrza; cuchnęło tak jak na dole, w pomieszczeniu, gdzie znalazł Fanyi.

Po omacku odnalazł młot. Prawa ręka była śliska od krwi. Bał się, że nie da rady mocno pochwycić młota. Cóż, miał jeszcze drugą rękę! Niepewnie uniósł młot i uderzył. Dziura w ścianie powiększyła się. Udało mu się otworzyć przejście do miejsca, w którym czał się przeciwnik. Nieważne, że wpełźnie tam na czworakach, prawie pokonany przez przytłaczającą siłę.

Przecisnął się przez otwór i spadł na podłogę po drugiej stronie. Nie było tu nikogo. Zdziwiony, rozglądał się dookoła. Choć Fanyi określała przeciwnika jako „coś” lub jako „rzecz”, w głębi ducha spodziewał się natrafić na istotę, jeśli nie ożywioną, to przynajmniej na coś w rodzaju metalowego wartownika. Zobaczył jednak tylko wysokie pudła poustawiane w szeregi. Wędrowały po nich ogniki małych lampek i światełek.

Poczł ulgę. Gdy tylko znalazł się w tym pomieszczeniu, napięcie zniknęło. Jeśli tu właśnie krył się wróg Fanyi, jego legowisko nie było zbyt strzeżone. Może po prostu czł się bardzo pewnie.

– Wykryto wejście osoby nieupoważnionej...

Głos nie pochodził od dziewczyny. Przypominał raczej ten, który Sander słyszał już wcześniej w tych podziemiach. Ale gdzie znajdowało się to, czego szukał? Czy w którymś z tych pudeł?...

– System ochrony pierwszego stopnia...

Nie wiedział, co znaczyły te słowa, z pewnością jednak stanowiły jakąś groźbę. Nie próbował nawet wstać. Wyciągnął broń Maxima, oparł kciuk na największym przycisku i wycelował w pudło, na którym tańczyło najwięcej kolorowych lampek. Promień uderzył z całą siłą i wbił się do środka. W tej samej chwili kował usłyszał hałas. W jego stronę toczył się jakiś metalowy kształt.

– Przechwycić w celu zbadania... – zabrzmiał głucho głos. Metalowa istota zmierzała prosto w stronę Sandera.

Za plecami miał ścianę. Czy odważy się teraz zwrócić promień na wartownika? Jeśli kontrolowała go właśnie ta maszyna, to...

Nagle coś błysnęło. To na pudle, w które celował, zatańczyły płomienie ognia. Nie czekał, co będzie dalej. Od razu strzelił do następnego. Z metalowego wartownika wyprysnęła długa lina i owinęła mu się wokół nogi. Kolejna już leciała w jego stronę. Nagle futrzasty kształt przeciął jej lot. Lina owinęła się dookoła kuny, skrępowwała ją i powaliła na ziemię.

Sander cały czas kierował promień w stronę pudeł. Już drugie stanęło w ogniu. Kayi również zaatakowała wartownika, ale szybko podzieliła los towarzysza. Udało jej się jednak osłonić Sandera przed kolejnymi linami.

Wciąż z uwięzioną nogą, nachylił się i skierował promień na linę. Przez ten czas pojawiły się następne – czwarta, piąta, szósta... nagle ta, która krępowwała mu kostkę, opadła bezwładnie na podłogę. Podniósł się. Miał zamiar zniszczyć więcej świecących pudeł, ale gdy podszedł bliżej, urządzenie Maxima przestało działać. Jednak na żadnym pudle nie świeciły już małe lampki. Smród spalenizny odurzył go. Spróbował zacisnąć zranioną dłoń. Jeśli nie odmówi mu posłuszeństwa, będzie mógł zniszczyć więcej pudeł, używając młota. Czy to właśnie była kryjówka tajemniczej istoty? Jeśli nie...

Kasłał i dławił się dymem. Z oczu płynęły mu łzy, a gardło zaschło boleśnie. Przy każdym oddechu czuł przeszywający ból. Musi stąd wyjść, wydostać się... nawet jeśli nie wykonał do końca zadania...

Otępiały, przeciskał się między nadpalonymi pudłami, szukając wyjścia. Gdy przedostał się do poprzedniego pomieszczenia, zobaczył, że Fanyi osunęła się z fotela i leży na posadzce. Podpełzł do niej, ale kuny były szybsze. Minęły go, przysiadły przy dziewczynie i zaczęły lizać ją po twarzy. Trącały jej bezwładne ciało łapami i popiskiwały z cicha.

Sander poczuł nagły chłód. Czy... czy ją zabił? Czy ona... Zbliżył się niepewnie. Kayi warknął ostrzegawczo, ale pozwolił mu dotknąć leżącej. Prawa ręką kowala zostawiła na jej ubraniu krwawe ślady.

Twarz miała pustą, oczy zamknięte... ale żyła!

Położył jej głowę na swoich kolanach, a rozciętą rękę oparł o fotel. Dopiero wtedy przypomniał sobie o medalionie, który wetknął za pas. Wyciągnął go i ułożył dziewczynie na piersi, tam, gdzie zawsze go nosiła.

Jej powieki drgnęły; spojrzała na niego błędnym wzrokiem, który przeraził go tak jak poprzednio. W chwilę później otrzeźwiała i zorientował się, że go poznaje.

– To coś... jest ranne – powiedziała.

Westchnął. Więc nie udało mu się całkowicie unicestwić zagadkowej istoty.



– Jak bardzo? – spytał.

Minęła długa chwila, zanim otrzymał odpowiedź.

– To jest... częściowo zniszczone. Ci, którzy wiedzą jak, mogliby jeszcze tego użyć.

– Nie! – Pamiętał dobrze, po co tu przyszli. Ta rzecz mogła każdego uczynić panem wstrząsanego katastrofami świata. Jednak nikt z nich nie był na tyle mądry i silny, by nad tym panować.

– Nie – powtórzyła za nim.

– Twoja broń do ochrony twoich ludzi... – powiedział.

– Twoja kowalska wiedza... – zawtórowała.

– Wszystko to z innego świata – powiedziała powoli. – Jeśli to, co zmieniło tę rzecz w naszego wroga, odeszło, zostawmy to. Nie należy do nas.

Pomyślał o Kupcach, a także o Białoskórych, którzy zostali tu wezwani.

– To nie może stać się niczyją własnością.

Przytaknęła i wstała powoli. Krzyknęła zaniepokojona, kiedy zobaczyła jego rękę.

Jakiś czas później siedzieli oboje na podłodze pomieszczenia, w którym porzucili bagaże. Sander odciągnął ciało Maxima, by nie leżało na widoku. Fanyi opatrzyła kowalowi dłoń, smarując ją jakimiś maściami. Wiedział, że minie jeszcze wiele czasu, zanim będzie mógł znowu podnieść młot.

Całe to miejsce wypełniał jakiś dziwny chłód, jakby uszło z niego całe życie. Swoją martwością przypominało zniszczone przez wiatr i wodę pradawne górskie rumowisko. Dziewczyna oglądała broń Maxima, którą upuściła, siedząc na fotelu.

– To coś nie może samo się naprawić. I nie wydaje mi się, żeby oprócz nas był tu ktoś jeszcze, kto mógłby mu służyć. Maxim musiał być ostatni, ale na pewno znajdą się śmiałkowie, którzy spróbują.

– W tym czymś cały czas drzemie jeszcze trochę mocy. – Sander wskazał na broń starca. – Może wystarczy jej, by zamknąć wejście.

Fanyi dotknęła medalionu.

– Nie wydaje mi się, by gdziekolwiek istniała jeszcze taka rzecz. Jeśli uda nam się... zablokować wejście, nikt nigdy tu nie trafi. Białoskórzy nie wiedzą dokładnie, czego szukają. Ich Szamani to wizjonerzy... widzieli wizje wysłane przez to coś.

– Maszynę... czy człowieka? – spytał wreszcie. Dziewczyną wstrząsnął dreszcz.

– Chyba jedno i drugie. Jak Praludzie mogli stworzyć coś takiego?... To wciąż żyje, choć zniszczyłeś jego źródło mocy. Jeśli to prawda... co za straszliwy los... więzienie bez końca.

– Co z twoimi ludźmi? – spytał.

– A co z twoimi?

Sander odpowiedział pierwszy.

– Radzą sobie dobrze. Mają kowala, nie tak dobrego wprawdzie jak mój ojciec, ale można na nim polegać. Ja... wiesz, to moi bliscy, ale nie potrafię przywołać w pamięci ani jednej twarzy, za którą bym teraz tęsknił.

– Ja wciąż nie jestem wolna. – Spojrzała na medalion. – Może udało nam się zażegnać jedno zagrożenie, ale pojawią się inne. Chcę spłacić dług, który mam wobec moich ludzi. Zawiodłam Padford, dlatego muszę to zrobić.

– W jaki sposób?

– Trzeba dostać się jakoś na południe. Jeśli moi ludzie żyją tam w niewoli, wciąż mogę i powinnam im pomóc.

Sander poruszył się. Zranioną dłoń przeszył nagły ból, mimo że dziewczyna porządnie ją opatrzyła. Pomyślał, że podróż z jedną ręką w bandażach może być trochę dziwna.

– A więc ruszamy na południe. Oczywiście najpierw zabezpieczymy to miejsce.

Zmarszczyła brwi.

– To nie twoje zmartwienie, kowalu!

Uśmiechnął się.

– Może i tak. Ale wybrałem tułaczkę. Czy to ważne, gdzie poniosą cię nogi, gdy nie masz nikogo i wędrujesz z własnej woli? Jedno mnie zastanawia, Szamanko. Przybyliśmy tutaj, szukając wiedzy. Znaleźliśmy coś, choć spodziewaliśmy się czegoś innego.

– Co masz na myśli, kowalu?

– Tylko tyle, że spędziliśmy na ruinach zaginionego miasta wiele czasu, zawsze szukając w przeszłości. Dlaczego? Nie ma nocy bez gwiazd, a zaginione miasta są martwe. Sami znajdziemy drogę w mroku i wzniesmy własne. Jesteśmy sobą, a nie potomkami Praludzi. Sami więc musimy się uczyć i doskonalić. Zapomnijmy o wiedzy stworzonej przez ludzi, których pewnie nawet nie chcielibyśmy nazwać krewnymi. Nie czuję się w żaden sposób związany z Maximem!

– W żaden sposób... – powtórzyła. – Tak, to prawda, kowalu! Ja również nie czuję się związana z ludźmi, którzy stworzyli to, czego próbowało mnie nauczyć to monstrum. Zaczniemy od nowa, odnajdziemy nasze gwiazdy i wzniesiemy własne miasta. Miejmy nadzieję, że z lepszym skutkiem.

– Zaczniemy od nowa – przytaknął i dodał: – Ruszymy na południe, gdzie, jak mówisz, masz dług do spłacenia. Zobaczymy, czy Morskie Rekiny można pokonać bronią, którą dysponujemy. W końcu tutaj zwalczyliśmy w ten sposób coś znacznie bardziej niebezpiecznego niż wszelkie zagrożenia, jakie czekają na nas na zewnątrz.

– Kowalu, mocno wierzysz we własne siły.

Sander wstał i pomasaował zranioną dłoń. Zdrową oparł na grzbiecie Rhina.

– Wiara we własne siły nikomu nie zaszkodzi – odparł łagodnie. – A jeśli podróżuje się

w doborowym towarzystwie i ma jakiś cel, czego więcej trzeba?

Fanyi roześmiała się.

– Cóż, jest jeszcze parę rzeczy, Sander. Ale i na nie przyjdzie czas. Każda noc kiedyś się kończy, a żadne miasto nie stoi wiecznie.